

MICHAŁ BUŁHAKOW POWIEŚĆ TEATRALNA

TLUMACZYŁ
ZIEMOWIT FEDECKI

CZYTELNIK
WARSZAWA
1980

PRZEDMOWA

Pragnę uprzedzić czytelników, że z historią powstania tych notatek nie mam nic wspólnego. Trafiły mi do rąk w bardzo dziwnych i smutnych okolicznościach.

Akurat w dniu samobójstwa Siergieja Leontjewicza Maksudowa, które miało miejsce w Kijowie wiosną ubiegłego roku, dostałem pokaźnej grubości przesyłkę pocztową, nadaną zawczasu przez denata, oraz list.

Przesyłka zawierała niniejsze notatki, a treść listu była wręcz zaskakująca.

Siergiej Leontjewicz zawiadamiał mnie, że odchodząc z tego padolu ofiarowuje mi swoje notatki, a to w tym celu, abym — jako jego jedyny przyjaciel — poprawił je i wydał pod swoim nazwiskiem.

Cóż za osobliwe ostatnie życzenie!

Przez cały rok próbowałem odnaleźć krewnych lub przyjaciół Siergieja Leontjewicza. Daremnie! Nieboszczyk nie kłamał w ostatnim liście pisząc, że nie zostawia na tym świecie nikogo.

Przyjąłem zatem ów dar.

Po drugie: pragnę poinformować czytelników, że samobójca za życia nie miał nic wspólnego ani z dramaturgią, ani z teatrami. Pozostał do końca tym, kim był — skromnym współpracownikiem

gazety „Wiadomości Żeglugi Śródlądowej”, który
raz tylko wy-

stał w charakterze powieściopisarza, i to bez powodzenia. Powieść Siergieja Leontjewicza nie ukazała" się w druku.

A zatem notatki Maksudowa są jedynie płodem jego wyobraźni. Dodajmy — chorej wyobraźni, Siergiej Leontjewicz cierpiał bowiem na chorobę, noszącą wielce niemiłą nazwę melancholii.

Jako człowiek dobrze obeznany z moskiewskim życiem teatralnym, mogę zareczyć, że ani takie teatry, ani tacy ludzie, jakich nieboszczyk opisał w swojej powieści, nigdy w rzeczywistości nie istnieli.

I wreszcie, po trzecie — moja praca nad notatkami polegała na tym, że dałem im tytuł, a następnie skreśliłem motto, które wydało mi się pretensjonalne, zbyt i drażniące.

Motto brzmiało następująco:

„Każdemu według uczynków jego..." — a ponadto wprowadziłem znaki przestankowe tam, gdzie ich brakowało.

Stylu Siergieja Leontjewicza nie zmieniłem, mimo że jest bez wątpienia niedbały. Nie można, zresztą, wymagać zbyt wiele od człowieka, który w dwa dni po postawieniu ostatniej kropki w swoich notatkach skoczył do wody z Mostu Zwodzonego.

ROZDZIA
LI *Początek
przygód*

29 kwietnia burza umyła Moskwę. Powietrze tchnęło słodyczą, a dusza mi jakoś złagodniała i nabrałem ochoty do życia.

Szedłem jedną z głównych ulic stolicy w nowym szarym garniturze i zupełnie znośnym płacie, udając się do miejsca, w którym nigdy jeszcze nie byłem. Do wędrówki tej skłonił mnie otrzymany niespodziewanie list, spoczywający teraz w kieszeni marynarki. Oto on:

Wielce szanowny Sergieju Leontjewiczu! Odczuwam nieprzeparte pragnienie poznania Pana, a zarazem chciałbym pomówić z Panem o pewnej sekretnej sprawie, która powinna Pana bardzo, ale to bardzo zainteresować.

Jeżeli znajdzie Pan chwilę czasu, byłbym szczęśliwy* gdyby zechciał Pan przyjść do Studia przy Teatrze Niezależnym w środę o godzinie 4.

Pozdrawiam, K Ilczyn.

List był napisany ołówkiem na arkuszu papieru, w którego lewym rogu widniał nadruk:

Ksawery Borysowicz Ilczyn reżyser
Studia Teatru Niezależnego

Z nazwiskiem Ilczyna spotkałem się po raz pierwszy, nie wiedziałem również, że istnieje jakieś Studio. O Teatrze: Niezależnym słyszałem. I wiedziałem, że jest to jeden z czołowych teatrów, nigdy jednak w nim nie byłem.

List niebywale mnie zaintrygował, zwłaszcza że w owym czasie nie dostawałem w ogóle żadnych listów. Jestem bowiem, trzeba państwu wiedzieć, skromnym współpracownikiem „Wiadomości Żeglugi Śródlądowej”. Mieszkalem wówczas w dzielnicy Krasnyje Worota, w zaułku ChomutowoMm, w pokoju nędznym, ale za to z oddzielnym wejściem

Szedłem napawając się rześkim, powietrzem i myśląc o tym, że zaraz znowu będzie burza, a także o tym, jakim cudem Ksawery Ilczyn dowiedział się o moim istnieniu, jak mnie odszukał i czego może ode mnie chcieć.

Tego ostatniego mimo wszelkich, wysiłków w żaden sposób nie mogłem odgadnąć i wściecie poprzestałem na domyśle, że Ilczyn pragnie zamienić się ze mną pokojami.

Trzeba było, rzecz jasna; "napisać do Ilczyna," żeby przyszedł do mnie, skoro ma jakąś sprawę, muszę jednak wyznać, że wstydziłem się swojego pokoju, umeblowania i otoczenia. Wyobraźcie sobie, że Ilczyn wchodzi do pokoju i widzi kanapę z podartym obiciem, sterczącą sprężynę, lampę z abażurem z gazety nad biurkiem, szwendającego się kota — a z kuchni dobiegają przekleństwa Annuszki.

Wszedłem na podwórze przez bramę z kutego żelaza i ujrzałem sklepik, w którym siwy mężczyzna sprzedawał odznaki pamiątkowe i oprawy do okularów.

Dałem susa przez mętny potok płynący z coraz mniejszym impetem i znalazłem się przed żółtym budynkiem. Pomyślałem sobie, że dam ten

zbudowano w zamierzonych czasach, kiedy ani mnie, ani Ilczyna nie było jeszcze na świecie.

^łote litery na czarnej tablicy głosiły, że tu właśnie znajduje się Studio. Wszedłem do środka, gdzie natychmiast zastąpił mi drogę mężczyzna bardzo małego wzrostu, z bródką, w kurtce z zielonymi wyłogami.

— Obywatel do kogo? — zapytał podejrzliwie i rozczapierzył ręce, jakby łapał kurę.

— Chciałbym się zobaczyć z reżyserem Ilczynem — powiedziałem starając się, by głos mój zabrzmiał wyniośle.

Mężczyzna zmienił się nie do poznania, i to dosłownie w oczach. Stał w pozycji na baczność i uśmiechnął się fałszywym uśmiechem.

— Z Ksawerym Borysowiczem? Chwileczkę! Pan pozwoli paletko. Kaloszki też?

Mężczyzna wziął ode mnie paltot tak pieczołowicie, jakby to były bezcenne szaty sakralne.

Idąc na górę po żelaznych schodach przyglądałem się profilom wojowników w hełmach i groźnym mieczom skrzyżowanym pod nimi na płaskorzeźbach oraz starym holenderskim piecom z szybrami wypolerowanymi do złotego połysku.

Dom milczał, nie widać było żywej duszy, i tylko z tyłu kuśtykał mężczyzna z zielonymi wyłogami. Odwracając się od czasu do czasu, mogłem dostrzec, że stara mi się milcząco okazać dowody życzliwości, oddania, szacunku, miłości i radości z okazji mojego przybycia i że chociaż idzie za mną z tyłu, to jednak mi przewodzi i prowadzi mnie tam, gdzie znajduje się samotny a tajemniczy Ksawery Borysewicz Ilczyn.

Raptem zrobiło się ciemno, piece holenderskie straciły swój białawy, tłusty połysk, mrok spadł jak lawina — za oknami rozszalała się następna burza.

Zapukałem do drzwi, wszedłem i ujrzałem wreszcie w pomroce Ksawerego Borysewicza.

— Maksudow — przedstawiłem się z godnością.

Gdzieś daleko za Moskwą błyskawica rozpruła niebo, oświetlając na chwilę Ilczyna fosforyzującą poświatą.

— A więc to pan, przezacny Siergieju Lieantjewi-czu! — powiedział Ilczyn uśmiechając się przebiegle.

Mówiąc to objął mnie wpół i "usadowił na dużej kanapie, takiej samej jak w moim pokoju, nawet sprężyna sterczała' z-niej, w 'tym samym miejscu, ■ pośrodku.

Prawdę powiedziawszy, po dziś dzień nie mam pojęcia, jakim celem może służyć w teatrze pokój, w którym odbyło się feralne spotkanie. Co tam robiła kanapa? Co za nuty, rozsypane w nieładzie, leżały w kącie na podłodze? Dlaczego na oknie stała waga aptekarska? Dlaczego Ilczyn oczekiwał mnie właśnie w tym pokoju, a nie, dajmy na to, w sąsiednim salonie, w którym w nagle zapadającym zmroku rysowały się mgliście kontury fortepianu?

Przy akompaniamencie gruchania grzmotów Ksawery Borysowicz powiedział złowieszczo:

— Przeczytałem pańską powieść.

Przeszył mnie dreszcz. Sprawa polegała na tym, że...

ROZDZIA Ł II Atak *neurastenii*

Sprawa polegała na tym, że zajmując skromne stanowisko lektora w „Żegludze”, nienawidziłem swojej pracy i nocami, nieraz aż do świtu, pisałem na poddaszu powieść.

Zrodziła się pewnej nocy, kiedy obudziłem się ze smutnego snu. Śniło mi się miasto rodzinne,

śnieg, zima, wojna domowa... We śnie bezszelestnie przemknęła przede mną zadymka, a potem zjawił się podniszczony fortepian i stojący Wokół niego ludzie, których już dawno nie ma na świecie. Zdumiewała mnie w tym śnie moja samotność, rozczuliłem się nad sobą i obudziłem splakany. Zapaliłem światło — zakurzoną żarówkę nad biurkiem. Oświetliła mój ubogi dobytek — tandetny kałamarz, kilka książek i stos starych gazet. Bolał mnie lewy bok odgnieciony przez sprężynę, serce ścisnął strach. Poczulem, że za chwilę umrę przy biurku; ogarnięty plugawym lękiem śmierci poniżyłem się do tego stopnia, że jęknąłem i obejrzałem się z trwogą, szukając ratunku i pomocy. Ratunek nadszedł! Kot, którego nigdy nie znalazłem W bramie i przygarnąłem, cicho zamiauczał. Zwierzę zaniepokoiło się. Po chwili siedziało już na gazetach i patrzyło na mnie okrągłymi oczami, zapytując: co się stało? Popielatemu, chudemu zwierzęciu zależało na tym, żeby nic się nie stało. I rzeczywiście, któż by wówczas żywił starego kota.

— To atak neurastenii — wytłumaczyłem kotu — zaległa się we mnie, będzie się rozwijała i w końcu mnie pożre. Ale na razie jeszcze można wytrzymać.

Dom spał. Spojrzałem przez okno. Na wszystkich pięciu piętrach było ciemno. Zrozumiałem, że to nie dom, ale wielopokładowy statek, który mknie pod zastygłym czarnym niebem. Myśl o ruchu dodała mi otuchy. Uspokoilem się, kot też się uspokoił i zmrużył ślepią.

Tak zaczęła powstawać powieść. Opisałem widzianą we śnie zadymkę. Próbowałem odmalować połyskujący bok fortepianu pod lampą z abazurem. Nie wyszło, ale wstąpił we mnie upór.

We dnie starałem się tylko o to, żeby moja niewolnicza praca kosztowała mnie jak najmniej

wysiłku. Wykonywałem ją mechanicznie i w miarę możliwości bezmyślnie. Przy byle okazji zwalniałem się z pracy pod pretekstem "choroby". Nikt mi, rzecz jasna, nie wierzył, i miałem sporo przykrości. Znosiłem je zresztą cierpliwie i stopniowo przyzwyczailem się do takiego trybu życia. Wyglądałem nadejścia nocy jak niecierpliwy młodzieniec kochanki. Na przekłete mieszkanie spływał wówczas spokój. Siadałem przy biurku. Zaciekawiony kot sadowił się na gazetach, ale powieść intrygowała go tak bardzo, że co jakiś czas próbował przenieść się z papieru drukowanego na papier zapisany atramentem. Brałem go za kark i przywoływałem do porządku.

Pewnego razu w nocy podniosłem głowę i zdumiałem się. Mój statek nigdzie nie mknął, dom stał na swoim miejscu i było zupełnie jasno. Lampa nic nie oświetlała, była obrzydliwa i natrętna. Zgasilem ją i w świetle poranka ukazał mi się pokój w całej swojej ohydzie. Na asfaltowanym podwórzu widać było koty najrozmaitszej maści, przemykające się złodziejskim, bezszelestnym krokiem. Każdą literę ha zapisanym arkuszu można było odczytać bez lampy.

— Mój Boże! To już kwiecień! — zawołałem nie wiedzieć czemu z lękiem i napisałem dużymi literami: „Koniec”.

Skończyła się zima, skończyły zadymki i mrozy. W ciągu zimy wykruszyły się moje nieliczne znajomości, zdarłem doszczętnie ubranie, rozchorowałem się na reumatyzm i trochę zdziczałem. Ale goliłem się każdego ranka.

Rozmyślając o tym wszystkim wypuściłem kota na podwórze, a potem wróciłem i zasnąłem — chyba po raz pierwszy tej zimy — kamiennym snem.

Nad powieścią należy długo pracować. Trzeba skreślać liczne fragmenty, zastępować setki słów innymi słowami. Wielki, lecz niezbędny wysiłek!

Uległem jednak pokusie i po dokonaniu korekty pierwszych sześciu stron wróciłem do świata. Zaprosiłem gości. Było wśród nich dwóch dziennikarzy z „Wiadomości Żeglugi Śródlądowej” — takich samych jak ja ludzi pracy — z żonami oraz dwóch literatów. Jeden z nich młody, piszący opowiadania¹ z niebywałą zrećznością, czym wprawiał mnie w podziw, i dragi — starszy mężczyzna, który z niejednego pieca chleb jadł i który przy bliższym poznanu okazał się wstrętną świnią.

W ciągu wieczora przeczytałem im niemal czwartą część powieści.

Małżonki tak ogłupiały od lektury, że zaczęły mnie dręczyć wyrzuty sumienia. Dziennikarze i literaci okazali się jednak ludźmi odpornymi. Ich opinie były braterskie i szczerze, dość surowe i, jak mi się teraz wydaje — słuszne.

— Język! — wykrzykiwał literat (ten, który okazał się świnią). — Język to rzecz najważniejsza! A język jest do'! powietrza!

Wypił duży kieliszek wódki i połknął sardynkę. Nalałem mu drugi kieliszek. Wypił i zagryzł plasterkiem kiełbasy.

— Metafora! — krzyczał połykając zakąskę.

— Tak — zgodził się z nim uprzejmie młody literat — język jest raczej ubogi.

Dziennikarze nic nie powiedzieli, tylko pokiwali z wyrozumiałością głowami i gołnęły sobie. Damy nie kiwały głowami, nie odzywały się, kategorycznie odmówiły wypicia specjalnie dla nich zakupionego portwajnu i też gołnęły wódki.

— Pewnie, że ubogi, a niby jaki ma być — wykrzykiwał starszy — literatura to nie świńskie ucho! Bez niej jest pusto! Pusto! Niech pan to sobie zapamięta, staruszkule!

Słowo „staruszek” najwyraźniej w świecie dotyczyło mnie. Zmartwiałem

Goście odchodząc zapowiedzieli następną wizytą. Po tygodniu znów byli u mnie. Odczytałem dalszą porcję. Wieczór ten upamiętnił się dzięki temu, że starszy literat nieoczekiwanie i wbrew mojej woli wypił ze mną bruderszaft i zaczął mi mówić per „Leontjicz”.

— Język do luftu! Ale ciekawe! Ciekawe, niech cię kule biją (to znaczy mnie)! — krzyczał starszy literat wcinając nóżki w galarecie przygotowane przez Dusię.

Na trzecim wieczorze zjawiała się nowa postać. Był to również literat, o twarzy zjadliwej i diabolicznej, zezujący na lewe oko i nie ogolony. Oświadczył, że powieść jest niedobra, ale wyraził życzenie wysłuchania czwartej i ostatniej części. Była jeszcze jakaś rozwódka i facet z gitarą w futerał. Wyniosłem z owego wieczoru wiele pożytku. Moi skromni koledzy z „Żeglugi” zdążyli się przyzwyczaić do rosnącego grona słuchaczy i również wypowiedzieli swoje zdanie.

Jeden oświadczył, że rozdział siedemnasty jest zbyt rozwlekły, drugi — że charakter Wasieńki został nakreślony nie dość plastycznie. Obydwie uwagi były słuszne.

Czwarty i ostatni wieczór odbył się nie u mnie, lecz u młodego literata, który tak zręcznie pisał opowiadania. Zebrało się tam już ze dwadzieścia osób, poznałem też przy okazji babcię literata, bardzo sympatyczną staruszkę, którą szpecił jedynie wyraz lęku nie schodzący z jej twarzy przez cały wieczór, Poza tym widziałem nianię, która spała na kuf-
rze.

Powieść została odczytana. I wtedy nastąpiła katastrofa. Wszyscy słuchacze jak jeden mąż orzekli, że powieść nie nadaje się do druku, bo nie przejdzie przez cenzurę.

Usłyszałem to po raz pierwszy i dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, że pisząc powieść

ani razu nie pomyślałem o tym, czy cenzura ją puści, czy nie.

Zaczęła pewna pani. Powiedziała tak (dowiedziałem się później, że była to również rozwódka):

— Niech mi pan powie, panie Maksudow, czy pańska powieść przejdzie przez cenzurę?

— A skądże — krzyknął starszy literat. — W żadnym wypadku! Szkoda słów! Nie ma nawet cienia nadziei. Możesz być spokojny, staruszkule, nie przejdzie.

— Nie przejdzie! — odezwał się chórem krótszy koniec stołu.

— Język... — zaczął gość, który był bratem gitarzysty, ale starszy literat mu przerwał.

— Pal diabli język! — wrzasnął nakładając sobie na talerzyk sałatki. — Tu nie chodzi o język. Staruszek napisał kiepską, ale ciekawą powieść. Masz, draniu, dar obseiwacji. Skąd to do ciebie?! Nigdy bym nie przypuszczał! Ale... treść!

— Tak, treść...

— Otóż to, treść — krzyczał starszy literat zakłócając sen niani — czy wiesz, czego się dziś wymaga... Nie wiesz? No, właśnie!

Mrugał okiem, a jednocześnie pił wódkę. Potem uściśkał mnie i wycałował wołając:

— Masz w sobie coś niesympatycznego, daję słowo! Możesz mi wierzyć. Ale ja cię Kocham. Kocham, do jasnej cholery. A jaki sprytny, szelma, jaki cwany, niełatwo go rozgryźć! Co? Prawda? Zwróciliście uwagę na to miejsce w czwartym' rozdziale? Co on tam mówi do bohaterki? Otóż to!

— Po pierwsze, o jakie słowa chodzi... — zacząłem cierpiąc niewymownie z powodu jego poufałości.

— Najpierw mnie musisz pocałować! — wołał starszy literat. — Co? nie chcesz? Od razu widać, jaki z ciebie kolega! O, nie, braciszku, ty nie jesteś swój chłop!

— Pewnie, że nie swój chłop — potwierdziła solidarnie druga rozwódka.

— Po pierwsze... — zacząłem raz jeszcze, rozwścieczony, ale nie dali mi dojść do słowa.

— Żadne po pierwsze! — krzyczał starszy literat. — Jesteś typek z Dostojewskiego, i tyle! Nie kochasz mnie, to trudno. Bóg ci przebaczy, a ja też się nie pogniewam. Ale my cię szczerze kochamy i dobrze ci życzymy! — mówiąc to wskazał brata gitarzysty i jakiegoś nieznanego mi mężczyznę o purpurowej twarzy, który po wejściu przeprosił za spóźnienie, dodając, że przybywa właśnie z Łaźni Centralnej. — I powiem ci bez ogródek — kontynuował starszy literat — albowiem zawsze rąbię ludziom prawdę w oczy: nie pchaj się nigdzie, Leontjicz, ze swoją powieścią. Napytasz sobie biedy, a my, twoi przyjaciele, będziemy cierpieć myśląc o twoich męczarniach! Możesz mi wierzyć! Mam za sobą wiele gorzkich doświadczeń i znam życie. No, spójrzcie! — krzyknął obrażony, i gestem przywołał wszystkich na świadków — spójrzcie, on na mnie patrzy wilkiem. Tak mi się odwdzięcza za moją życzliwość! Leontjicz! — pisnął tak przeraźliwie, że niania za kotarą zlązła z kufra. — Zrozum! Zrozum wreszcie, że twoja powieść nie jest aż tyle warta... (w tym miejscu z kanapy doleciał przyjemny, melodyjny akord gitary), żebyś miał się dać za nią ukrzyżować. Zrozum!

— Ach, zy-rozum, ach, zy-rozum!... — zaśpiewał przyjemnym tenorem gitarzysta.

— I na tym koniec i kropka — wołał starszy literat — a jeżeli mnie teraz nie pocałujesz, to obrażę się śmiertelnie. Wstanę, opuszczę zacząć kompanię i pójdę sobie w świat!

Pocałowałem starszego literata cierpiąc przy tym niewysłowione katusze. Tymczasem chór

zdążył się już nieźle rozśpiewać. Ponad wszystkie głosy wybijał się maślany, tkliwy tenor:

— Ach, zy-rozum...

Skradając się jak kot, opuściłem mieszkanie trzymając pod pachą ciężki rękopis.

W kuchni zobaczyłam nianię z czerwonymi załzawionymi oczami, która pochyłona nad zlewem piła wodę z kranu.

Dałem jej rubla — Bóg raczy wiedzieć dlaczego-.

— A niech was wszyscy diabli — powiedziała ze złością niania, odtrącając rękę z rublem — już po trzeciej! Czy można tak męczyć człowieka!

Z daleka zagłuszając chór, rozległ się znajomy głos:

— Gdzie on jest? Uciekł? Zatrzymać go! No widzicie, towarzysze...

Ale obite ceratą drzwi już się zatrzasnęły za mną. Biegłem co tchu w piersiach.

ROZDZIAŁ III *Moje samobójstwo*

— Tak, to okropne — powiedziałem znalazłszy się w swoim pokoju. — Wszystko jest okropne. I ta sałatka, i niania, i starszy literat, i niezapomniane „zy--rozum”, i w ogóle całe to ir&je życie.

Za oknami zawodził jesienny wiatr, na pół oderwany kawał blachy łomotał na dachu, po szybach pelzły smugi deszczu. Po wieczorze z nianią i gitarą zdarzyło się wiele rzeczy, i to tak wstrętnych że nie chce mi się nawet o nich pisać. Przede wszystkim zacząłem natychmiast badać powieść pod tym kątem, czy przejdzie przez cenzurę, czy nie przejdzie. Oka-

17

zało się, że nie przejdzie. Starszy literat miał całkowitą rację: wołała o tym, jak mi się zdawało, każda linijka powieści.

Po zbadaniu powieści wydałem ostatnie pieniądze na przepisanie dwóch fragmentów, które zniosłem do redakcji pewnego miesięcznika. Po dwóch tygodniach odesłano mi je. W górnym rogu rękopisu widniała decyzja' „Nie do druku”. Odciałem, ten werdykt nożyczkami do paznokci i zniosłem te same fragmenty do redakcji innego miesięcznika. Po dwóch tygodniach otrzymałem je z . powrotem z identyczną: decyzją: „Nie do druku.”

A potem umarł kot. Przestał jeść, zaszył się w kącie i miauczał doprowadzając mnie do szału.. Trwało to trzy dni a czwartego dnia znalazłem go leżącego na boku w kącie.

Wziąłem łopatę od stróża i zakopałem kota na pustym placu za naszym domem. Zostałem sam jak palec, ale prawdę mówiąc w głębi duszy ucieszyłem się z tego. Ileż 'kłopotu sprawiało mi nieszczęsne' zwierzę!

A potem zaczęła się ślota i znowu rozboleło mnie ramię i lewa noga w kolanie.

Najgorsze, że wszystkiego było jednak to, że powieść jest do niczego. A jeżeli powieść jest do niczego, to znaczy, że nie ma po co żyć.

Spędzić resztę życia w „Wiadomościach Żeglugi Śródlądowej”? Wolne żarty!

Co noc leżałem z oczyma wlepionymi w nieprze-r nikiemniem ciemności i powtarzałem: „To okropne!” Gdyby ktoś mnie zapytał, czy pamiętam cokolwiek ;; z okresu mojej pracy w „Żegludze” — mógłbym odpowiedzieć z czystym sumieniem: „Nic nie pamiętam”.

Pod wieszakiem brudne kalosze, na wieszaku czyjaś mokra czapka z długimi nausznikami. I to wszystko.

— Okropne! — powtarzałem wsłuchując się w nocną ciszę, która szumiała mi w uszach.

Skutki bezsenności dały się odczuć po jakichś dwóch tygodniach.

Pojechałem tramwajem na Samotieczną-Sadową; tam w jednym z domów — numer zachowam, rzecz **jawila**, w najgłębszej tajemnicy — mieszkał pewien człowiek, który ze względu na charakter swojej pracy miał pozwolenie na broń.

W jakich okolicznościach zawarliśmy znajomość — mniejsza o to.

Wszedłem do mieszkania i zastałem mego przyjaciela leżącego na tapczanie. Kiedy podgrzewał w kuchni herbatę na prymusie, otworzyłem lewą szufladę jego biurka, ukradłem browning, a potem napiłem się herbaty i pojechałem do domu.

Dochodziła dziewiąta. Przyjechałem do domu. Wszystko było tak jak zwykle. Z kuchni dolatywał zapach smażonej baraniny, na korytarzu unosiła się znana mi dobrze od niepamiętnych czasów mgiełka, a w niej pod sufitem świeciła mdłym blaskiem żarówka. Wszedłem do mieszkania. Błysnęło i w tej samej chwili pokój pogrążył się w ciemnościach. To przepaliła się żarówka.

— Ziarnko do ziarnka — zbierze się miarka. Wszystko się zgadza — stwierdziłem oschle.

Zapaliłem prymus stojący w kącie na podłodze. Napisałem na kartce papieru: „Zawiadamiam niniej-«^{sz}ym, że rewolwer nr (zapomniałem już jaki), systemu takiego a takiego został przeze mnie skradziony Parfionowi Iwanowiczowi (następowało nazwisko, "lica, numer domu — wszystko jak należy)." Podpisałem oświadczenie i

położyłem się na podłodze przy prymusie. Ogarnęła mnie groza śmierci. Strach jest umierać. Wyobraziłem sobie nasz korytarz, baraninę i babcie Pelagie, starszego literata i „Żeglucę”; rozśmieszyła mnie na chwilę myśl o tym, jak ktoś z trzaskiem będzie wyważał drzwi do mego pokoju, itd.

Przyłożyłem lufę do skroni, rozdygotanym palcem namacałem spust. Naraz z dołu rozległy się dobrze mi znane dźwięki, zagrała ochryple orkiestra i tenor na płycie gramofonowej przejmująco zaśpiewał: „Czyż Bóg mi jednak wszystko wróci?”

„O, rety! Faust — pomyślałem. — Rzeczywiście rychło w czas. Ale poczekam na arię Mefista. Ostatni raz. Już nigdy jej nie usłyszę.”

Orkiestra chwilami niknęła pod podłogą, to znów; się zjawiała, ale tenor dał się coraz głośniej: „Przeklinam życie, wiarę i naukę!...”

„Zaraz, zaraz — myślałem — dlaczego on śpiewa tak szybko?...”

Tenor wrzasnął rozpaczliwie, a potem rozległ się grzmot orkiestry.

Drżący palec dotknął spustu, i w tej samej chwili ogłuszył mnie huk, serce gdzieś się zapadło i wydało mi się, że płomień prymusa podskoczył do sufitu. Rewolwer wypadł mi z ręki.

Huk rozległ się ponownie. Z dołu dał się słyszeć głęboki bas:

— Moje uszanowanie!

Odwróciłem się do
drzwi.

ROZDZIAŁ IV *Zdobywam ostrogę*

Ktoś pukał do drzwi. Stanowczo i już po raz drugi. Schowałem rewolwer do kieszeni spodni i niepewnym głosem krzyknąłem:

— Proszę!

Drzwi, otworzyły się. Leżąc Wciąż na podłodze, zdrewniałem z przerażenia. To był on ponad wszelką wątpliwość. W mroku majaczyła nade mną twarz

O władczym nosie i demonicznych brwiach. W grze cieni i światła wydało mi się, że dostrzegam pod kwadratowym podbródkiem czarną spiczastą brodę. Na głowie miał beret zawadiacko zsunięty na ucho. Pióra na berecie coś prawda nie było; Słowem, przede mną stał Mefistofeles.

Dopiero po chwili zauważyłem, — że jest w palcie 1 głębokich kaloszach, a pod pachą trzyma teczkę. „To zrozumiałe — pomyślałem — czyż mógłby w innej postaci pokazać się w Moskwie XX wieku?”

— Rudolfi — powiedział zły duch tenorem zamiast basem.

Mógł mi się zresztą nie przedstawiać. Poznałem go. W moim pokoju znajdował się Ilja Iwanowicz Rudolfi, jedna z najbardziej malowniczych postaci ówczesnego świata literackiego, redaktor i wydawca jedyne prywatnego miesięcznika „Ojczyzna”.

Wstałem z podłogi.

— Czy nie można by zapalić lampy? — zapytał Rudolfi.

— Niestety, to niemożliwe — odpowiedziałem — przepaliła się żarówka, a nie mam zapasowej.

Zły duch, który przybrał postać redaktora, wykonał jedną ze swoich nieskomplikowanych sztuczekr wyjął natychmiast z teczki żarówkę.

— Zawsze pan ma przy sobie żarówki? — zdziwiłem się.

— Skądże — wytłumaczył poważnie duch — zwykły zbieg okoliczności, właśnie wracam ze sklepu...

Kiedy w pokoju zrobiło się jasno i Rudolfi zdjął palto, zręcznym ruchem sprzątnąłem ze stołu kartkę z oświadczeniem o kradzieży rewolweru. Duch udał, że nic nie zauważył.

Usiedliśmy i nie odzywaliśmy się przez jakiś czas.

— Napisał pan powieść? — surowym tonem zaptał mnie wreszcie Rudolfi.

— Skąd pan wie?

— Likospastow mi powiedział.

— Widzi pan... — wyjąkałem (Likospastow był to właśnie ów starszy literat) — rzeczywiście... ale...i słowem, to kiepska powieść.

— Tak — powiedział duch i przyjrzał mi się uważnie.

Okazało się, że nie ma brody. Cienie zażartowały so bie ze mnie.

— Niech mi pan pokaże — rozkazał stanowcz Rudolfi.

— Za nic w świecie — odparłem.

— Niech mi pan po-ka-że! ■— dobitnie powtór. Rudolfi.

— Cenzura nie puści...

— Niech mi pan pokaże.

— Widzi pan, to rękopis, a ja mam ohydny chara¹ ter pisma. Zamiast „o” stawiam jakąś kreskę, a.

Mówiąc to nie zauważyłem nawet, że moje ręce otworzyły już szufladę, w której leżała nieszczęsna¹: powieść.

I

— Każde pismo czytam "jak druk — wyjaśnił Ru-, dolfi —/ nawyk zawodowy. — Bruliony znalazły się w jego rękach.

Upłynęła godzina. Siedziałem przy prymusie i gotowałem wodę, a Rudolfi czytał powieść. Mnóstwo myśli kłębiło mi się w głowie. Najwięcej myślałem o Rudolfim. Trzeba wiedzieć, że Rudolfi był świetnym redaktorem i zamieszczenie utworu w jego miesięczniku uważane było za zaszczyt i przyjemność. Powiniennem był cieszyć się z jego odwiedzin, nawet jeśli zjawił się w postaci Mefistofelesa. Z drugiej strony jednak powieść mogła mu się nie spodobać, a to byłoby bardzo przykre... Czulem też, że samobójstwo, przerwane w najciekawszym miejscu, już nie dojdzie do skutku, a co za tym idzie, od jutra znów się znajdę w otchłani kłesk i nieszczęść. Poza tym wypadło poczęstować gościa herbatką, a w domu nie było masła. Krótko mówiąc, miałem w głowie kompletny zamęt, który pogłębiała jeszcze myśl o niepotrzebnie skradzionym rewolwerze.

Tymczasem Rudolfi pochłaniał stronę po stronie, ja zaś bezskutecznie starałem się odgadnąć, jakie wrażenie sprawia na nim powieść. Twarz wydawcy była nieprzenikniona.

Kiedy wreszcie zrobił przerwę na przetarcie okularów, palnąłem jeszcze jedno, dodatkowe głupstwo:

— A co powiedział Likospastow o mojej powieści?

— Powiedział, że powieść jest do powietrza — odparł obojętnie Rudolfi przerzucając stronę. („Co za świnia z tego Likospastowa! Zamiast pochwalić kolegę itd...”)

O pierwszej w nocy napiliśmy się herbaty, a o drugiej Rudolfi przeczytał ostatnią stronę. Zacząłem się wiercić na kanapie.

— Tak — powiedział Rudolfi.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

— Naśladuje pan Tołstoja? — zapytał Rudolfi.

Ogarnęła mnie złość.

— O jakiego Tołstoja panu chodzi? Było ich wielu. Czy o Aleksego Konstanty no wicza, znanego pisarza, czy też o Piotra Andriejewicza, który schwytał za granicą carewicza Aleksie ja, czy może o Iwana Iwa-nowicza, numizmatyka, czy wreszcie o Lwa Nikołaje-wicza?

— Gdzie pan studiował?

Tu muszę zdradzić małą tajemnicę. Ukończyłem dwa fakultety, ale ukrywałem ten fakt.

— Skończyłem szkołę parafialną — powiedziałem chrząkając.

— Ach, tak — powiedział Rudolf i z lekkim uśmiechem. Potem zapytał: — He razy na tydzień pan się goli?

— Siedem razy.

— Proszę mi wybaczyć niedyskretne pytanie kontynuował Rudolf i — jak pan to robi, że ma pan

4.«V: ,,,,,,,,J_;<T-1_*>

— Smaruję włosy brylantyną. Czy mógłbym jednak zapytać, czemu to pan...

— Ależ oczywiście — odparł Rudolf i — ze zwykłej ciekawości. — I dodał: — Rzecz szczególna, czło^ wiek skończył szkołę parafialną, goli się codziennie, a leży na podłodze obok prymusa. Trudny z pana ■człowiek! — Potem zmienił nagle ton i powiedział oschle: — Cenzura pańskiej powieści nie przepuścił i nikt jej nie wydrukuję. Nie wezmą jej ani w „Zo- rzy", ani w „Przedświcie".

— Wiem o tym — powiedziałem twardo.

— A ja mimo to wezmę pańską powieść — powiedział surowym tonem (serce przestało rai na chwilę bić) — i zapłacę panu... (wymienił jakąś przeraźliwie niską sumę, zapomniałem już jaką) za arkusz. Jutro powieść zostanie przepisana na maszynie.

— To czterysta stronic! — krzyknąłem ochryple.

— Podzielimy ją na części — żelaznym głosem powiedział Rudolphi — i dwanaście maszynistek w moim biurze przepisze ją do wieczora.

Na takie dictum przestałem się buntować i postanowiłem podporządkować się Rudolfieniu. .

— Przepiszemy na pański koszt — ciągnął Rudolphi, a ja tylko kiwałem głową jak marionetka. — A poza tym trzeba będzie skreślić trzy słowa: na stronie pierwszej, siedemdziesiątej pierwszej i trzysta drugiej.

Zerknąłem do brulionów i zobaczyłem, że pierwszym słowem była „apokalipsa”, drugim „archanio-
łowie”, trzecim zaś „diabeł”. Skreśliłem je pokornie; chciałem co prawda nadmienić, że są to naiwne skreślenia, ale spojrzałem na Rudolfigo i nic nie powiedziałem.

— A potem — mówił dalej Rudolphi — pojedzie pan ze mną do cenzury. I najusilniej pana proszą, żeby nie pisał pan tam ani słówka.

Nie wytrzymałem i obraziłem się.

— Jeżeli pan sądzi, że powiem coś... — wybąka-
nałem z godnością — to mogę równie dobrze zostać w domu.

Rudolphi nie zwrócił najmniejszej uwagi na moją próbę protestu i mówił dalej:

— Nie może pan zostać w domu. Pojedzie pan ze mną.

— A cóż ja tam będę robił?

— Będzie pan siedział na krześle — instruował mnie Rudolphi — i w odpowiedzi na wszystko, cokolwiek pan usłyszy, będzie się pan uprzejmie uśmiechał...

— Ależ...

— A rozmawiać będę ja — zakończył Rudolphi.

Potem poprosił o czystą kartkę papieru, napisał na

niej ołówkiem coś, co składało się, o ile pamiętam, z kilku punktów, podpisał to, zmusił i mnie do

podpisu, następnie wyjął z kieszeni dwa szeleszczące banknoty, włożył moje bruliony do teczki i ulotnił się.

Nie mogłem zasnąć przez całą noc, przemierzałem krokami pokój, oglądałem banknoty pod światło, piłem zimną herbatę i oglądałem oczyma wyobraźni lady w księgarniach. Tłumy wchodziły do księgarni i pytały o ostatni numer miesięcznika. W domach ludzie siedzieli przy lampach i czytali miesięcznik. Niektórzy czytali na głos.

Mój Boże! Jakież to głupie! Ale byłem wówczas stosunkowo młody i nie należy się ze mnie śmiać.

R O Z D Z I A Ł

V *Niezwykłe zdarzenia*

Ukraść nie jest trudno. Odłożyć na miejsce — to dopiero sztuka. Pojechałem do mego przyjaciela z browningiem w kieszeni.

Serce zamarło mi w piersi, kiedy "usłyszałem za drzwiami jego wrzaski:

— Mamo! A kto jeszcze?... Słumiony głos jego matki, staruszki, odpowiedział:

— Hydraulik...

•— Co się stało? — spytałem zdejmując palto.

— Sąsiedzi rąbnęli mi rewolwer. A to dranie!

— No, no... — powiedziałem.

Matka staruszka latała po całym malutkim mieszkaniu, czołgała się po podłodze na korytarzu, zaglą- , dała do jakichś koszy.

--Mamo, to nie ma sensu. Niech mama wstanie z tej podłogi.

— Dzisiaj? — zapytałem radośnie. (Mój przyjaciel był w błędzie — rewolwer zginął poprzedniego dnia, wydawało mu się jednak nie wiedzieć czemu, że widział go wieczorem na biurku.) — Był ktoś u was?

— Hydraulik! — wrzasnął mój przyjaciel.

— Ależ, Parfiosza — powiedziała nieśmiało staruszka — przecież on nie wchodził do gabinetu, tylko od razu poszedł do kranu...

— Ojej, mamó!

— Nikt więcej nie przychodził? A wczoraj?

— Wczoraj też nikogo nie było! Tylko tyś był, nikt więcej. •

Raptem mój przyjaciel wybałuszył na mnie oczy.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — rzekłem z godnością.

Ach! Skaranie boskie z tymi inteligeritami, O byle co się obrażają! — krzyknął mój przyjaciel.

Przecież wiem doskonale, żeś nie ty go zwędził.

Co rzekłszy pobiegł pędem, żeby zobaczyć, przy którym kranie manipulował hydraulik. Jego mama odtwarzała przy tym rolę hydraulika, naśladowując jego ruchy, a nawet intonację.

— O, -tak wszedł — mówiła staruszka — powiedział „dzień dobry”, powiesił czapkę i poszedł...

— Dokąd poszedł?

Staruszka naśladowując hydraulika, ruszyła do kuchni, mój przyjaciel podążył za nią, a ja wykonałem ruch, świadczący pozornie, że idę razem z nimi, w rzeczywistości zaś wróciłem natychmiast do gabinetu, włożyłem browning nie do lewej, lecz do prawej szuflady, po czym udałem się do kuchni.

— Gdzie go zazwyczaj trzymasz? — zapytałem ze współczuciem, gdyśmy wrócili do gabinetu.

Mój przyjaciel otworzył lewą szufladę i wskazał puste miejsce.

— Nic nie rozumiem — powiedziałem wzruszając ramionami — doprawdy tajemnicza historia. Jasne jak słońce, że ktoś go ukrał.

Mój przyjaciel zupełnie się załamał.

— A jednak coś mi się zdaje, że rewolweru nie skradziono — powiedziałem po chwili — ktoś mógł go ukraść, skoro nikogo nie było?

Mój przyjaciel zerwał się i przeszukał kieszenie starego płaszcza wojskowego, który wisiał w przedpokoju. Nic nie znalazł.

— W takim razie widocznie go skradziono — powiedziałem w zadumie — trzeba będzie zawiadomić milicję.

Mój przyjaciel jęknął.

— A może schowałeś go przypadkiem gdzie indziej?

— Zawsze go kładę w tym samym miejscu! — krzyknął zdenerwowany i na dowód tego otworzył środkową szufladę. Potem szepcząc coś do siebie, otworzył lewą i nawet wsadził rękę do środka, potem — dolną i dopiero na końcu, klnąc dosadnie,; otworzył prawą.

— A to ci heca! — wrzasnął chrapliwie, patrząc na mnie. — A to ci heca! Mamo! Znalazł się!

Był tak uszczęśliwiony, że zatrzymał mnie na¹ obie- j dzie.

Po zlikwidowaniu sprawy z rewolwerem, która mi tak ciążyła na sumieniu, zrobiłem następny ryzykowny krok — rzuciłem pracę w „Wiadomościach Żeglugi Śródlądowej”.

Wkroczyłem w inny świat, zacząłem bywać u Rudolfigo i spotykać się z pisarzami, z których kilku ; cieszyło się już dużym rozgłosem. To wszystko jednak zatarło mi się teraz w pamięci, nie pozostawia-: jąc po sobie nic prócz uczucia nudy. Zapomniałem już o tym. Jedno tylko pamiętam doskonale — znajomość z człowiekiem, który finansował Rudolfigo, Makarem Rwackim.

Rzecz w tym, że Rudolfi miał wszystko — intelekt, spryt, a nawet pewną erudycję. Nie miał tylko pieniędzy. Tymczasem edytorska namiętność sprawiała, że musiał wydawać miesięcznik literacki bez względu na wszystko. Sądzę, że nie mógłby żyć bez miesięcznika. Z tej to właśnie racji znalazłem się pewnego razu w dziwnym lokalu na jednym z moskiewskich bulwarów. Tu rezydował wydawca Rwackij jak

mnie poinformował Rudolfi. Uderzyło mnie, że szyld przed wejściem do lokalu głosił, iż mieści się tu „Zakład przyborów fotograficznych”.

Jeszcze dziwniejsze było to, że w lokalu nie było żadnych przyborów fotograficznych z wyjątkiem paru kuponów perkalu i sukna zawiniętych w gazetę.

Było tam pełno ludzi. Wszyscy byli w paltach i kapeluszach i rozmawiali z ożywieniem. Obiły mi się o uszy dwa słowa: „druć” i „puszki” — i ogromnie się zdziwiłem, że wszyscy się na mnie gapią. Powiedziałem, że przyszedłem do Rwackiego w interesie; Natychmiast zaprowadzono mnie z atencją za przegródkę z dykty, gdzie moje zdziwienie wzrosło niepomiernie.

Na biurku, przy którym siedział Rwacki, wznosił się stos puszek z konserwami rybnymi.

Ale sam Rwacki nie spodobał mi się jeszcze bardziej niż obecność kilek w jego wydawnictwie. Był to mężczyzna szczupły, cherlawy, małego wzrostu, ubrany jak na mój gust — w „Zegludze” zdążyłem się przyzwyczać do bluz — nader dziwnie. Miał na sobie wizytową marynarkę, sztuczkowe spodnie, brudny sztywny kołnierzyk, do tego zielony krawat, a w krawacie szpilkę z rubinem.

Rwacki zadziwił mnie, a ja go przestraszyłem, a raczej wytrąciłem z równowagi oświadczeniem, że przyszedłem w celu podpisania z nim umowy o wydrukowanie mojej powieści w wydawanym przez niego miesięczniku. Opanował się jednak natychmiast, wziął przyniesione przeze mnie dwa egzemplarze u-mowy, wyjął wieczne pióro, nie czytając podpisał oba egzemplarze i podsunął mi je wraz z wiecznym piórem. Już się w nie uzbroiłem, gdy wtem wzrok mój padł na puszki z napisem „Wyborowe kilki astrachańskie” oraz rysunkiem przedstawiającym rozwieszone sieci i rybaka z podwiniętymi portkami. Doznałem nagle jakiegoś niemiłego uczucia.

— A pieniądze dostanę natychmiast zgodnie z u-mową? — zapytałem.

— Punktualnie za dwa tygodnie, obecnie mam małe kłopoty...

Odłożyłem wieczne pióro.

— ...lub za tydzień — pośpiesznie powiedział Rwacki — ■ dlaczego pan nie podpisuje?

— To już podpiszemy za jednym zamachem

Umowę

— powiedziałem — kiedy skończą się pańskie małe kłopoty.

Rwacki uśmiechnął się gorzko i pokiwał głową.:

— • Pan mi nie ufa?

— Co znowu!

— Ostatecznie w środę — powiedział Rwacki — jeżeli odczuwa pan brak pieniędzy.

— Niestety, nie mogę.

— Najważniejszy jest podpis — powiedział roztropnie Rwacki — a pieniądze może pan otrzymać:

nawet we wtorek.

. (

— Żałuję bardzo, ale nie mogę — mówiąc to odsunąłem umowę i zapiąłem palto.

— Chwileczkę! Ależ pan w gorącej wodzie kapany!

— zawołał Rwacki. — A ludzie jeszcze mówią, że pisarze są niepraktyczni.

Na jego bladej twarzy odmalowało się głębokie rozgoryczenie, obejrzał się nerwowo, ale właśnie] wbiegł jakiś młodzieniec i wręczył mu mały kartonik zawinięty w biały papierek.

„Bilet i miejscówka — • pomyślałem sobie — pewnie gdzieś wyjeżdża.”

Na policzkach wydawcy zakwili rumieniec, oczy mu zabłysły, czego nigdy bym się po nim nie spój dziewał.

Słowem, wypłacił mi wymienioną w umowie sumę, a na resztę wystawił weksle. Po raz pierwszy i ostatni w życiu trzymałem w ręku wystawione dla mnie weksle. Po blankiety

weksłowe specjalnie kogoś posyłało, ja zaś czekałem na nie siedząc na jakichś skrzyniach, które rozpaczały ostry zapach skóry por deszwowej. Pakt, że stałem się posiadaczem weksli, bardzo mi pochlebiał.

Następne dwa lub trzy miesiące rozplynęły mi się W pamięci. Pamiętam tylko, jak wyrzucałem Rudolfiemu, że posłał mnie do kogoś takiego jak Rwacki, twierdząc, że wydawca nie może mieć takich mętnych oczu i rubinowej szpilki w krawacie. Pamiętam również, jak zamarło mi serce, kiedy Rudolf i powiedział: „Niech no mi pan pokaże te weksle” — i jak znowu zaczęło bić, kiedy wycedził przez zęby: „Wszystko w porządku.” Nie zapomnę także nigdy, jak pojechałem zainkasować należność z pierwszego weksla. Okazało się najpierw, że sztyld „Zakład przyborów fotograficznych” już zniknął i zastąpił go sztyld „Skład baniek lekarskich.”

Wszedłem i powiedziałem:

— Chciałem się zobaczyć z Makarem Borysowiczem Rwackim.

Pamiętam doskonale, jak nogi ugięły się pod mną, kiedy usłyszałem, że Makar Borysowicz Rwacki znajduje się — zagranicą.

Ach, moje biedne serce!... Ale dziś to już nie ma znaczenia.

Do rzeczy jednak: za przegródką z dykty siedział brat Rwackiego. (Rwacki wyjechał za granicę w dziesięć minut po podpisaniu ze mną umowy — pamiętacie państwo tę miejscówkę?) Alojzy Rwacki stanowił diametralnie przeciwieństwo swojego brata. Był to wysoki mężczyzna atletycznej budowy. Weksle wykupił.

Należność za drugi weksel otrzymałem już, klnąc wszystko w żywe kamienie, w jakiejś oficjalnej instytucji, do której trafiają zaprotestowane weksle (zdaje się, że w biurze notarialnym, a może w banku; były tam zakratowane okienka).

Przy trzecim wekslu byłem już mądrzejszy. Przyszedłem do drugiego Rwackiego na dwa tygodnie przed terminem i powiedziałem, że czuję się zmęczony.

Ponury brat Rwackiego skierował na mnie wzrok i burknął:

— Rozumiem. Po co ma pan czekać na terminy? Może pan zainkasować choćby zaraz.

Zamiast ośmiuset rubli dostałem czterysta i z olbrzymią ulgą oddałem Rwackiemu dwa podłużne blankiety.

Ach, Rudolf i, Rudolf i! Dzięki ci i za Makara, i za Alojzego! Zresztą, nie uprzedzajmy wydarzeń, dalej będzie jeszcze gorzej.

Ale palto sobie kupilem.

I wreszcie nadszedł dzień, kiedy w trzaskający mróz wszedłem do tego samego lokalu. Było to wieczorem. Stuświeccwa żarówka nieznośnie raziła mnie w oczy. Pod żarówką za przegródką z dykty nie było żadnego¹ z braci Rwackich (czy muszę dodawać, że drugi też wyjechał?). Pod żarówką stał w palcie Rudolfi, a przed nim na biurku, na podłodze i pod biurkiem leżały i szaroniebieskie egzemplarze świeżo wydrukowanego numeru miesięcznika. Co za chwila! Teraz śmiać mi się z tego chce, ale wtedy byłem młodszy.

Rudolf i był rozpromieniony. Trzeba przyznać, że, ubóstwiał swoją pracę. To był redaktor z prawdziwego zdarzenia.

Istnieje pewien gatunek młodzieńców, który spotykaliście państwo zapewne w Moskwie. Młodzieńcy ci bywają w redakcjach miesięczników w chwili ukazania się nowego numeru, chociaż nie są pisarzami. Można ich spotkać we wszystkich teatrach na wszystkich próbach generalnych, chociaż nie są aktorami. Bywają na wernisażach, chociaż sami nie malują. Kiedy mówią o primadonnach operowych, nie wymieniają ich nazwisk, lecz nazywają je znacznie

pou-fniej — Olga Siemionowna czy Wiera Borisowna;- w podobny sposób mówią o ludziach na wysokich stanowiskach, chociaż nie znają ich osobiście. Na premierze w Teatrze Wielkim młodzieńcy ci, przeciskając się między siódmym a ósmym rzędem, pozdrawiają

przyjaźnie ręką kogoś siedzącego w łoży; w „Metropolii” zajmują stolik przy samej fontannie, a różnokolorowe lampki rzucają blask na ich spodnie z modynym kloszem.

Jeden z takich młodzieńców siedział z Rudolfim.

— Jak się panu podoba nowy numer? — zapytał Rudolf i. ■ . ■

— Iljo Iwanowiczu! — zaczął z głębokim uczuciem młodzieniec. — Uroczy numer, ale jeśli pan pozwoli, to pragnąłbym szczerze oświadczyć: my, pańscy czytelnicy, nie możemy zrozumieć, jak człowiek z takim smakiem jak pan mógł Wydrukować Maksudowa.

„Ładna historia” — pomyślałem drętwiejąc. Rudolfi mrugnął do mnie porozumiewawczo i powiedział:

— A dlaczego?

— Jak to dlaczego? — zawołał młodzieniec. — Po pierwsze... Czy pozwoli pan, Iljo Iwanowiczu, że będę z panem najzupełniej szczerzy?

— Ależ oczywiście, proszę bardzo — powiedział rozpromieniony Rudolfi.

— Po pierwsze, autor to po prostu analfabeta! Mogę panu zaraz pokazać dwadzieścia zdań z ordynarnymi błędami w składni!

„Trzeba będzie natychmiast jeszcze raz przeczytać całość” — pomyślałem zamierając ze strachu.

— No, a styl! — wykrzyknął młodzieniec. — Boże, co za potworny styl! A poza tym wszystko jest eklektyczne, wtórne, bez pazura. Tania filozofia, szalenie powierzchowne... Kiepsciutki i płaskie, Iljo Iwanowiczu! Nie mówiąc już o tym, że to epigon!

— Czyj epigon? — zapytał Rudolfi.

— Awerczenki! — krzyknął młodzieniec obracając numer miesięcznika w rękach i rozdzierając palcem

zlepione stronie. — Najzwyczajniejszego w świecie Awerczenki! Zaráż panu pokażę. — Z tymi słowy

3 — Powieść teatralna

33

młodzieniec zaczął wertować numer, ja zaś wyciągając niczym gęsiór szyję przypatrywałem się bacznie jego rękami. Niestety, nie znalazł tego, czego szukał. „Znajdę w domu” — pomyślałem.

— Znajdę w domu — obiecał młodzieniec. — Spaprany numer, Ijjo Iwanowiczu, daję słowo. Przecież to po prostu analfabeta! Co to za jeden? Gdzie się uczył?

— Twierdzi, że skończył szkołę parafialną — błyskając oczami, odparł Rudolf i — a zresztą, niech go pan sam zapyta. Poznajcie się, panowie.

Zielona pleśń zakwitła na policzkach młodzieńca, a w jego oczach odmalowało się niewymowne przerażenie.

Ukloniłem mu się, on odstłonił zęby w uśmiechu, grymas cierpienia wykrzywił jego sympatyczne rysy. Jęknął, gwałtownym ruchem wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa, i raptem ujrzałem, że ma zakrwawiony policzek. Osłupiałem.

— Co się panu stało?! — krzyknął Rudolf i. — To gwóźdź — odparł młodzieniec.

■ — To ja już sobie pójdę — powiedziałem drętwą, starając się nie patrzeć na młodzieńca.

— Niech pan weźmie swoje egzemplarze.

Wziąłem paczkę egzemplarzy autorskich, wymieniłem uścisk dłoni z Rudolfem, ukloniłem się młodzieńcowi, który trzymając nadal chustkę i przyciskając ją nadal do policzka, upuścił na podłogę swój numer i laskę, ruszył tyłem do wyjścia, uderzył łokciem o krzesło i wreszcie wyszedł.

Padał śnieg, świąteczny śnieg o dużych płatkach.

Nie chce mi się opisywać, jak przesiedziałem całą noc nad powieścią odczytując ją na wrywki. Cieką-, We, że chwilami podobała mi się, a chwilami wydawała wręcz okropna. Nad ranem budziła we mnie grozę.

Wydarzenia dnia następnego zachowały się w mojej pamięci. Rankiem odwiedził mnie mój tak szczęśliwie okradziony przyjaciel, któremu podarowałem egzemplarz powieści, wieczorem zaś udałem się na przyjęcie wydane przez grupę pisarzy z okazji wydarzenia o-groranej wagi — szczęśliwego powrotu z zagranicy znakomitego literata Izmaïła Aleksandrowicza Bon-dariewskiego. Przyjęciu dodawała splendoru okoliczność, że miało być ono zarazem powitaniem innego słynnego literata — Jegora Agapienowa, który powrócił właśnie z podróży do Chin.

Ubierałem się i szedłem na przyjęcie niesłychanie podniecony. Był to przecież nowy dla mnie świat, db którego pragnąłem się dostać. Teraz oto dane mi będzie ujrzeć ten świat, i to'z jak najlepszej strony — na przyjęciu mieli być najwybitniejsi przedstawiciele literatury, jej śmietanka.

I rzeczywiście, natychmiast po przybyciu doznałem euforii.

Pierwszym człowiekiem, którego ujrzałem, był ów wczorajszy młodzieniec z uchem przebitym gwoździem. Poznałem go, chociaż miał zabandażowaną całą twarz.

Ucieszył się na mój widok, jakby spotkał rodzynego brata, i długo ścisnął mi ręce opowiadając, że przez całą noc czytał moją powieść i że zaczęła mu się podobać.

— Ja również — odparłem — czytałem całą noc, ale mnie się przestała podobać.

Ucieliśmy sobie przyjemną pogawędkę, przy czym młodzieniec poinformował mnie, że będzie jesiotr w galarecie, i w ogóle był wesół i ożywiony.

Obejrzałem się — nowy świat, który otwierał przede mną swoje podwoje, z miejsca przypadł mi do gustu. Znajdowaliśmy się w olbrzymim mieszkaniu, stół był nakryty mniej więcej na dwadzieścia pięć osób; kryształ skrzyły się ognistym blaskiem, i nawet czarny kawior miotał iskry; świeże zielone ogórki budziły głupawo-wesołe myśli o jakichś piknikach, a nawet nie wiedzieć czemu o sławie et caetera. Przedstawiono mnie natychmiast powszechnie znanemu pisarzowi Lesosiekowowi oraz noweliście Tuńskiemu. Pań było mało, ale jednak były.

Likospastow siedział cichutko jak myszka. Coś mi szepnęło, że jest on chyba najniższy rangą pośród obecnych, że daleko mu nawet do jasnowłosego debiutanta Lesôsiekowa, nie mówiąc już, rzecz jasna, o Aga-pienowie lub o Izmaile Aleksandrowiczu.

Likospastow precyzyjnie przycisnął się do mnie, przywitaliśmy się.

— No, cóż — powiedział z westchnieniem Likospastow — moje gratulacje. Z całego serca. I powiem ci prosto z mostu: spryciarz z ciebie, bratku. Dałbym głowę, że nie wydrukują ci powieści, choćbyś stawał na głowie. Nie pojmuję, jakim cudem obrobiłeś Ru-dolfiego. Daleko zajdziesz — to ci przepowiadam! Zdawałoby się, taki skromniś, taka trusia... Cicha woda brzegi rwie...

W tym miejscu głośny dzwonek u drzwi wejściowych przerwał gratulacje Likospastowa. Krytyk Kon-kin, który pełnił obowiązki gospodarza (rzecz działa się w jego mieszkaniu), krzyknął: „To on!”

I miał rację: okazało się, że był to Izmał Aleksandrowicz. W przedpokoju rozległy się donośne słowa, potem odgłosy pocałunków i do

salonu wszedł jegomość niskiego wzrostu, w celuloidowym sztywnym kołnierzyku i w kurtce. Był bardzo zmieszany, cichy, pokorny i w rękę trzymał czapkę z daszkiem, którą powinien był zostawić w przedpokoju. Na aksamitnym otoku widniał zakurzony okrągły ślad po odprutych emblematach państwowych.

„Oj, coś tu nie gra...” — pomyślałem sobie: tak bardzo nie pasował wygląd przybysza do gromkiego śmiechu 4 słowa „dewolaje”, które doleciało z przedpokoju.

Rzeczywiście nastąpiło małe nieporozumienie. Po przybyciu do pokoju wkroczył Konkin prowadząc wysokiego przystojnego mężczyznę z wypięlegnowaną, falującą blond brodą i starannie ułożonymi kędziorami.

Obecny na przyjęciu powieściopisarz Fijałkow, o którym Rudolfi szepnął mi, że robił błyskawiczną karierę, ubrany był znakomicie (w ogóle wszyscy byli dobrze ubrani), ale jego garnitur nie umywał się nawet do stroju Izmaïła Aleksandrowicza. Brązowy garnitur ze świetnego materiału, uszyty przez pierwszorzędnego paryskiego krawca, doskonale leżał na zgrabnej; jakkolwiek nieco korpulentnej figurze Izmaïła Aleksandrowicza. Krochmalona koszula, lakierki, ametystowe spinki. Czysty, biały, lśniący, świeży, jasny, wesoły i braterski był Izmaïł Aleksandrowicz. Jego zęby zabłysły, kiedy wodząc wzrokiem po zastawionym do uczy stole krzyknął:

— Ha! Łajdaki!

Frunęły pod sufit śmiechy i brawka, rozległy się pocałunki. Izmaïł Aleksandrowicz "ściskał jednym rękę, z innymi całował się z dubeltówki, od niektórych zaś żartobliwie odwracał się, zasłaniając twarz białą dłonią, jak gdyby oślepiał go blask słońca — a jednocześnie prychał.

Wziął! mnie przypuszczalnie za kogoś zupełnie innego, ponieważ wyściskał mnie trzykrotnie, przy

czym od Izmaïła Aleksandrowicza zapachniało koniakiem, wodą kolońską i cygarem.

— Bakłażanów! — krzyknął Izmaïł Aleksandrowicz, wskazując człowieka, który wszedł pierwszy. — Państwo będą łaskawi, Bakłażanów, mój przyjaciel.

Bakłażanów uśmiechnął się uśmiechem męczennika. Był tak zmieszany w dużym obcym towarzystwie, że powiesił czapkę na czekoladowym posągu dziewczicy, która trzymała w rękach żarówkę.

— Wziąłem go z sobą — tłumaczył Izmaïł Aleksandrowicz — po co ma siedzieć w domu. Polecam go państwu: świetny chłopak i wielki erudyta. I przypomnicie kiedyś moje słowa: on nas wszystkich prześcignie, i to najwyżej za rok! Czemu, do diabła; po-, wisiłeś na niej czapkę? Bakłażanów!

Bakłażanów omal się nie spalił ze wstydu i spróbował przywitać się z obecnymi, ale nic z tego nie wyszło, ponieważ towarzystwo zawirowało w ceremoniale zajmowania miejsc, a między sadowiących się gości wpłynął już obrzmiaty, lakierowany kulebiak.

Uczta potoczyła się wesoło, zgodnie i dziarsko.

—Wszystko przez te dewolaje! — słyhać było głos Izmaïła Aleksandrowicza. — Po cośmy, Bakłażanów, żarli dewolaje?

Dźwięk kryształów pieścił ucho, wydawało się, że żyrandol rzuca silniejsze światło. Po trzecim kieliszku oczy wszystkich zwróciły się ku Izmaïłowi Aleksandrowiczowi. Rozległy się prośby:

— O Paryżu! O Paryżu!

— No, byliśmy akurat w salonie samochodowym — opowiadał Izmaïł Aleksandrowicz — uroczyste otwarcie, wszystko jak się patrzy, minister, dziennikarze, przemówienia, a wśród dziennikarzy stoi ten łobuz Kondiukow. Francuz, rzecz jasna, przemawia dalej... taka sobie mówka ad hoc...

Szampan, oczywista. Aż tu patrzę, Kondiukow nadyma się i, zanim się człowiek obejrzał, jedzie na całego do rygi. A tu, panie, minister! A ten drań... Nie mam pojęcia, co mu strzeliło do łba! Przepotworny skandal. Minister, ma się rozumieć, udaje, że nic nie zauważył, ale jak tu nie zauważyć... Frak, cylinder, spodnie — co najmniej za tysiąc franków — wszystko w drobny maczek... Wyprowadzili go, dali mu wody, odwieźli...

— Jeszcze! Jeszcze!... — wołano przy stole.

Tymczasem pokojówka w białym fartuszkuzaczęła

podawać jesiotra. Brzęk kryształów stawał się coraz silniejszy, słychać już było podniesione głosy. Ale ja pragnąłem za wszelką cenę dowiedzieć się, co było w Paryżu, i wyławiałem uchem z brzęku, łoskotu i krzyków opowiadanie Izmaïła Aleksandrowicza.

— Bakłażanów! Dlaczego nic nie jesz?

— Co dalej? Prosimy! — wołał młodzieniec bijąc brawo.

— Co było dalej?

— No, a potem te dwa łobuzy wpadły kiedyś na siebie na Champs-Elysees, oko w oko! Tableau! Tamten ani się obejrzał, jak ten łajdak Katkin zebrał się w sobie i plunął mu w gębę!...

— Oj, oj, oj!

— Taak. Bakłażanów! Znowu śpisz, niech cię diabli!... No i ze zdenerwowania — to str-rąszliwy neurastenik — spudłował i opluł kapelusz jakiejś damie, całkowicie postronnej!

— Na Champs-Elysees!

— Wielka rzecz! Tam to jest na porządku dziennym! A kapelusz wart był ze trzy tysiące franków! Oczywiście, jakiś pan sprzął go laską po pysku... Przepo-tworny skandal!

Coś strzeliło w kącie i żółte „Abrau" rozbłysło przede mną w wąskim kieliszku. Pamiętam, że piliśmy zdrowie Izmaïła Aleksandrowicza.

Potem znowu słuchałem opowieści o Paryżu.

— A on pyta gb obojętnie: „Ile”? A ten łobuz! — Izmał Aleksandrowicz aż przymrużył oczy. — „Osiem tysięcy” — powiada. A ten mu na to: „Służę uprzejmie!” Wyciąga rękę i pokazuje... figę!

— W Grand-Opera?

— Wielka rzecz! Co mu tam Grand-Opera! Tam po dwóch ministrów siedzi w drugim rządzie!

— No, a tamten? Co tamten? — pytał ktoś zaśmiewając się.

— A tamten go, rzecz jasna, od ostatnich!

— Boże drogi!

— Ma się rozumieć, wyrzucili ich obydwóch, tam]

się nie patyczkują.

Uczta nabierała rozmachu. Dym płynął nad stołem i układał się w warstwy. Już poczułem pod butem coś miękkiego i śliskiego, a kiedy się nachyliłem, zobaczyłem kawałek łososia, który nie wiadomo jakimi cudem znalazł się pod moimi nogami. Słowa Izmała Aleksandrowicza utonęły w wybuchach śmiechu i dalszy ciąg jego frapujących paryskich opowieści pozostał dla mnie tajemnicą. Nie zdążyłem wszakże zał stanowić się należycie nad ekscentrycznymi szczegółó] łami życia zagranicznego, gdyż dzwonek obwieścił przybycie Jegora Agapienowa. Tymczasem zaczął się] już niejaki zamęt. Z sąsiedniego pokoju dolatywały; dźwięki pianina, ktoś cichutko grał fokstrota; ujrzałem mojego młodzieńca, który dreptał w miejscu, przyciskając do piersi partnerkę.

Jegor Agapienow wkroczył dziarsko i zawadiacko,] a za nim wszedł Chińczyk — malutki, wyschnięty, żółtawy, w okularach w czarnej oprawie. Za Chińczykiem Wkroczyła pani w żółtej sukni i barczysty brodac, do którego zwracano się per „Wasył Pietrowicz”.

— To Izmasza tutaj?! — zawołał Jegor i ruszył w kierunku Izmaïła Aleksandrowicza.

Ten ostatni aż się zatrząsł w wybuchu radosnego śmiechu i krzyknął:

— Ha! Jegor!... — i zanurzył swoją brodę w ramieniu Agapienowa.

Chińczyk uśmiechał się do wszystkich dobrotliwie, ale nie odzywał się ani słowem, później zresztą też milczał jak zakłęty.

— Przedstawiam państwu mego chińskiego przyjaciela! — wrzeszczał Jegor wyciskawszy Izmaïła Aleksandrowicza.

Robił się coraz większy hałas i zamieszanie. Pamiętam, że tańczono w pokoju na dywanie, co było dość niewygodne. Na biurku stała filiżanka kawy. Wasyl Pietrowicz pił koniak. Widziałem Bakłazanowa śpiącego w fotelu. Pełno było dymu. W pewnej chwili poczułem, że właściwie czas już do domu.

Wtedy • właśnie zupełnie nieoczekiwanie doszło do rozmowy z Agapienowem. Zauważyłem, że mniej więcej od drugiej w nocy zaczął zdradzać oznaki zaniepokojenia. Zagadywał o coś rozmaitych ludzi, ale, o ile pamiętam, spotykał się w kłębach dymu z kategorię odmową. Usadowiwszy się w fotelu przy biurku, piłem kawę nie bardzo rozumiejąc, dlaczego ogarnęła mnie chandra i dlaczego Paryż wydał mi się naraz tak nudny, że nawet straciłem ochotę do odwiedzenia tego miasta.

I wtedy właśnie pochyliła się nade mną szeroka twarz w potężnych okularach. To był Agapienow.

— Maksudow? — zapytał.

— Tak.

— Słyszałem, a jakże — powiedział Agapienow — Rudolfi opowiadał. Wydrukował pana powieść?

— Tak.

— Podobno nielicha powieść. Ech, Maksudow! — mrugając do mnie przeszedł raptem na szept

Agapienow. — Niech pan zwróci uwagę na tę postać... widzi pan?

— Tego z brodą?

— Tak, tak, to mój szwagier.

— Pisarz? — zapytałem przyglądając się badawczo Wasylowi Piętro wieżowi, który uśmiechając się boja-źliwie i czule, pił koniak.

— Skądże! Działacz spółdzielczy z Tietuszy... Maksudow, niech pan nie traci czasu — szeptał Agapienów — bo będzie parł żałował. Co za zdumiewający typ! Wprost niezbędny dla pańskiej pracy. W ciągu jednej nocy wyduśi pan z niego dziesięć opowiadań, a potem każde sprzeda z zyskiem. Ichcioza.ur! Epoka brązu! Opowiada wstrząsające historie! Może pan so bie wyobrazić, czego on się tam napatrzył w Tietiu-szachi Niech pan go łapie, bo innm pana ubiegną i wszystko spaskudzą.

Wasył Pietrowicz poczuł, że o nim mowa, uśmiechnął się z jeszcze większym lękiem i napił się koniaku;

— A najlepiej... tak, to jest myśl! — ochryplym szeptem mówił Agapienow. — Zaraz go panu przedstawię... Pan jest kawalerem? — zapytał z niepokojem.

•—Tak — odparłem patrząc na niego osłupiałym „wzrokiem. ■■’.

Na twarzy Agapienowa odmalowała się radość.

j

— Wspaniale! Przedstawię go parm i pan go przenocuje! To jest myśl! Ma pan jakąś kanapę? Prześni się na kanapie, nic mu się nie stanie! A pojutrze wyjedzie.

Byłem tak oszołomiony, że zdołałem tylko wykrztusić:

— Mam jedną kanapę...

— Szeroką? — zapytał zaniepokojony Agapienow.; Odzyskałem jednak przytomność umysłu. W samą i porę, ponieważ Wasyl' Pietrowicz zaczął się już wiercić zdradzając wyraźną gotowość zawarcia znajomości, Agapienow zaś ciągnął mnie za rękę.

— Wybaczy pan — powiedziałem — ale niestety w żadnym wypadku nie mogę zabrać go do siebie. Mieszkam w przechodnim pokoju, w obcym mieszkaniu, a za parawanem śpią dzieci gospodyni... — Chciałem jeszcze dodać, że chorują na szkarlatynę, potem pomyślałem, że to za wiele kłamstwa naraz, i mimo Wszystko dodałem: — Chorują na szkarlatynę.

— Wasyl! — krzyknął Agapienow. — Chorowałeś na szkarlatynę?

Ileż to razy w życiu zdarzyło mi się słyszeć słowo „inteligent” skierowane pod moim adresem. Nie przeczę, zasłużyłem, być może, na to smutne miano. Tym razem jednak wziąłem się w garść i, zanim Wasyl Pietrowicz zdążył coś odpowiedzieć z błagalnym uśmiechem, oświadczyłem stanowczo Agapienowowi:

— Odmawiam kategorycznie. Nie mogę.

— A może jednak — szepnął cichutko Agapienow

— co?

”

— Nie mogę.

Agapienow zwiesił nos na kwintę i przygryzł wargi.

— Przecież on przyjechał do pana? Gdzież się w takim razie zatrzymał?

— Właśnie u mnie, niech go diabli — powiedział ponuro Agapienow.

— No to...

— A do tego przyjechała do mnie dzisiaj teściowa z siostrą. Zrozumże, człowieku, a tu Chińczyk na dodatek... Pętają się nie wiadomo po

co — dodał niespodziewanie Agapienow — ci szwagrowie. Siedziałyby sobie w Tietiuszach.

To mówiąc odszedł.

Ogarnął mnie jakiś nieokreślony lęk i, nie żegnając się z nikim oprócz Konkina, opuściłem mieszkanie.

ROZDZIAŁ VI *Katastrofa*

Będzie to chyba najkrótszy rozdział. O świcie poczułem, że przeszedł mnie dreszcz. Po chwili — drugi. Skurczyłem się i wlałem z głową pod kołdrę. Poczułem ulgę, ale na bardzo krótko. Raptem zrobiło mi się gorąco, potem znowu tak zimno, że zacząłem szczekać zębami. Miałem termometr. Wskazał 38,8. Oznaczało 'j to, że zachorowałem. i

Nad ranem spróbowałem zasnąć. Ranek ten pamiętam — tam dotychczas. Gdy przymykałem oczy, pochylała się nade mną natychmiast twarz w okularach i bębniła: „Weź.” A ja powtarzałem bez przerwy to samo: „Nie, nie vyeziiię.” Wasyl PieUowicz albo mi się śnił, albo rzeczywiście zamieszkał w moim pokoju, przy czym? najstraszniejsze było to, że nalewał koniaku sobie, a wypijałem ja. Paryż zrobił się zupełnie nie do zniesienia. Grand-Opera, a w niej ktoś pokazuje figę. Zrobi figę, pokaże i schowa. Zrobi, pokaże...

— Chcę powiedzieć prawdę — mamrotałem podli nosem, kiedy dzień rozlał się już za podartą, nie up^ raną zasłoną — całą prawdę. Wczoraj ujrzałem nowy: świat i poczułem do niego obrzydzenie. Nie chcę wejść do tego świata. To obcy świat. Obrzydliwy świat! Należy go zachować w całkowitej tajemnicy. Tsss!

Wargi mi zaschły nieprawdopodobnie szybko. Nie | wiadomo dlaczego położyłem przy sobie numer miesięcznika. Prawdopodobnie po to, żeby

poczytać. Ale nie czytałem. Chciałem jeszcze raz zmierzyć gorączkę, ale nie zmierzyłem. Niby to termometr leżał tuż obok, ale z jakichś powodów musiałem po niego gdzieś chodzić. Potem zacząłem tracić przytomność. Twarz mojego kolegi z „Żeglugi” jeszcze pamiętam, ale twarz doktora już mi się zamazała. Słowem, była to grypa. Przez kilka dni tonąłem w gorączce, potem temperatura spadła. Przestałem widzieć Champs-Elysees, nikt nie pluł nikomu na kapelusz i Paryż nie rozciągał się już na sto kilometrów.

Poczułem apetyt. Zaczyna sąsiadka, żona rzemieślnika, ugotowała mi rosół. Piłem go z filiżanki z utraconym uchem usiłując czytać swój utwór, ale za każdym razem po przeczytaniu dziesięciu linijek dawałem spokój.

Mniej więcej po dwunastu dniach byłem już prawie zdrowy. Dziwiłem się, że Rudolf i mnie nie odwiedził, chociaż, skreśliłem do niego parę słów prosząc go o to.

Dwunastego dnia wyszedłem z domu, udałem się do „Składu baniek lekarskich” i ujrzałem wielką kłódkę na drzwiach. Wsiadłem wówczas do tramwaju i długo jechałem trzymając się z osłabienia ramy i chuchając na zamarznąłą szybę. Przyjechałem tam, gdzie mieszkał Rudolf. Zadzwoiłem. Nikt mi nie otworzył. Zadzwoiłem ponownie. Otworzył mi jakiś staruszek i spojrzął na mnie z niechęcią.

— Czy zastałem pana Rudolfigo?

Staruszek spojrzął na czubki swoich nocnych pantofli i odparł:

— Nie ma go.

Na moje pytania, gdzie się podział, kiedy wróci, a nawet na głupie pytanie, dlaczego „Skład” jest zamknięty na kłódkę, staruszek nie mógł jakoś wydukać odpowiedzi i wreszcie sam zapytał, kim jestem. Udzieliłem mu wszelkich wyjaśnień, a

nawet opowiedziałem o powieści. Wtedy staruszek powiedział:

— Przed tygodniem wyjechał do Ameryki.

Doprawdy, nie mam zielonego pojęcia, gdzie zniknął Rudolfi i dlaczego? Co się stało z miesięcznikiem, jaki los spotkał „Skład baniek lekarskich”, w jaki sposób wyjechał i dlaczego do Ameryki — nie wiem i nigdy się nie dowiem. Kim był staruszek? A diabli go wiedzą...

Pod wpływem osłabienia po przebytej grypie w wycieńczonym mózgu mignęła mi nawet myśl, czy przypadkiem nie przyśniło mi się to wszystko — i sam Rudolfi, i druk powieści, **Jr** Champs-Elysees, i Wasyl Pietrowicz, i przebite gwoździem ucho. Po powrocie do domu znalazłem jednak u siebie dziewięć niebieskich numerów miesięcznika. Powieść była wydrukowana. Była. Oto ona.

■ Nie znałem, niestety, żadnego z autorów, którzy figurowali w miesięczniku.

Nie mogłem więc u nikogo zasięgnąć ir.formacji o Rudolfim.

■ Pojechałem raz 'jeszcze do „Składu” i przekonałem; się na własne oczy, że żadnego „Składu” już nie ma. **..jest** natomiast kawiarnia ze stolikami nakrytymi **ceratą**.

Proszę mi wytłumaczyć, gdzie się podziało kilkaset; numerów miesięcznika? Co się z nimi stało?

Tak zagadkowy wypadek, jak z tą powieścią i. z Rudolfim, nie zdarzył mi się nigdy w życiu, ■ -

ROZDZIAŁ VII

Doszedłem do wniosku, że w tej osobliwej sytuacji; postąpię najrozsądniej, jeżeli po prostu zapomnę o wszystkim i. przestanę myśleć o

Rudolfim. i o numerze; miesięcznika, który zniknął wraz; z **nim...** Tak też zrobiłem.

Nie zwolniło mnie to jednak z twardego obowiązku; dalszej walki o byt. Dokonałem obrachunku z > przeszłością.

" — A zatem — mówiłem sobie, siedząc przy pry-, musie, podczas gdy **za** oknem spożyła się marcową zadymka — poznałem następujące światy.

Świat.pierwszy: laboratorium uniwersyteckie, z którego pamiętam wyciąg i kolby na statywach. Rzuciłem ten świat podczas wojny domowej. Nie będziemy się spierać, czy postąpiłem lekkomyślnie, czy nie. Po nieprawdopodobnych przygodach (któż zresztą nie miał nieprawdopodobnych przygód podczas wojny domowej?) znalazłem się w „Żegludze”. Z jakich powodów? Nie da się ukryć •—■ marzyłem o tym, żeby zostać pisa-■> rzem. No i co? • Rzuciłem świat „Żeglugi” i wtedy właśnie otworzył przede mną swoje podwoje świat, do którego pragnąłem się dostać. No i masz ci los —: wydał mi się od razu nieznośny. Na samą myśl o Paryżu robi mi się ciemno w oczach i nie mogę trafić do drzwi. A wszystko przez tego Wasyla Pietrowicza! Siedziałby sobie w swoich Tietiuszach! Co z

**ICgU, Z.C J.Z.i.XACI±I
XUCAO(UIUWII.i Xlld
bCXXC:AH., ŁICU^
W**

tym Paryżu jest tak obrzydliwie. A zatem zawisnąłem w pustce? Tak jest.

W takim razie trzeba zasiać do pisania następnej powieści, skoro już sobie wybrałem ten fach, a na przyjęcia z powodzeniem można przestać chodzić. Mniejsza zresztą o przyjęcia, nie w tym sęk. Najgorsze jest to, że nie wiadomo, o czym ma być ta nowa powieść? Co mam do

powiedzenia ludzkości? Na tym polega cały kłopot.

A propos powieści. Spójrzmy prawdzie w oczy. Nikt jej nie czytał. Nie mógł czytać, ponieważ Rudolf i zniknął, zanim zdążył rozesłać numer. Zapewniam państwa, że mój przyjaciel, któremu podarowałem egzemplarz, też jej nie czytał.

I jeszcze coś: jestem przekonany, że po przeczytaniu tych słów niejeden nazwie mnie inteligentem i neurastenikiem. Nie będę się spierał o pierwszy epitet, jeżeli jednak chodzi o drugi, pragnąłbym oświadczyć najpoważniej w świecie, że jesteście państwo w błędzie. Nie mam w sobie ani odrobiny neurastenii. Żanim się zacznie szafować takim słowem, warto by się dowiedzieć dokładnie, co to jest neurastenia, i posłuchać opowiadań Izmaila Aleksandrowicza. Ale to tylko mała dygresja.

Przede wszystkim musiałem żyć, a w tym celu musiałem zarabiać pieniądze.

Przerwałem zatem marcową paplaninę i udałem się na poszukiwanie zarobku. Życie wzięło mnie za kołnierza i niczym syna marnotrawnego znów zaprowadziło do redakcji „Żegluga”. Powiedziałem sekretarzowi, że napisałem powieść, ale mało go to wzruszyło. Słowem, zobowiązałem się, że będę pisał cztery szkice na miesiąc, otrzymując za to wynagrodzenie określone przez odpowiednie przepisy. W ten sposób zarysowały się przede mną kontury bazy materialnej.

łać szkice i znów po nocach pisać powieść.

Pierwszą część planu wykonałem, ale za to z drugą zaczęły się dziać przedziwne rzeczy. Przede wszystkim udałem się do księgarń i nabyłem utwory pisarzy współczesnych. Pragnąłem dowiedzieć się, o czym piszą i jak piszą, gdzie się kryje czarnoksiężska tajemnica ich rzemiosła.

Nie liczyłem się z groszem, kupując najlepsze utwory, jakie były na rynku. W pierwszej

kolejności nabyłem dzieła Izmaila Aleksandrowicza, książkę Agapienowa, dwie powieści Lesosiekowa, dwa wybory opowiadań Flawiana Fijałkowa i wiele innych. Naj-sł pierw, rzecz jasna, rzuciłem się na Izmaila Aleksandrowicza. Już na widok okładki tknęło mnie nie-dobre przeczucie. Książka nosiła tytuł *Paryskie migawki*. Okazało się, że znam je wszystkie od pierwszej do ostatniej. Przypomniałem sobie przekłętogo Kon-diukowa, który pojechał do rygi w salonie samochodowym, i tych dwóch facetów, którzy pobili się na Champs-Elysees (jeden z nich, jak się dowiedziałem, § nazywał się Pomadkin, drugi — Szerstiannikow), i awanturnika, który pokazywał figę w Grand-Opera. Izraaif Aleksandrowicz, trzeba mu to przyznać, pisał z niezwykłym polotem i zaszczerpił mi uczucie jakiegoś lęku przed Paryżem.

Agapienow, jak się okazało, już po owej biesiadzie literackiej zdażył wydać tom opowiadań pod tytułem *Tietiuszański purgrabek*. Jak się łatwo domyślić, nie udało się nigdzie umieścić Wasyla Pietrowicza, noco-

wał u Agapienowa, który w końcu sam musiał wykorzystać gawędy szwagra tułacza. Wszystko było jasne, z wyjątkiem zupełnie niezrozumiałego słowa „purgrabek”.

Dwukrotnie zabierałem się do lektury powieści Lesosiekowa *Łabędzie* i dwukrotnie po przeczytaniu czterdziestu pięciu stron zaczynałem od nowa, ponieważ zapomniałem, co było na początku. Bardzo mnie to zaniepokoiło. W mojej głowie działo się coś nie-dobrego: przestałem lub jeszcze nie zacząłem rozumieć rzeczy poważnych. Odłożyłem więc Lesosiekowa, zabrałem się do Fijałkowa, a nawet do Likospastowa i ten ostatni sprawił mi nie lada niespodziankę. Czytając opowiadanie, w którym autor opisywał pewnego dziennikarza (opowiadanie nazywało się *Lokator z przydziału*), poznałem dziurawą kanapę z wystającą

sprężyną i bibułę na stole... Innymi słowy, chodziło... o mnie. Takie same spodnie, głowa schowana w ramionach i wilcze ślepią... kubek w kubek, co tu dużo gadać! Ale przysięgam na wszystko, że zostałem osz-kalowany. Nie jestem wcale fałszywy, chciwy, przebiegły, zakłamanym, nie jestem wreszcie karierowiczem i nigdy nie plotłem takich głupstw, jak w tym opowiadaniu! Po przeczytaniu utworu Likospastowa ogarnął mnie niewypowiedziany smutek, ale mimo wszystko postanowiłem spojrzeć na siebie z dystansu jak naj-surowiej — i bardzo jestem wdzięczny autorowi za tę decyzję.

Jednakże smutek i medytacje nad własną niedoskonałością były niczym w porównaniu z przerażającym uświadomieniem sobie, że nic nie zaczerpnąłem z książek najlepszych pisarzy, nie znalazłem, jeśli się tak można wyrazić, drogi, nie ujrzałem gwiazdy przewodniej. Wszystko mi obmierzło. Zaczęła mnie toczyć niczym robak paskudna myśl, że właściwie nie mam żadnych nadziei, iż zostanę pisarzem. I natychmiast

* — **Pomrić**

49

teatralna

Wpadłem na myśl jeszcze bardziej przerażającą — a co będzie, jeżeli zostanę takim pisarzem jak Likospas-tow? Uzbroiwszy się w odwagę powiem więcej: a gdyby nawet ni stąd, ni zowąd takim jak Agapienow? Purgrabek? Co to takiego purgrabek? To zwracanie głowy, zapewniam państwa.

Poza pisaniem szkiców spędzałem wiele czasu na kanapie, czytając rozmaite książki, które w miarę ich nabywania składałem na kulawej etażerce, na stole i po prostu w kącie. Z utworem własnym postąpiłem następująco: włożyłem pozostałe dziełki egzemplarzy wraz z rękopisem do szuflady, zamknąłem ją na klucz i postanowiłem, że nigdy, ale to nigdy w życiu do nich nie wrócę.

Pewnego razu obudziła mnie zadymka. Marzec obi fitował w zadymki i szalał, chociaż miał się już ku końcowi. I znowu, jak wówczas, obudziłem się spła kany. Co za znużenie, ach, co za znużenie! Znów ci sami ludzie, znów dalekie miasto i bok fortepianu, i strzały, i jeszcze ktoś obalony i leżący na śniegu.

Ci ludzie powstali we śnie, wyłonili się ze snu i zadomowili na dobre w mojej celi. Nie ulegało kwestii, że nie tak łatwo będzie się z nimi rozstać. Co począć?

Początkowo tylko rozmawiałem z nimi, a jednak trzeba już było wyciągnąć powieść z szuflady. I wtedy zaczęło mi się wieczorami wydawać, że z białych kart wyłania się coś kolorowego. Przypatrując się z bliska przymrużonymi oczami, spostrzegłem, że to obrazek. Co więcej — nie był to obrazek płaski, lecz trójwymiarowy, coś w rodzaju pudełeczka. Przez odstępy między linijkami przesączało się światło i widać było, że w środku poruszają się te same figurki, które zostały przeze mnie opisane w powieści. Ach, cóż to była za pasjonująca zabawa! Żałowałem nieraz, że kota już nie ma na tym świecie i nie mogę nikomu pokazać, jak w maleńkim pokoiku na białej karcie chodzą ludzie. Jestem pewien, że zwierzę wyciągnęłoby łapę i zaczęło drzeć pazurami stronicę. Wyobrażam sobie, jaką ciekawością płonęłyby kocie ślepie, jak by łapa skrobała litery!

Z biegiem czasu pudełko w książce napełniło się dźwiękami. Słyszałem wyraźnie, jak ktoś gra na fortepianie. Co prawda gdybym opowiedział to komuś, poradzono by mi zapewne, żebym zwrócił się do lekarza. Powiedziano by, że to ktoś gra w mieszkaniu

O piętro niżej, a nawet, być może, wymieniono by nazwę wykonywanego utworu. Nie zwróciłbym jednak najmniejszej uwagi na te słowa. Nieprawda! Nie, i po stokroć nie! To ktoś gra na fortepianie na moim biurku, to właśnie tutaj podzwaniają cichutko

klawisze. Ale nie koniec na tym. Kiedy w domu milknie gwar

I na dole nikt nie gra na żadnym instrumencie, słyszę, jak z zamieci dolatują także rozpaczliwe i wściekłe dźwięki harmonii, a do harmonii przyłączają się gniewne i smutne głosy i śpiewają śpiewają. Kto powiedział, że to o piętro niżej? Dlaczego w takim razie gaśnie światło w pokoiku, dlaczego na karcie ukazuje się zimowa noc nad Dnieprem, dlaczego wylaniają się końskie pyski, a nad nimi twarze ludzi w papa-, chach? Widzę ich ostre szable, słyszę ich przeszywający serce gwizd!

A tam, patrzcie, biegnie zdyszany człowiek. Przypatruję mu się pilnie przez dym z papierosa i widzę, jak coś błyska z tyłu... to strzał... człowiek z jękiem pada na wznak, jak gdyby ktoś z przodu zadał mu ostrym nożem cios w serce. Leży bezwładnie, a tuż obok głowy rozlewa się czarna plama krwi. A w górze — księżyc, a w dali — łańcuszek smutnych czerwonych światełek jakiejś wioski.

Można by tak się bawić do końca życia, wpatrywać się w białe karty... Ale jak utrwalić te figurki? Tak, żeby już pozostały na zawsze?

Pewnej nocy postanowiłem opisać czarodziejskie¹; pudełko. Ale jak[^]je opisać? ,

A całkiem zwyczajnie. Opisuj, bracie, to, co widzisz, a czego nie widzisz, tego opisywać nie należy. Proszą* bardzo: obrazek się rozjaśnia, obrazek nabiera kolorów. Czy mi się podoba?

Ogromnie. Piszę zatem: obrazek pierwszy. Widzę wieczór, pali się lampa; frę[^]j dzle abazuru. Otwarte nuty na fortepianie. Ktoś gra-* *Fausta*. W pewnej chwili fortepian milknie, ale różfl legają się akordy gitary. Kto to gra? Właśnie .ukazuje się w drzwiach z gitarą w ręku. Słyszę, jak coś nuci. Piszę: „Nuci.”

Ależ to doprawdy urocza gra! Nie trzeba chodzić/ ani na wieczory literackie, ani do teatru.

Pobawiłem się tak ze trzy noce z pierwszym obrazkiem, a trzeciego ranka zrozumiałem, że piszę sztuk

W kwietniu, kiedy śnieg zniknął z podwórka, pierwszy obrazek był już opracowany. Moi bohaterowie wykonywali ruchy, chodzili i mówili.

A pod koniec kwietnia nadszedł list od Ilczyna.

I

Teraz, kiedy czytelnik zna dzieje powieści, mogę snuć dalej wątek od chwili spotkania z Ilczynem.

ROZDZIAŁ

VIII *Złoty koń*

— Tak — przebiegle i tajemniczo mrużąc oczy por-wtórzył Ilczyn — przeczytałem pańską powieść.

Wlepiłem wzrok w mojego rozmówcę, który to rozjarzał się, to przygasał w drżących blaskach burzy. Deszcz zaczął w szyby. Po raz pierwszy w życiu miałem przed sobą czytelnika.

— Jak pan ją zdobył? Bo cały nakład, wie pan... — zrobiłem aluzję do losów powieści.

— Zna pan Griszę Ajwazowskiego?

— Nie.

Ilczyn podniósł brwi, był wyraźnie zdumiony.

— Grisza jest kierownikiem literackim w Kohorcie Jednomyślnych.

— Cóż to za Kohorta?

Błysnęło i zgasło. Ilczyn kontynuował:

— Kohorta — to teatr. Nigdy pan tam nie był?

— Nie byłem w żadnym teatrze. Wie pan, jestem w Moskwie od niedawna.

Natężenie burzy zmalało, zaczął powracać dzień. Zauważyłem, że budzę w Uczynię wesołe zdumienie.

— Grisza był zachwycony — nie wiadomo dlaczego jeszcze bardziej tajemniczo powiedział Ilczyn — i dał mi numer. Piękna powieść.

Nie wiedząc, jak się znaleźć w takiej sytuacji, ukloniłem się Ilczynowi.

— Wie pan, co mi przyszło do głowy? — szeptał Ilczyn mrużąc tajemniczo lewe oko. — Powinien pan przerobić powieść na sztukę!

„Palec boży!” — pomyślałem i odparłem:

— A wie pan, już ją zacząłem pisać.

Ilczyn zdumiał się do tego stopnia, że aż podrapał się prawą ręką w lewe ucho i jeszcze bardziej przy-mrużył oczy. Początkowo nie uwierzył zapewne w taki zbieg okoliczności, później jednak zdołał się opanować.

— Świetnie! Świetnie! Niech pan pisze dalej nie przerywając pracy ani na sekundę. Zna pan Misze Panina?

— Nie.

— To nasz kierownik literacki.

— Aha...

Potem Ilczyn powiedział, że miesięcznik zamieścił jedynie trzecią część powieści, a ponieważ znajomość dalszego ciągu jest rzeczą absolutnie niezbędną, będę musiał przeczytać z rękopisu pozostałe fragmenty jemu, Miszy oraz Eulampii Pietrownie. Nauczony doświadczeniem, już mnie nie zapytał, czy ją znam, ale sam wyjaśnił, że to kobieta-reżyser.

Wszystkie te projekty Ilczyna poruszyły mnie do głębi.

A on wciąż szeptał:

— Pan napisze sztukę, a my ją wystawimy. To będzie wspaniale! Cu?

Moja pierś falowała, byłem odurzony szalejącą w biały dzień burzą i jakimiś przecuciami. Ilczyn tymczasem mówił:

— I wie pan co, zdarzają się cuda, może uda nam się ugłaskać staruszka? Co?

Dowiedziawszy się, że samego staruszka też nie znam, pokiwał tylko głową, a w oczach miał wprost] wypisane: „O święta naiwności!”

— Iwan Wasiliewicz! — szepnął — Iwan Wasilie-; wicz? Co? Nie zna go pan? Nie słyszał pan nigdy> że stoi na czele Teatru Niezależnego? — I dodał: ■ — Coś podobnego!

W głowie mi zawirowało, świat otaczający wzruszał mnie w niepojęty sposób. Jak gdybym widział już to wszystko kiedyś we śnie, a teraz nieoczekiwanie tam się znalazł.

Wyszliśmy z pokoju, przeszliśmy przez salon z kominkiem, tak upajająco piękny, aż poczułem zawrót głowy. Niebo się wypogodziło i raptem na posadzkę; padł promień słońca. A potem mijaliśmy jakieś dziwne drzwi. Widząc, że mnie zaciekawiły, Ilczyn ku4 szącym ruchem palca zaprosił mnie do środka. Odgłosy kroków zamilkły, otoczyła nas cisza i całkowity mrok podziemi. Zbawcza ręka mojego towarzysza wy^ ciągnęła mnie stamtąd, w podłużnej szparze zabłysło sztuczne światło — to mój towarzysz rozsunał por-, tiery — i znaleźliśmy się na małej Widowni liczącej ze trzysta miejsc. Dwie lampy w żyrandolu rzucały przyćmione światło spod sufitu, kurtyna była podniesiona, a scena zionęła pustką. Miała w sobie coś tajemniczego i Majestatycznego. Jej kąty pogrążone były w mroku, na środku zaś wznosił się i połykiwał złoty koń stojący dęba.

— Dziś nie gramy — szepnął uroczyście, jak w kościele, Ilczyn; potem znalazł się przy moim drugim uchu i kontynuował: — Powodzenie u młodzieży zapewnione, a to grunt. Niech się pan nie przejmuj, że sala wydaje się malutka. W rzeczywistości jest to duża sala i nawiasem mówiąc, mamy komplety. A jeżeli jeszcze przełamiemy opory staruszka, to kto wie, może byśmy wystawili nawet na dużej scenie! Co?

„Kusi mnie — pomyślałem, a serce mi zamierało, to znów było gwałtownie, wstrząsane przecuciem. — Ale czemu plecie głupstwa? Przecież doprawdy komplety, nie mają żadnego

znaczenia, ważny jest **tylko** ten złoty koń i niesłychanie interesujący, arcytajemni-czy struszek, którego trzeba ugłaskać i którego opory należy przełamać, żeby sztuka mogła pójść..."

— To mój świat! — szepnąłem nie zdając sobie sprawy, że zaczynam myśleć na głos.

— Co? .

— Ach, nic...

Rozstałem się z Ilczynem wzięwszy od niego karteczkę:

Wielce Szanowny Iwanie PietrOwiczu! Będzie pan łaskaw Załatwić niezawodnie bilet na *Faworyta* dla autora *Czarnego śniegu*.

Zawsze szczęśliwy Ilczyn

— To się nazywa wejściówka — wytłumaczył Ilczyn. Przejęty, opuściłem teatr z pierwszą w życiu wejściówką w kieszeni.

Od tego dnia tryb mojego życia zmienił się gwałtownie. W dzień pracowałem gorączkowo nad sztuką, przy czym w dziennym świetle obrazki nie ukazywały się już na kartach rękopisu, pudełeczko zaś urosło do rozmiarów Studia.

Wieczorami czekałem niecierpliwie na spotkanie ze złotym koniem.

Nie wiem, czy sztuka pod tytułem *Faworyt* była dobra czy zła. Wcale mnie to nie interesowało. Przedstawienie miało jednak jakiś nieuchwytny urok. Ledwie w maleńkiej salce gasło światło, gdzieś za sceną rozlegały się dźwięki muzyki i do pudełeczka wchodzili ludzie w kostiumach z XVIII wieku. Złoty koń stał z boku sceny, bohaterowie sztuki kierowali się! tam niekiedy i siadali koło jego kopyt lub toczyli namiętne rozmowy przy końskim pysku, a ja się rozkoszowałem.

Ogarniało mnie rozgoryczenie, kiedy sztuka dobiegała końca i trzeba było wyjść na ulicę. Ogromnie mi" się chciało włożyć taki sam kaftan,

jaki nosili aktorzy,; i wziąć udział w akcji. Wydawało mi się na przykład, że byłoby cudownie, gdybym nagle wyszedł z boku z przyklejonym do twarzy, olbrzymim, zadartym no-; sem pijaka, w tabaczkowym kaftanie, z laseczką i ta-; bakierką w rękę i gdybym powiedział coś bardzo śmiesznego. Wymyślałem takie śmieszne rzeczy siedząc w zwartym szeregu widzów, ale aktorzy mówili inne śmieszne rzeczy, wymyślone przez innych ludzi, i sala od czasu do czasu wybuchwała śmiechem. Nigdy przedtem ani nigdy potem nie doznałem w życiu większej rozkoszy.

Na *Faworycie* byłem trzy razy, budząc zdumienie ponurego i zamkniętego Iwana Pietrowicza, który siedział w okienku z tabliczką „Kierownik Administracyjny Studia”. Pierwszy raz — w drugim rzędzie, drugi raz — w szóstym, a trzeci — w jedenastym. II-czyn regularnie dostarczał mi karteczek, dzięki czemu obejrzałem jeszcze jedną sztukę, w której aktorzy wchodzili na scenę w hiszpańskich kostiumach i w której jeden aktor grał sługę tak śmiesznie i wspaniale, że na czole wystąpiły mu z rozkoszy drobne kropelki potu.

Potem nadszedł maj i pewnego razu zebraliśmy się nareszcie w komplecie — Eulampia Pietrowna, Misza, Ilczyn i ja. Udaliśmy się do małego pokoiku w tym samym budynku. Otwierano już okna i miasto dawało o sobie znać klaksonami.

Okazało się, że Eulampia Pietrowna jest majestatyczną niewiastą z brylantowymi kolczykami w uszach, Misza zaś zadziwił mnie swoim śmiechem. Zaczynał się śmiać nieoczekiwanie — „ach”, „ach”, „ach” — i wtedy rozmowa urywała się; wszyscy czekali, aż skończy. A kiedy przestawał się śmiać, to w mgnieniu oka starzał się i pogrążał w milczeniu.

„Ma takie łagodne oczy — z przyzwyczajenia puściłem wodze chorobliwej fantazji. — Przed laty w Piatigorsku zabił w pojedynku przyjaciela. A teraz

ten przyjaciel przychodzi do niego nocami i w świetle księżycy kiwa głową pod oknem." Misza bardzo mi przypadł do gustu.

Zarówno Misza, jak Ilczyn i Eulampia Pietrowna wykazali niezwykłą cierpliwość, wysłuchując za jednym zamachem trzeciej części powieści, która następowała po wydrukowanym w miesięczniku fragmencie. Raptem poczułem wyrzuty sumienia i przerwałem oświadczając, że dalej i tak wszystko jest jasne. Było już późno.

Następnie słuchacze odbyli rozmowę, która jakkolwiek toczyła się w języku rosyjskim, była tak zagadkowa, że nic z niej nie rozumiałem.

Misza miał zwyczaj, dyskutując nad czymś, krążyć po pokoju i od czasu do czasu stawać jak wryty.

— Osip Iwanowicz? — cichutko zapytał Ilczyn mrużąc oczy.

— Mowy nie ma — odparł Misza i nagle chwycił go paroksyzm śmiechu. Kiedy się nacieszył do woli; przypomniał sobie znowu o zastrzelonym przyjacielu i od razu się zestarzał.

— W ogóle, jeżeli chodzi o seniorów... — zaczął II-Czyn. i '■ ■ ■ t'

— Nie sądzę — odburknął Misza.

— Bo na takich Galinach i na zespole pomocniczym daleko się... (To Eulampia Pietrowna.)

— Przepraszam bardzo — powiedział ostro Misza przecinając ręką powietrze — od dawna twierdząc że już czas zająć się tą sprawą w teatrze!

— A co na to Siwcew-Wrażek? (Eulampia Pietrowna.)

— Nie wiadomo także, co na to powiedzą Indie — dodał Ilczyn.

— Żeby tak ustawić wszystko od razu na obrotówce — szepnęła Ilczyn — toby sobie pojechali z muzyczką.

— Siwcew! — znacząco powiedziała Eulampia Pietrowna.

W tym miejscu na mojej twarzy odmalowała się zapewne taka rozpacz, że obecni przerwali swoją niepojętą rozmowę i zwrócili się do mnie:

— Prosimy pana usilnie, Siergiejju Leontjewiczu -ra powiedział Misza — żeby sztuka była gotowa nie później niż w sierpniu... Bardzo, ale to bardzo nam zależy, żebyśmy przed początkiem sezonu mogli ją już przeczytać.

Nie pamiętam, jak się skończył maj. Czerwiec też zatął mi się w pamięci, ale pamiętam lipiec. Siedziałem na golasa, zawinięty w prześcieradło, i pisałem sztukę. Pisało mi się im dalej, tym trudniej. Moje pudełeczko już dawno przestało dźwięczeć, powieść straciła blask i leżała jak martwa; pewnie nie miałem już do niej serca. Różnobarwne figurki przestały się ruszać na stole, i nikt nie przychodził mi z pomocą. Przed oczyma miałem teraz pudło Studia. Bohaterowie wyrosli i weszli do niego gracko i dziarsko. Widocznie tak dobrze się tam poczuli w towarzystwie złotego konia, że wcale nie mieli zamiaru odejść, a tymczasem wypadki rozwijały się i nic nie wskazywało na to, żeby miały dobiec końca. Potem upały się skończyły, szklany dzban, z którego piłem gotowaną wodę, stał pusty, a na dnie leżała mucha. Zaczęły się deszcze, nadszedł sierpień. Dostałem list od Miszy Panina. Pytał o sztukę.

Zdobyłem się na odwagę i przeciąłem bieg wypadków. Sztuka miała trzynaście odsłon.

ROZDZIAŁ DC *Zaczęło się*

Nad sobą, ilekroć podniosłem głowę, widziałem matową kulę wypełnioną światłem z boku — kolosalnych rozmiarów srebrny wieniec w oszklonej szafie, ze wstęgami z napisem „Ukochanemu Teatrowi Niezależnemu od

Moskiewskiej Izby Adw..." (ostatnie słowo zagięło się), przed sobą zaś — uśmiechnięte twarze aktorów, za każdym razem inne.

Z daleka napływała cisza, którą przerywało z rzadka jakieś chóralne zawodzenie, a potem zgiełk jak w łaźni. Kiedy odczytywałem swoją sztukę, na drugim końcu teatru odbywało się przedstawienie.

Ocierając coś chwila czoło chusteczką spostrzegłem krępego, tęgiego, starannie ogolonego mężczyznę z gęstą czupryną. Stał w drzwiach i bacznie mi się przyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał.

Tylko jego zapamiętałem, wszystko pozostałe drgało, połykiwało i mieniło się bez przerwy. Poza tym **jedynie wieniec nie ulegał żadnym metamorfozom — on też najbardziej utkwił mi w pamięci.**

Tak się odbyło czytanie sztuki, już nie w Studio,; lecz na Wielkiej Scenie.

Wychodząc w nocy z teatru obejrzałem się, żeby zobaczyć, gdzie byłem. W samym śródmieściu, tuż obok wielkiego sklepu spożywczego, naprzeciwko „Bandaży i gorsetów" stał nie wyróżniający się niczym gmach, z rysów przypominający żółwia, ozdobiony metalowymi latarniami w kształcie sześciątów.

Nazajutrz w jesiennym zmierzchu .ujrzałem ten gmach od środka. Pamiętam, jak szedłem po miękkim chodniku z żołnierskiego sukna wokół czegoś, co według mnie było widownią. Dookoła snuł się tłum lu7 dzi. Zaczynał się sezon teatralny.

Idąc po tłumiącym wszelkie odgłosy suknie dotar-' lem do miłutkiego gabinetu, w którym znalazłem starszego, równie miłutkiego pana, starannie ogolonego, o wesołym spojrzeniu. Był to człowiek, do którego obowiązków należało

przyjmowanie sztuk — Anton Antonowicz
Kniażewicz.

Nad biurkiem Kniażewicza wisiał barwny,
radosny
obrazek; o ile pamiętam, była na nim kurtyna z
pąso-
wymi frędzlami, za kurtyną zaś wesoly
jasnozielony
ogród...

rrr A, towarzyszu Maksudow — zawołał
przyjaźnie Kniażewicz pochylając na bok głowę.
— Czekamy, na pana! czekamy na pana! Proszę
bardzo, niechże pan siada, niechże pan siada!

Usiadłem w niesłychanie wygodnym
skórzanym fotelu.

— Wysłuchałem już, wysłuchałem pańskiej
sztuki — powiedział z uśmiechem Kniażewicz,
przy czym z niewiadomych powodów rozłożył
ręce. — Wspaniała sztuka. Prawdę
powiedziawszy, nigdy jeszcze takich sztuk nie
wystawialiśmy, ale kto wie, może właśnie

tę weźmiemy i wystawimy, weźmiemy i
wystawimy...

Im dłużej mówił Kniażewicz, tym weselsze miał
oczy.

— ...i z bogaci się pan, aż strach! —
kontynuował Kniażewicz. — Karetami będzie pan
rozjeżdżał! Tak, tak — karetami !v

„A jednak — pomyślałem sobie —
skomplikowana natura z tego Kniażewicza, bardzo
skomplikowana...”

Ku memu zdumieniu, im bardziej rozbawiony
stawał się Kniażewicz, tym większe czułem
napięcie.

Kniażewicz porozmawiał ze mną jeszcze trochę,
a potem zadzwonił.

— Zaraz pana skierujemy do Gawriiła
Stiepanowicza, do rąk własnych, jeśli tak można
powiedzieć, do rąk własnych! Co za wspaniały

człowiek z tego naszego Gawriiła Stiepanowicza... Nawet muchy nie skrzywdzi! Nawet muchy!

Mężczyzna w kurtce z zielonymi wyłogami, który wszedł na dzwonek, rzekł, co następuje:

— Gawriił Stiepanowicz jeszcze nie raczył przybyć do teatru.

— Skoro nie przybył, to przybędzie — tonem równie radosnym, jak poprzednio, powiedział Książewicz — przybędzie najdalej za pół godziny! A pan tymczasem dla zabicia czasu niech się przespaceruje po teatrze, rozejrzy się, rozerwie, napije herbatki w bufecie. I kanapek, kanapek niech pan sobie nie żałuje — nasz bufetowy, Jermołaj Iwanowicz, mógłby się poczuć dotknięty.

Poszedłem zatem pospacerować po teatrze. Stapanie

po suknie sprawiało mi fizyczną przyjemność, cieśzył mnie także panujący wokół tajemniczy półmrok

i cisza.

W półmroku zawarłem jeszcze jedną znajomość. Wysoki i chudy mężczyzna, mniej więcej w moim wieku, podszedł do mnie i przedstawił się:

— Piotr Bombardow.

Bombardow był aktorem Teatru Niezależnego. Powiedział mi, że był na czytaniu mojej sztuki i że, jego zdaniem, sztuka jest dobra.

Nie wiem, jak to się stało, ale od pierwszej chwili zaprzyjaźniłem się z Bombardowem.

Sprawił na mnie: wrażenie człowieka mądrego i posiadającego dar obserwacji.

— Nie zechciałby pan obejrzeć naszej galerii portretów w foyer? — zapytał uprzejmie Bombardow.

Przyjąłem z wdzięcznością tę propozycję i udaliśmy się do ogromnego foyer, które również było zasłane szarym suknem. Na ścianach między

oknami wisiały w kilku rzędach portrety i fotografie w owalnych złożonych ramach.

Z pierwszego portretu spojrzała na nas, namalowana farbami olejnymi, wydekoltowana kobieta w wieku; lat trzydziestu, ze spadzistą grzywką i "wyrazem ekstazy w oczach.

— Sara Bernhardt — powiedział Bombardow.

Obok słynnej aktorki wisiała oprawiona w ramki

'L

fotografia mężczyzny z wąsami.

— Andriej Pachomowicz Sewastjanow, kierownik światła Teatru Niezależnego — zauważył uprzejmie Bombardow.

Sąsiada Sewastjanowa poznałem sam — był to Molier.

Za Molierem ulokowała się pani w maleńkim, zsuniętym na bok, płaskim kapelusiku, w chustce spiętej na piersi strzałą oraz z koronkową chusteczką, którą trzymała w ręce odstawiając przy tym mały palec.

— Ludmiła Sylwestrowna Priachina, aktorka naszego teatru — powiedział Bombardow, a w jego oczach zabłysły jakieś isierki. Spojrzał jednak na mnie z ukosa i nic nie dodał.

— Przepraszam bardzo, a kto to jest? — zapytałem zdziwiony, widząc przed sobą okrutną twarz mężczyzny z wieńcem laurowym na kędzierzawych włosach. Mężczyzna miał na sobie toę, w rękę trzymał pięcio-strunną lirę.

— Cesarz Neron — powiedział Bombardow, a jego oczy znów rozbłysły i zgasły.

— A dlaczego?...

— Tak kazał Iwan Wasiliewicz — odparł Bombardow z kamiennym spokojem. — Neron był śpiewakiem i artystą.

— Ach, tak...

Za Neronem wisiał Gribojedow, za Gribojedowem — Szekspir w wykładanym,

krochmalonym kołnierzyku, za nim nieznanym osobnik, jak się okazało, niejaki Plisow, który od czterdziestu lat sprawował w teatrze pieczę nad sceną obrotową.

— Dalej wisieli: Moczalów, Żywokini, Goldoni, Beaumarchais, Stasow, Szczepkin, Maeterlinck. A potem z ram wyrzało czako ułańskie, zawadiacko zsunięte na bakier, pod nim zaś — wielkopańska fizjonomia, wypomadowane wąsy, generalskie kawaleryjskie epolety, czerwone wyłogi, ładownica.

— Nieboszczyk generał major Klaudiusz Aleksandrowicz Komorowski Echappard de Bioncour, dowódca ułańskiego pułku lejbgwardii jej wysokości.

Widząc, że mnie zaintrygował, Bombardow zaczął opowiadać:

— To naprawdę niezwykła historia. Pewnego razu przyjechał na dwa dni z Petersburga do Moskwy, zjadł obiad u Tiéstowa, a wieczorem trafił do naszego teatru. Ma się rozumieć, kupił bilet do pierwszego rzędu, siadł i patrzył. Nie pamiętam, jaką sztukę wtedy grano, ale naoczni świadkowie opowiadali, że podczas jednej ze scen, która rozgrywała się w lesie, z generałem stało się coś dziwnego... Las o zachodzie słońca,

t

ptaszki ćwierkają przed udaniem się na spoczynek, zg? sceną dzwony dalekiej wioski zwołują wiernych na wieczorne nabożeństwo... Ludzie patrzą, a tu nasz ge-' neral siedzi i ociera łzy batystową chusteczką. Ef przedstawieniu poszedł do Arystarcha Płatonowicza, do jego gabinetu. Bileter opowiadał potem, że generał, wchodząc do gabinetu, zapytał głosem głuchym i straszliwym: „Wskażcie mi, kędy droga?!“ Zamknęli się z

Arystarchem Płatonowiczem na cztery spusty...
f

— Przepraszam bardzo, a kto to jest Arystarch Płatonowicz?

Bombardow spojrzał na mnie, zdziwiony, ale natychmiast stał z twarzy zdziwienie i poinformował mnie:

— Na czele naszego teatru stoją dwaj dyrektorzy— Iwan Wasiliewicz i Arystarch Płatonowicz. Pan chyba nie jest z Moskwy?

— Nie, nie jestem... Ale proszę opowiadać dalej!

— ...zamknęli się na cztery spusty i nikt nie *wie!* o czym rozmawiali. Wiadomo tylko, że generał zaraz potem nadał do Petersburga telegram następującej treści: „Do Jego Cesarskiej Mości. Czując powołanie; do wstąpienia w poczet aktorów cesarskiego Teatru; Niezależnego zanoszę najkorniejszą prośbę o udzielenie mi dymisji. Komarowski-Bioncour.”

Westchnąłem głęboko z wrażenia i zapytałem:

— No i co dalej?

— Awantura — palce lizać! — odparł Bombardow. Telegram wręczono Aleksandrowi Trzeciemu o drugiej w nocy. Obudzono go specjalnie. Car wyszedł w białym, z brodą, krzyżyk na piersi... „Dawać tu telegram! — powiada. — Co się stało z moim Echa-ppardem?” — Przeczytał i ze dwie minuty nie mógł słowa wymówić, tylko poczerwieniał gwałtownie i sapał. Potem rozkazał: „Dać mi ołówek!” — i natychmiast napisał własną ręką na telegramie: „Zeby mi się nie śmiał pokazać na oczy w Petersburgu! Aleksander”. I położył się spać. A następnego dnia generał w żakiecie i spodniach sztuczkowych przyszedł od razu na próbę. Carską rezolucję utrwalono werniksem, a po rewolucji przekazano teatrowi. Może ją pan obejrzyć w naszym muzeum osobliwości.

— r\ jai^ic IUIC gij tvai generaj

— Cesarzy, wodzów i kamerdynerów w bogatych domach — odparł Bombardow ■— u nas, wie pan, wystawia się przeważnie Ostrowskiego, o jakichś tam kupcach... a potem przez dłuższy czas graliśmy *Potęęę ciemnoty*. Sam pan rozumie, że jeżeli chodzi o maniery... A generał miał to wszystko w małym palcu: kiedy pani ma trzymać chusteczkę albo jakie wino podać, a po francusku mówił idealnie, lepiej od Francuzów... Miał poza tym jeszcze jedną pasję: szalenie lubił naśladować śpiew ptaków za sceną. Kiedy grano sztuki, których akcja toczyła się latem na wsi, zawsze siedział za kulisami na drabince i kłaskał jak słowik. Przedziwna historia!

— Wcale nie dziwna, nie zgadzam się z panem! — zaprotestowałem gorąco. — W pańskim teatrze jest tak cudownie, że na miejscu generała postąpiłbym tak samo...

— Karaty gin, Taglioni — sypał nazwiskami Bombardow prowadząc mnie od portretu do portretu — Katarzyna Druga, Caruso, Teofan Prokopowicz, Igor Siewierianin, Battistini, Eurypides, kierowniczką damskiej pracowni krawieckiej Boby Iowa...

W tej chwili wbiegł cichutkim klusem jeden z tych, co nosili kurtki z zielonymi wyłogami, i zameldował szeptem, że Gawriił Stiepanowicz przybył do teatru. Bombardow urwał w pół słowa, mocno uściskał mi rękę i rzucił półgłosem zagadkowe zdanie:

— Niech pan będzie nieugięty! — i rozplynał się w mroku.

Ruszyłem za mężczyzną z zielonymi wyłogami, który biegł truchcikiem na przedzie, od czasu do czasu; kiwając zachęcająco palcem i uśmiechając się blade.

Na ścianach szerokiego korytarza, którym posuwaliśmy się naprzód, co dziesięć kroków widniały ogni-; ste napisy świetlne: „Cisza! Próba w toku!”

Mężczyzna w binoklach, w złotej oprawie, który no-; sił również kurtkę z zielonymi wyłogami, siedział w; fotelu na końcu tego okrężnego korytarza; widząc, że nadchodzę w asyście, zerwał się, ryknął szeptem: „Najniższe uszanowanie!” — i rozsunał przede mną ciężką portierę z wyszywanymi złotem inicjałami teatru; „T.N.”

Znalazłem się i namiocie. Sufit udrapowany był zielonym jedwabiem, który rozchodził się promieni-! ście od czubka, gdzie paliła się kryształowa latarnia. Stały tam miękkie meble, również obite jedwabiem; Jeszcze jedna portiera, a za nią oszklone matowymi; szybami drzwi. Mój nowy przewodnik i binoklach nie. zbliżył się nawet do nich, wykonał jedynie gest mają-! cy oznaczać „proszę łaskawie zapukać” i natychmiast! zniknął.

Zapukałem delikatnie, nacisnąłem posrebrzaną kła-! mkę w kształcie głowy orła, rozległ się syk pneumar tycznej sprężyny i drzwi wpuściły mnie do środka. Wpadłem na portierę, zaplątałem się w niej, przedarłem się w końcu...

Odchodzę z tego świata, opuszczę go niebawem! Zdecydowałem się na ten krok, ale mimo to strach mnie bierze... Jednak nawet w chwili śmierci pamiętać będę gabinet, w którym przyjął mnie dyrektor finansowy teatru Gawriił Stiepanowicz. Gdy tylko wszedłem, ogromny zegar, stojący w lewym rogu, melodyjnie wybił godzinę i zagrał menueta. *

Uderzyła mnie obfitość rozmaitych świateł. Zielone światło płonęło na biurku, a raczej nie było to biurko, lecz ściśle biorąc jakaś niesłychanie skomplikowana konstrukcja z dziesiątkami szuflad, pionowymi przegródkami na

listy, z drugą lampą na elastycznej srebrzystej nóżce i z elektryczną zapalniczką do cygar.

Piekielny czerwony ogień buchał spod palisandrowego stolika, na którym stały trzy aparaty telefoniczne. Małe białe światelko błyskało ze stoliczka z płaską zagraniczną maszyną do pisania i plikiem papieru o złożonych brzegach, z inicjałami „T, N.” Z sufitu również padało odbite światło.

Podłoga w gabinecie była pokryta suknem, nie żołnierskim wszakże, lecz bilardowym, na którym leżał ponadto gruby dywan w kolorze wiśniowym. Stała tam również kolosalna kanapa, obok niej turecki kal-jan. Na świecie był dzień w śródmieściu Moskwy, ale ani jeden promień słoneczny, ani jeden dźwięk nie docierał z zewnątrz do gabinetu przez okna zawieszane trzema warstwami portier. Panowała tu wieczna mądra noc, pachniało juchtem, cygarami i perfumami. Ciepłe powietrze muskało twarz i ręce.

Na ścianie obitej safianem wytłaczanym w złoty deseń wisiał portret mężczyzny z artystyczną czupryną, przymrużonymi oczami, podkreślonymi wąsami i z lorgnon w ręku. Domyśliłem się, że to Iwan Wasi-liewicz albo Arystarch Płatonowicz, ale który z nich dwóch — nie miałem pojęcia.

Mężczyzna niskiego wzrostu, z francuską czarną bródką i wąsami sterczącymi jak strzały, wykonał gwałtowny zwrot na obracającym taborecie i utkwiał we mnie spojrzenie.

— Maksudow — przedstawiłem się.

— Chwileczkę — powiedział mój nowy znajomy wysokim tenorem i wykonał gest oznaczający, że zaraz skończy czytać urzędowe pismo i...

...skończył czytać urzędowe pismo, zdjął binokle na czarnym sznureczku, przetarł zmęczone oczy i, odwra

tając się ostatecznie twarzą tło mnie, zaczął mi się przyglądać badawczo i w milczeniu. Patrzył mi ostentacyjnie prosto w oczy i studiował mnie wnikliwie, tak jak studiuje się nowy, zakupiony przed chwilą mechanizm. Nie robił tajemnicy z tego, że mnie studiuje, a nawet przymrużył oczy. Spuściłem wzrok, ale to nie pomogło. Zacząłem się wiercić w fotelu... W końcu pomyślałem sobie: „Oho, ho...” — i sam również, jakkolwiek z najwyższym wysiłkiem, wlepiłem w niego spojrzenie. Odczułem przy tym jakiś nieokreślony żal do Kniażewicza.

„Dziwna rzecz — pomyślałem — czy ten Kniażewicz jest ślepy... muchy... nawet muchy... wcale nie jestem taki pewien!... Stalowe, głęboko osadzone maleńkie oczka świadczące o żelaznej woli, szatańskiej odwadze i nieugiętej stanowczości... i ta francuska bródka... dlaczego miałby nie skrzywdzić muchy?... Jest niesamowicie podobny do dowódcy muszkietarów u Dumasa... jakże się on nazywał? Do diabła... zapomniałem!”

Milczenie przeciągało się ponad miarę. Przerwał je Gawriił Stiepanowicz. Uśmiechnął się jakoś filuternie i raptem złapał mnie za kolano.

— No, cóż — trzeba będzie chyba podpisać maleńką umóweczkę? — zwrócił się do mnie.

Wolta na taborecie, wolta w drugą stronę — i w ręku Gawriiła Stiepanowicza znalazła się umowa.

— Nie wiem tylko, jak ją podpiszemy bez uzgodnienia z Iwanem Wasiliewiczem? — mówiąc to Gawriił Stiepanowicz mimo woli rzucił przelotne spojrzenie na portret.

„Aha! Teraz już wiem, dzięki Bogu! — pomyślałem.

— To właśnie jest Iwan Wasiliewicz.”



— Mogą być przykrości... — kontynuował Gawriił Stiepanowicz. — Ale może dla pana zrobimy wyjątek!

— uśmiechnął się przyjaźnie.

Wtem ktoś otworzył drzwi bez pukania, rozchyliła się portiera i do gabinetu wkroczyła pani o typie południowym, z władczyimi rysami twarzy. Ukłoniłem się jej i powiedziałem:

— Maksudow.

Pani mocno, po męsku uściśnęła mi rękę, odparła: „Augusta Menażraki”, usiadła na stołku, wyjęła z kieszeni zielonego swetra złotą cygarniczkę, zapaliła papierosa i cichutko zaczęła coś wystukiwać na maszynie do pisania.

Przeczytałem umowę, ale prawdę mówiąc nic nie rozumiałem, a nawet nie usiłowałem zrozumieć.

Miałem ochotę powiedzieć im: „Grajcie moją sztukę, nie żądam nic w zamian. Pozwólcie mi tylko przychodzić tu codziennie, leżeć przez dwie godziny na tej kanapie, słuchać, jak bije zegar, i marzyć.”

Na szczęście nie powiedziałem tego.

Przypomniałem sobie, że w umowie często trafiały się zwroty „w przypadku” oraz „z tytułu” i że każdy punkt zaczynał się od słów: „Autor nie ma prawa...”

Autor nie miał prawa przekazać swojej sztuki jakimkolwiek teatrowi w Moskwie.

Autor nie miał prawa przekazać swojej sztuki jakimkolwiek innemu teatrowi w Leningradzie.

Autor nie miał prawa przesłać swojej sztuki do jakiegokolwiek miasta Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

Autor nie miał prawa przesłać swojej sztuki do jakiegokolwiek miasta Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

Autor nie miał prawa do opublikowania swojej sztuki.

Autor nie miał prawa żądać czegokolwiek od teatru, a czego właściwie — zapomniałem (punkt 21). Autor nie miał prawa protestować przeciwko czemuś a czemuś tam — również nie pamiętam, o co chodziło.

Jeden tylko punkt przerywał monotonię tego dokumentu — był to punkt 57. Zaczynał się od słów: „Autor obowiązany jest...” Punkt ten głosił, że „au- ,i tor obowiązany jest niezwłocznie i bezwzględnie dokonać w swojej sztuce wszelkich zmian, poprawek, j skrótów i uzupełnień, w przypadku jeśli dyrekcja lub | odpowiednie komisje, lub urzędy, lub organizacje, lub stowarzyszenia; lub osoby Wyposażone w odpowiednie pełnomocnictwa zażądają takowych — nie żądając za wymienione wyżej prace żadnego dodatkowego wynagrodzenia ponad to, które ustalono w punkcie piętnastym”.

■

183

Zwróciłem uwagę na ten punkt i przekonałem się, że po słowie „wynagrodzenie”, znajduje się tam puste miejsce. Podkreśliłem je wymownie paznokciem.

\ — A jakie wynagrodzenie uznałby pan ' za stoso-₁ wne? — zapytał Gawrił Stiepanowicz nie spuszcza-; jąc mnie z oka.

— Anton Antonowicz Kniażewicz — powiedziałem

—mówił, że otrzymam dwa tysiące rubli.

Mój rozmówca ze zrozumieniem pochylił głowę.

— Tak — powiedział, a po chwili milczenia dodał:

—Oj, te pieniądze, pieniądze! Ileż nieszczęść przyno* szą ludziom! Wszyscy bez przerwy myślimy o pieniądzach, a czy ktoś z nas pomyślał kiedy o duszy?

W ciągu mojego ciężkiego życia zdążyłem się już niemal zupełnie odzwyczaić od podobnych

sentencji. Słowa Gawriiła Stiepanowicza — muszę to przyznać

—wprawiły mnie w konsternację... Pomyślałem sobie: „A może Książewicz rzeczywiście ma słuszność... stwardniałem i zrobiłem się podejrzliwy...” Westchnąłem dla zachowania pozorów, mój rozmówca odpowiedział mi również westchnieniem, a potem naraz

mrugnął filuternie, cóż zupełnie nie pasowało do wes» tchnienia, i szepnął poufnym tonem:

— Czteryście rubelków? Co? Tylko jak dla pań? Co?

Szczerze mówiąc zmartwiłem się. Sęk w tym, że akurat nie miałem grosza przy duszy i bardzo liczyłem na te dwa tysiące.

— A czy nie można by tysiąc osiemset? spytałem. — Książewicz mówił...

— Chce być popularny — z goryczą powiedział Ga[^]. wriił Stiepanowicz.

Rozległo się pukanie do drzwi i mężczyzna z zie-y lonymi wyłogami wniósł tacę nakrytą białą serwetą. Na tacy znajdował się srebrny imbryk do kawy, dzba-, nuszek z mlekiem, dwie porcelanowe filiżanki, z ze-[^] wnątrz pomarańczowe, od wewnątrz zaś pozłacane, dwie kanapki z kawiosem, dwie z pomarańczowym wędzonym jesiotrem, dwie z serem i dwie z rostbee-; fem na zimno.

— Czy zaniósł list Iwanowi Wasiliewiczowi? —; zapytała wchodzącego mężczyznę Augusta Menażraki,

Ten zmienił się na twarzy i omal nie upuścił tacy.

— Ja latałem do bufetu, Augusto Awdiejwna —s. zaczął się tłumaczyć — a Ignutow polecił z listem.

— Kazałam odnieść nie Ignutowowi, ale tobie —» powiedziała Menażraki. — Czy to do niego

należy od-, noszenie listów Iwanowi Wasiliewiczowi? Ignutow jest głupi, może coś popłatać, powiedzieć nie tak... Chcesz^ żeby Iwan Wasiliewicz dostał gorączki?

— Chce—go zamordować — powiedział lodowatym tonem Gawriił Stiepanowicz.

Mężczyzna z tacą cicho jęknął i upuścił łyżeczkę.

— A gdzie był Pakin, kiedyś ty się zawieruszył w b.ufecie? — zapytała Augusta Awdiejwna.

— Pakin poleciał po samochód — tłumaczył się za-,

— A gdzie jest ten bufet? — zapytała Augusta Awdiejwna. „...”,71
pytany — ja poleciałem do bufetu i mówię do, Ignu-towa: leć do Iwana Wasiliewicza...

— A Bobków?

— Bobków poleciał po bilety.

— Postaw tutaj! — powiedziała Augusta Awdiejwna. Nacisnęła guziczek i ze ściany wyskoczył blat stolika.

Mężczyzna z zielonymi wyłogami zostawił tacę, od- . sunął siedzeniem portierę, otworzył drzwi nogą i wpakował się w nie tyłem.

— O duszy, o duszy pomyśl, Klukwin! — krzyknął za nim Gawriił Stiepanowicz i, odwracając się do mnie, powiedział poufnie: — Czteryśta dwadzieścia pięć, co? l

Augusta Awdiejwna nadgryzła kanapkę i zaczęła leciutko bębnić palcem po stoliku.

— A może tysiąc trzysta? Jest mi doprawdy szalenie przykro, ale odczuwam właśnie brak gotówki, a muszę zapłacić krawca...

— To on uszył ten garnitur? — zapytał Gawriił Stiepanowicz wskazując moje spodnie.

— Tak.

— Podle uszył, bestia! —' zauważył Ga wriił Stiepanowicz. — Niech go pan przepędzi na złamanie karku!

— Widzi pan...

— Nie mieliśmy nawet dotychczas takiego precedensu — Gawriił Stiepanowicz był wyraźnie w kłopotcie — żeby wypłacać autorom pieniądze przy podpisaniu umowy, ale dla pana... czterysta dwadzieścia pięć!

— Tysiąc dwieście — odparowałem z większą otuchą — bez tej sumy nie dam rady... jestem w trudnej sytuacji...

— A nie próbował pan grać na wyścigach? — zapytał współczującym tonem Gawriił Stiepanowicz.

— Nie — odparłem z żalem.

— Pewien nasz aktor, który też wpadł, w tarapaty finansowe, pojechał na wyścigi i niech pan sobie wyobrazi, że wygrał półtora tysiąca. Powiem panu po przyjacielsku: jeżeli weźmie pan za dużo, zginie pan marnie! Oj, te pieniądze! Jaki z nich pożytek? Ja na przykład nie mam pieniędzy i tak mi lekko na duszy, tak błogo... — To mówiąc Gawriił Stiepanowicz wywrócił kieszeń, w której rzeczywiście nie było pier niędzy i w której znalazł się jedynie pęk kluczy na łańcuszku.

— Tysiąc — powiedziałem.

— Niech się dzieje, co chce! — z animuszem zawołał Gawriił Stiepanowicz. — Dam panu pięćset rubli, choćbym miał to później przyplacić głową! Proszę podpisać!

Podpisałem umowę, przy czym Gawriił Stiepanowicz wyjaśnił, że wypłacone mi obecnie pieniądze stanowią zaliczkę, którą winienem zwrócić z pierwszych tantiem. Umówiliśmy się, że dziś dostanę siedemdziesiąt pięć rubli, pojutrze — sto, potem w sobotę następne sto, a resztę — czternastego.

O Boże! Jakże prozaiczna i ponura wydała mi się ulica po wyjściu z gabinetu. Mżył kapuśniaczek, wóz z drwami uwiązł w bramie, woźnica wrzeszczał dzikim głosem na konia, na twarzach przechodzących obywateli malowało się niezadowolenie z powodu złej pogody. Pędziłem do domu starając się nie dostrze- ' gać smutnej rzeczywistości. Na mojej piersi, niczym, najdroższy skarb, spoczywała umowa.

W mieszkaniu zastałem przyjaciela (patrz historia z rewolwerem).

Mokrymi rękami wyciągnąłem z zanadru umowę i krzyknąłem:

— Czytaj!

Mój przyjaciel przeczytał umowę i ku memu wielkiemu zdziwieniu rozżłościł się na mnie.

— Co to za świstek? Coś ty podpisał, głowo kapuściana? — spytał.

— Jak nie masz zielonego pojęcia o teatralnych sprawach, to siedź cicho! — rozżościłem się z kolei.

— Co to znaczy: „obowiązany jest, obowiązany jest”? A czy oni do czegoś się zobowiązują? — za-, mrucał ze złością mój przyjaciel.

Zacząłem opowiadać mu z zapalem o tym, jaką galerię obrazów posiada teatr, ile serca okazał mi Ga-wriił Stiepanowicz, wspomniałem o Sarze Bernhardt i o generale, Komarowskim. Nie szczędziłem wysiłków, żeby mógł sobie dokładnie wyobrazić, jak zegar wydzwania menueta, jak dymi kawa, jak cu- downie cichutkie są odgłosy kroków po suknie, ale zegar istniał tylko w mojej głowie, tylko ja widziałem złotą cygarniczkę i ogień piekielny w piecyku: elektrycznym, a nawet cesarza Nerona, nie zdołałem jednak przekazać tych wrażeń przyjacielowi.

— Czy to Neron sporządza u nich umowy? —
zają-i; żartował ni w pięć, ni w dziewięć mój
przyjaciel.

— A niech cię diabli! — krzyknąłem i
wyrwałem mu umowę.

Postanowiliśmy zjeść śniadanie i w tym celu po-
słaliśmy brata Ęusi do sklepu. Kropił jesienny
deszczyk. Cóż to była za szynka, co za masło! Ó
chwile szczęścia!

Moskiewski klimat znany jest ze swoich kaprys-
sów. Po dwóch dniach mieliśmy piękny, niemal
letni dzień. Podążyłem spiesznie do Teatru
Niezależnego. W rozkosznym nastroju, ciesząc się
zawczasu ze stu rubli, które miałem otrzymać,
zbliżyłem się do teatru i wtęm ujrzałem na słupie z
ogłoszeniami skromny afisz.

Przeczytałem, co następuje:

Repertuar Teatru Niezależnego w sezonie bieżą-
cym:

Aischylos	<i>Agamemnon</i>
Sofokles	<i>Filoktet</i>
Lope de	<i>Wędką Feniksany</i>
Vega	<i>Król Lear</i>
Shakespeare	<i>Dziewica</i>
. Schiller .	<i>Orleańska Nie z</i>
. Ostrowski	<i>tego świata</i>
. Maksudow .	<i>Czarny śnieg</i>

Stałem na chodniku z szeroko otwartymi ze
zdumienia ustami. Dziwię się bardzo, że nie
skradziono mi wówczas portfela. Ludzie potracali
mnie, robili na mój temat niepoehlebne uwagi, a ja
wciąż stałem, gapiąc się na afisz. Potęm
odszedłem na bok, żeby zobaczyć, jakie wrażenie
robi afisz na przechodniach.

Okazało się, że nie robi żadnego wrażenia. Nie
licząc trzech lub czterech obywateli, którzy rzucili
okiem na afisz, można by powiedzieć, że nikt go
nie czytał.

Nie upłynęło jednak pięć minut, a już zostałem wynagrodzony z nawiązką za cierpliwe oczekiwanie. W płynącym w stronę teatru potoku ludzkim dostrzegłem wyraźnie potężną głowę Jegora Agapie-nowa". Nadciągał w otoczeniu świty, w której mignął mi Likospastow z fajką w zębach i jakiś nieznajomy mężczyzna o sympatycznej, pulchnej twarzy. Zamykał pochód Kafr w cudacznym żółtym paltocie i nie wiedzieć czemu z gołą głową.

Towarzystwo dotarło do afisza i przystanęło. Nie wiem, czy zdołam opisać to, co się stało z Likospa-stowem. On pierwszy zatrzymał się i przeczytał. Na jego twarzy mienił się jeszcze uśmiech, z jego ust padały jeszcze słowa jakiejś dykteryjki. Oto doszedł do *Wędki Feniksany*... Raptem Likospastow zbladł i w mgnieniu oka zestarzał się. Niekłamanie przerażenie odmalowało się na jego obliczu. Agapienow przeczytał i powiedział: — Hm... ; > Nieznajomy grubas zaczął mrugać powiekami... „Przypomina sobie, gdzie mógł spotkać moje nazwisko”...

• Kair zapytał po angielsku, co tam zobaczyli jegCs; towarzysze. Agapienow powiedział: — Afisz, afisz... — i zaczął kreślić w powietrzu prostokąt, Kafr potrząsał głową nie mając zielonego pojęcia, o co chodzi:

Głowy całego towarzystwa to ukazywały się, to znów ginęły w gęstym tłumie przechodniów. Ich słowa dobiegały stamtąd chwilami, chwilami zaś tonęły! w ulicznym zgiewku.

Likospastow odwrócił się do Agapienowa i powiedział:

— No, niech pan powie, Jegorze Niłyczu, co się dzieje? Widział pan to? — Obejrzał się z rozpaczą w oku. — Powariowali...

Wiatr zdmuchnął koniec zdania.

Dolatywały do mnie strzepy basu Agapienowa i tenora Likospastowa.

•— Skąd się wziął? To ja zwróciłem na niego uwagę... To ja go znalazłem... ten sam... ta-ta-ta... obrzydliwy facet...

Wyszedłem z niszy i skierowałem się wprost na nich.

Likospastow pierwszy mnie zauważył i wprawiła mnie w zdumienie zmiana, jaka zaszła w jego oczach. Były to oczy Likospastowa, ale wyjrzało z nich coś nowego, obcego — przepaść rozwarła się między nami.

— No, bratku! — zawołał Likospastow ■— no, bratku! A tós nam dopiero zrobił niespodziankę! Aischy-los, Sofokles i ty. Jakim cudem tego dokonałeś, nie mam pojęcia, ale to genialne. Teraz już nie będziesz poznawał kolegów, szkoda gadać! Nie jesteśmy godni przyjaźni z Szekspirem!

— Przystałbyś się wygłupiać — powiedziałem nieśmiało.

— No, widzisz, już słowa nie można powiedzieć! Ładne z ciebie ziółko! Ale ja nie mam do ciebie pretensji. Daj pyska, stary! — Do mojej twarzy przyłgnał policzek Likospastowa, usiany króciutkim drutem kolczastym.

— Poznajcie się, panowie.

Zawarłem znajomość z grubasem, który nie spuszczał ze mnie oka. Ten przedstawił się: — Krupp.

Poznałem również Kafra, który powiedział długie zdanie w łamanej angielszczyźnie. Ponieważ nie zrozumiałem tego zdania, nic Kairowi nie odpowiedziałem.

— Pewnie wystawią w Studio? — dopytywał się Likospastow.

— Nie wiem — odparłem — podobno na Dużej Scenie...

Likospastow znowu zbladł i spojrzał z rozpaczą w jaśniejące niebiosa.

— No, cóż — powiedział chrapliwie — szczęść Boże! Może będziesz miał sukces. Nie udało się z powieścią, to może ze sztuką się uda. Kto wie! Tylko nie wbijaj się w dumę! I nie wyrzekaj się przyjaciół, bo to ostatnie świństwo!

Krupp przyglądał mi się nie wiedzieć czemu coraz bardziej zamyślony. Zauważyłem, że szczególnie go interesują moje włosy i nos.

Wypadało się już pożegnać. Była to przykra chwila. Jegor ściskając mi dłoń zapytał, czy przeczytałem jego książkę. Zdrętwiałem ze strachu i powiedziałem, że nie. Na to znów zbladł Jegor.

— On, by co przeczytał — wtrącił Likospastow —, on nie ma czasu na literaturę współczesną... Żartuję, oczywiście...

, — Niech pan przeczyta — z naciskiem powiedział Jegor — udał mi się tomik.

Wszedłem do teatru przez wejście prowadzące do łóż. Okno wychodzące na ulicę było otwarte. Mężczyzna w kurtce z zielonymi wyłogami przecierał je gałgankiem. Głowy literatów przepływały za zamglonymi szybami. Usłyszałem jeszcze głos Likospas-towa:

— A ty, człowieku, choćbyś pękł!... I gdzie, tu sprai; wiedli w ość?!

Afisz sprawił, że poczułem w głowie zamęt. Jedno? tylko wiedziałem na pewno: moja sztuka w gruncie rzeczy jest, mówiąc między nami, wyjątkowo kiepska i w związku z tym trzeba natychmiast poczynić jakieś kroki, a jakie — nie Wiadomo.

I oto na korytarzu, w łagodnym półmroku zjawila

się przede mną krępa postać tego samego mężczyz-

ny, który stał w drzwiach podczas czytania sztuki. Był to blondyn o stanowczym wyrazie twarzy i nie-

spokojnych oczach., Trzymał w ręku wypchaną tecz-

kę. \ ;* t ', ^

— Pan Maksudow? — zapytał

blondyn. : — Tak, to ja...

— Szukam pana po całym teatrze — powiedział mój nowy znajomy — pozwoli pan, że się

przedstawię: reżyser Foma Striż. No, wszystko w porządecz-ku. Niech się pan nie denerwuje i nie obawia: pańska sztuka jest w dobrych rękach. Podpisał pan umowę?

— Tak.

— To już mamy pana w garści — kontynuował Striż stanowczym tonem — a w ogóle powinien pan podpisać z nami umowę na całą dalszą produkcję.

Na cale życie! Żeby pan pisał tylko dla nas! Jeżeli pan chce, możemy to zrobić natychmiast. Raz, i gotowe! — Striż efektownie splunął do spluwaczki. — Ale do rzeczy: reżyserować pańską sztuką będą ja. Dwa miesiące roboty — i po krzyku. Piętnastego grudnia zrobimy próbę generalną. Schiller nam nie przeszkodzi. Z Schillerem nie będzie kłopotu...

— Przepraszam — wtrąciłem nieśmiało — ale mówiono mi, że reżyserować będzie Eulampia Pietrów-na.

■ Striż zmienił się na twarzy.

— Jaka tam znowu Eulampia Pierowna? — zapytał oschle. — Nie ma mowy o Eulampiach! — w je-, go głosie zabrzmiał metal. — Eulampia nie ma tu nic do gadania, wspólnie z Ilczynem będzie wystawiać *W podwórzu w oficynie*. A jak ktoś spróbuje pode mną dołki kopać, to napiszę do Indii! Poleconym, jeżeli zajdzie potrzeba — groźnie krzyknął Striż zdradzając zarazem pewien niepokój... — Daj pan egzemplarz! — rozkazał wyciągając rękę.

Wyjaśniłem mu, że egzemplarz nie został jeszcze przepisany.

— Gdzie oni mają głowy?! — oglądając się za siebie krzyknął z oburzeniem Striż. — Czy był pan już u Poliksény Toropieckiej w przedpieklu?

Nic z tego nie zrozumiałem i spojrzałem na Striża błędnym wzrokiem.

— Nie był pan? Ona dziś ma wolne. Jutro niech Pan weźmie egzemplarz i pójdzie do niej. Proszę się powołać na mnie! Odwagi!

W tej samej chwili wyrósł przed nami wytworny mężczyzna o nienaganych manierach i, z lekka gra-^{se}jując, powiedział grzecznie, lecz stanowczo:

— Jest pan proszony do sali prób, Fomo Siergieje-wiczu! Zaczynamy!

Foma wsadził teczkę pod pachę i znikł wołając dd^{ci} mnie na pożegnanie:

— Jutro do przedpiekła! Powołać się na mnie; ' A ja zostałem sam i długo jeszcze stałem nieru-
chomo.

ROZDZIAŁ

X *Sceny w przedpieklu*

Wpadłem na doskonały pomysł! Moja sztuka miała;! trzynaście odsłon. Usiadłem w swoim pokoiku i, trzy-; mając w ręku stary srebrny zegarek, zacząłem na] głos czytać sztukę, co zapewne ogromnie dziwiło sąsiadów za ścianą. Po przeczytaniu każdej odsłony noć! towałem czas na kartce. Kiedy doszedłem do końca/-okazało się, że lektura zajęła mi trzy godziny. Przybij pomniałem sobie też, że w sztuce są przerwy, pod-;' czas których publiczność udaje się do bufetu. Po url względnienu odpowiedniego czasu na przerwy zrozumiałem, że w ciągu jednego wieczoru mojej sztuki zagrać nie sposób. Po nocnych męczarniach, zwiążą* nych z tym problemem, skreśliłem jedną odsłonę! Spektakl skrócił się o dwadzieścia minut, ale to nią uratowało sytuacji. Przypomniałem sobie również, że; oprócz przerw bywają też pauzy. Na przykład aktorj ka stoi na scenie i, zalewając się łzami,

układa bul kiet w wazonie. Nie mówi ani słowa, ale czas lecł! Płynął stąd wniosek, że mrużyć w domu tekst pod nosem, a wygłaszać go ze sceny — to zupełnie cò innego.

Trzeba było koniecznie wyrzucić jeszcze ze sztuki to i owo. Ale co? Wszystko wydawało mi się ważne. Na domiar złego wystarczyło, żebym zdecydował się usunąć jakiś szczegół, a cały z takim wysiłkiem zhu? dowany gmach zaczynał walić się w gruzy. Śniły mi się spadające gzymsy i urywające się balkony* Były to sny prorocze.

Wyrzuciłem jedną z postaci, wskutek czego jedna odłona jakoś się przekrzywiła, a potem wypadła całkowicie. Pozostało jedenaście odłon.

Dalszych skrótów, chociaż głowiłem się zawzięcie i paliłem bez opamiętania, nie udało mi się dokonać. Codziennie bolała mnie lewa skroń. Zrozumiałem wreszcie, że nic nie da się zrobić, postanowiłem tedy pozostawić tę sprawę naturalnemu biegowi rzeczy i udałem się do Polikseny Toropieckiej.

„Bez Bombardowa hie dam sobie rady, szkoda gadać...” — pomyślałem.

Bombardow istotnie bardzo mi pomógł. Wytłumaczył mi, że zarówno Indie, o których już była mowa po raz drugi, jak i przedpiekle ■ — to nie majaczenia i nie omam słuchowy. Wyjaśniło się ostatecznie, że na czele Teatru Niezależnego stoją dwaj dyrektorzy — znany mi już nieco Iwan Wasiliewicz i Arystarch¹ Płatonowicz.

— Niech mi pan powie, dlaczego w gabinecie, w którym podpisywałem umowę, wisi tylko jeden portret — Iwana Wasiliewicza?

Bombardow, zwykle tak rezolutny, zmieszał się:

— Dlaczego?... W gabinecie na dole?.... Hm... Km... Arystarch Płatonowicz... widzi pan... jego portret wisi na górze...

Zrozumiałem., że nasza znajomość jest zbyt krótka i że Bombardow czuje się wobec mnie

skrepowany. Wynikało to niezbiecie z jego mglistej odpowiedzi. Delikatność nakazywała, żebym go przestał wypytywać. „Ten świat jest pełen uroku, ale kryje wiele tajemnic.” — pomyślałem sobie.

Indie? To bardzo proste. Arystarch Platonowicz przebywał obecnie w Indiach, dlatego właśnie Foma zamierzał wysłać do niego list polecony. Przedpiekle

—to taki aktorski dowcip. Nazwano tak — a nazwa ■

przyjęła się • — pokój przylegający do gabinetu dyre-

ktorskiego na górze, w którym pracowała Poliksen Wasiliewna Toropiecka, sekretarka Arystarcha Płató

nowicza. ■ ■ ■

— A kto to jest Augusta Awdiejewna? , ,

— Sekretarka Iwana Wasiliewicza, ma się rozumieć.

— Aha, aha...

— Niech sobie będzie aha powiedział Bommardów spoglądając na mnie w zamyśleniu — ale bardzo' panu radzę, żeby postarał się pan zrobić rią!

Toropieckiej dobre wrażenie. >

— Ależ ja nie potrafię.

— Musi się pan postarać!

Trzymając zwinięty w rulon manuskrypt przestąpiłem progi górnej części teatru i dotarłem do miejsca, gdzie zgodnie z otrzymanymi wskazówkami miał się znajdować przedpiekle.

Do przedpiekla prowadził przedpokój, w którym stała kanapa. Przystanąłem zdenerwowany i poprawiłem krawat głowiąc się nad tym, **jak** zrobić dobre wrażenie na Poliksenie Toropieckiej. Wtem usłyszałem, że w przedpiekle ktoś szlocha. „Zdaje mi się” — ^ pomyślałem i wszedłem do przedpiekla, przy czym od razu się przekonałem, że wcale mi się nie zdawało. Domyśliłem się, że

pani o wspaniałej cerze, się. | dżąc w szkarłatnym swetrze za żółtym biurkiem! jest Poliksena Toropiecka we własnej osobie. To on! płakała.

Zdetonowany i jeszcze nie zauważony stanąłem w | drzwiach.

Łzy spływały po policzkach Toropieckiej, która w | jednej ręce zaciskała chusteczkę, drugą zaś waliła w •biurko. Ospowaty, masywny mężczyzna w **kurtce** z zielonymi wyłogami, o oczach rozbieganych z przerażenia, stał przed biurkiem i wymachiwał rękami ■ w powietrzu.

— Poliksena Wasiliewna! — wołał z obłądną rozpaczą w głosie. — Poliksena Wasiliewna! Jeszcze nie podpisali! Jutro podpiszą!

— To nikczemność! ■ — krzyknęła Poliksena Toropiecka. — Postąpił pan nikczemnie, Damianie Kużmiczu! Nikczemnie!

— Poliksena Wasiliewna!

— To ci z dołu uknuli intrygę przeciwko Arystar-chowi Płatonowiczowi korzystając z jego wyjazdu do Indii. A pan im pomaga!

— Poliksena Wasiliewna! Skarbie jedyny! — wrzasnął przeraźliwym głosem mężczyzna. — Co też pani mówi! Żebym ja przeciwko swojemu dobroczyńcy...

— Nie chcę wcale słuchać — krzyczała Toropiecka. — To kłamstwo! Podłe kłamstwo! Przekupili pana!

Demian Kużmicz jęknął:

— Poli... Poliksena... — i raptem sam zaszlochał straszliwym, głuchym i szczekającym basem...

Poliksena podniosła rękę, żeby trzasnąć w biurko, potem trzasnęła i wbiła sobie w dłoń koniuszek pióra, sterczącego z wazonika. Pisnęła cichutko, wyskoczyła zza biurka, upadła na fotel odsłaniając nogi w zagranicznych pantofelkach ze szklanymi brylantami na sprzączkach.

Demian Kuźmicz tym razem nie krzyknął, ale wyczuł jakoś potwornie z głębi trzewi:

—Ratunku! Doktora! — i wybiegł, a ja podążyłem za nim do przedpokoju.

Po chwili obok mnie przemknął mężczyzna w szarym garniturze, z gazą i flakonikiem w ręku, i zniknął w przedpieklu.

Słyszałem, jak zawołał:

— Droga pani! Niech się pani uspokoi!

— Co się stało? — spytałem szeptem w przedpokój **ju** Demiana Kuźmicza.

— Proszę sobie łaskawie wyobrazić — zahuczał Demian Kuźmicz zwracając ku mnie zrozpaczone i pełne łez oczy — Poliksena Wasiliewna posłała mnie do komisji po skierowania dla naszych do Soczi jjaP październik... No i proszę, dali mi cztery skierowania a piąte, dla siostrzeńca Arystarcha Płatonowicza, zapomnieli podpisać w komisji, czy jak... Przyjdź jutro o dwunastej, powiadają... No i widzi pan — już uknułem intrygę! — Z męczeńskich oczu Demiana Kuźmicza było widać, że sumienie ma czyste, że nie uknuł żadnej intrygi i że w ogóle nie zajmuje się intrygami.

Z przedpiekla doleciał stłumiony okrzyk: „Aj!”* Demian Kuźmicz dał nogę z przedpokoju i znikł bez śladu Po dziesięciu mniej więcej minutach wyszedł doktor. Posiedziałem przez jakiś czas w przedpokoju na kanapie, a kiedy w przedpieklu rozległ się stukot maszyny do pisania, nabrałem odwagi i wszedłem.

Poliksena Toropiecka, upudrowana i już spokojna, siedziała przy biurku i pisała na maszynie. Ukłoni-: łem się, dbając o to, żeby ukłon mój był szarmancki,! a jednocześnie pełen godności, i odezwałem się rów-; niez z godnością a zarazem szarmancko, wskutek czego, ku memu zdziwieniu, mój głos zabrzmiał ponuro i głucho.

Gdy przedstawiłem się i powiedziałem, że skierował mnie tu Foma w celu podyktowania

sztuki na maszynę, Toropiecka poprosiła mnie, żebym poczekał, co też uczyniłem.

Ściany przedpiekła były gęsto zawieszono fotografiami, dagerotypami i obrazkami, wśród których królował wielki olejny portret okazałego mężczyzny w surducie i z bokobrodami w stylu lat 70-tych. Domyśliłem się, że to Arystarch Płatonowicz, ale nie mogłem odgadnąć, kim jest eteryczna panna, czy też pani, która wyglądała zza jego głowy trzymając w ręku zwiewny welon. Ta zagadka tak mnie dręczyła, że znalazłszy stosowną chwilę zapytałem o to.

Nastąpiła pauza, podczas której Poliksena przyjrzała mi się badawczym wzrokiem i wreszcie z pewnym ociąganiem się odparła:

— To muza.

— A-a... — powiedziałem.

Znów rozległ się stukot maszyny do pisania, a ja tymczasem zacząłem oglądać ściany i przekonałem się, że każdy rysunek lub fotografia przedstawiała Arystarcha Płatonowicza w towarzystwie innych osób.

Tak więc na pożółkłym starym zdjęciu widać było Arystarcha Płatonowicza na skraju lasu. Arystarch Płatonowicz miał na sobie jesienny strój miejski — wysokie kalosze, palto i cylinder. Jego towarzysz natomiast był w jakimś serdaku, z torbą myśliwską i dubeltówką. Miałem wrażenie, że skądś znam tę twarz, binokle i siwą brodę.

Wtedy okazało się, że Poliksena Toropiecka posiada nadprzyrodzony dar. Potrafiła jednocześnie pisać na maszynie i w jakiś cudowny sposób widzieć, co się dzieje w pokoju. Drgnąłem z wrażenia, kiedy, nie czekając na moje pytanie, odpowiedziała:

— Tak, tak. Arystarch Płatonowicz z Turgieniem na polowaniu.

W ten sposób dowiedziałem się, że dwaj mężczyźni w futrach stojący obok parokonnej

dorożki przed wejściem do Bazaru Słowiańskiego — to Arystarch Płatonowicz i Ostrowski.

Czterej panowie przy stole, na tle fikusa: Arystarch Płatonowicz, Pisiemski, Grigorowicz i Leskow.

Następne zdjęcie nie wymagało komentarzy: bosy starzec w długiej koszuli, łysy, o krzaczastych brwiach i zmierzwionej brodzie, z rękami zasuniętymi za pasek nie mógł być nikim innym jak Lwem Tołstojem. Arystarch Płatonowicz stał naprzeciwko niego w płaskim kapeluszu słomkowym i letniej marynarce z eze-suczy.

Następna akwarela wywarła na mnie' wrażenie; wprost wstrząsające. „To niemożliwe!” — pomyślałem. W nędznym pokoiku siedział mężczyzna o niesłychanie długim ptasim nosie, z pełnymi niepokoju oczami człowieka chorego, z włosami opadającymi w pasmach na wychudłe policzki, ubrany w obcisłe jasne rajtuzy, w buty o kwadratowych nosach i niebieski fraczek. Rękopis na kolanach, płonąca świeca na stole.

Młodzieniec w wieku lat szesnastu, jeszcze bez bokobrodów, ale już z charakterystycznym i pyszałko-watym nosem — słowem, wypisz wymaluj Arystarch Płatonowicz — stał w kurteczce opierając się rękami o stół.

Wybałuszylem oczy na Poliksene, która odpowiedziała mi oschle:

— Tak, tak. Gogol czyta Arystarchowi Płatonowiczowi drugą część *Martwych dusz*.

Włosy poruszyły mi • się na głowie, jakby ktoś dmuchnął z tyłu, i jakoś mimo woli wyrwało mi się?

— Ile lat ma w takim razie Arystarch Płatonowicz? Moje nietaktowne pytanie spotkało się z należyłą odprawą, przy czym głos Polikseny Wasiliewny zaczął lekko drgać.

— Tacy ludzie, jak Arystarch Platonowicz, nie mają wieku. Czy to pana tak dziwi, że w przeciągu działalności Arystarcha Platonowicza wiele osób korzystało z okazji, aby przebywać w jego towarzystwie?

— Ależ skąd! — zawołałem przestraszony. — Wręcz przeciwnie! Ja... — Tu utknąłem i nie dodałem już nic sensownego, gdyż pomyślałem sobie: „Co to właściwie znaczy wręcz przeciwnie?... — Co ja wygaduję?...”

Poliksena Wasiliewna umilkła, ja zaś pomyślałem sobie: „Niestety, nie udało mi się zrobić na niej dobrego wrażenia. To nie ulega wątpliwości!”

Wtem drzwi się otworzyły i do przedpiekła weszła żywym krokiem pani, w której od pierwszego wejrzenia poznałem Ludmiłę Sylwestrownę Priachinę z galerii portretów. Ubrana była dokładnie tak samo jak na portrecie: chustka spięta na piersi, taka sama chusteczka w ręce, którą trzymała w identyczny sposób odstawiając mały palec.

Pani wbiegła i roześmiała się perlistym śmiechem, wołając:

— Ach! Ach! Nie widzi pani? Nie Widzi pani?

— Czego nie widzę? — spytała Toropiecka.

— Słoneczka! Słoneczka! — wołała Ludmiła Sylwestrowna machając chusteczką, a nawet robiąc ja-r kieś taneczne pas. — Babie lato! Babie lato!

Poliksena spojrzała na Ludmiłę Sylwestrownę tajemniczym wzrokiem i powiedziała:

— Będzie pani musiała wypełnić ankietę.

Wesoły nastrój Ludmiły Sylwestrowny prysnął

w mgnieniu oka, a tak się zmieniła na twarzy, że teraz już nie poznałbym jej z portretu.

— Jaką znowu ankietę? Ach, mój Boże! Mój Boże! — (Jej głos również zmienił się nie do poznania.) — Przed chwilą tak się cieszyłam ze słoneczka, skupiłam się wewnętrznie, przed chwilą coś w sobie nawarstwiłam, wypielegnowałam kielek natchnienia, rozśpiewały się trącone struny, szłam tu jak do świątyni... a tu nagle... No, proszę mi dać, proszę mi dać tę ankietę!

— Niech pani nie podnosi głosu, Ludmiło Sylwe-strowna — zwróciła jej uwagę Toropieoka.

— Nie podnoszę głosu! Nie podnoszę! A poza ty: nic nie widzę! Druk się rozplywa... Priachina prz biegła wzrokiem szary formularz ankiety i 'rapte odtrąciła go. — Ach, niech pani sama wypełni! Zu pełnie się nie orientuję w tych sprawach.

Toropiecka wzruszyła ramionami i ujęła pióro.

— No, Priachina, Priachina — wykrzykiwała ner- ; wowo Ludmiła Sylwestrowna — no, Ludmiła Sylwe-strowna! Wszyscy to wiedzą, nic nie ukrywam!

Toropiecka napisała trzy słowa w ankiecie i zapy- , tała:

~ W którym roku pani się urodziła?

Pytanie to podziało na Priachinę w przedziwny sposób: czerwone plamy wystąpiły jej na policzkach, zniżyła naraz głos do szeptu:

— Matko Boska! Co się dzieje? Nie pojmuję, kto to musi wiedzieć? Dlaczego? Po co? No dobrze, dobrze. Urodziłam się w maju, w maju! Jakie jeszcze dane są potrzebne? Jakie?

— Potrzebny jest rok — powiedziała spokojnie Toropiecka.

Oczy Priachiny zbiegły się w kierunku nosa a je
, j
ramiona zaczęły drżeć. — powiedziała
Ach, tak bym pragnęła — szeptem

— żeby Iwan Wasiliewicz mógł zobaczyć, jak tu się pastwią nad artystką, która idzie na próbę!...

— Ludmiła Sylwestrowna, w ten sposób nie dojdziemy do ładu — powiedziała Toropiecka. — Niecifi pani weźmie ankietę do domu i wypełni, jak się pani żywnie podoba.

Priachina złapała arkusz i zaczęła go wpychać do torebki, wykrzywiając niemiłosiernie wargi.

Zadzwoił gwałtownie telefon. Toropiecka krzyknęła ostro:

— Tak! Nie, towarzyszu! Jakie bilety? Nie mam żadnych biletów!... Co? Słuchajcie, obywatelu, zabłeraćcie mi czas! Nie mani żadnych bi... Co? Ach! — Toropiecka zarumieniła się. — Ach, najmocniej przepraszam! Nie poznałam po głosie! Oczywiście, oczywiście! Będą czekały u biletera! Program też — sama dopilnuję! A Fieofiił Władimirowicz nie przyjdzie do nas? Jaka szkoda! Ogromnie żałujemy! Do widzenia, do widzenia, do widzenia!

Toropiecka, zmieszana, odłożyła słuchawkę i powiedziała:

— Widzi pani, przez panią palnęłam gafę!

— Ach, to nieważne! To ■ wszystko nieważne!

— krzyknęła nerwowo Priachina. — Zaprzepaszczone natchnienie! Zmarnowany dzień!

— A propos — powiedziała Toropiecka — kierownik zespołu prosił, żeby pani do niego wstąpiła.

Lekki rumieniec zabarwił policzki Priachiny, uniosła hardo brwi. — Czego ten może ode mnie chcieć? Ciekawe!

— Krawcowa teatralna Korolkowa złożyła na panią skargę.

— Jaka Korolkowa?! — zawołała Priachina. — Co to za jedna? Ach, tak, przypominam sobie! Oczywiście — mówiąc to Priachina roześmiała się tak, że ciarki mnie przeszły po grzbiecie: przez zaciśnięte zęby, na „u” — jak mogłam zapomnieć

o tej Korol-kowej, która spaskudziła mi spódnicę?
Czyżby oczerniła mnie?

— Korolkowa skarży się, że pani w obecności fryzjerów uszczypnęła ją ze złości — powiedziała łagodnym głosem Toropiecka, a w jej kryształowych oczach zamigotały iskry.

Efekt, który wywarły słowa Toropieckiej, był wprost wstrząsający. Priachinia rozdziawiła nagle usta, szeroko i krzywo jak .u dentysty, a z jej oczu trysnęły dwa potoki łez. Skurczyłem się w fotelu i w niewytłumaczonym odruchu podniosłem nogi nie-

w górę. Toropiecka nacisnęła guziczek dzwonka, w uchylonych drzwiach ukazała się głowa Derniana; Kuźmieza, która natychmiast zniknęła.

Tymczasem Priachina, składając ręce jak do modli-

twy, zawodziła przenikliwym, wysokim głosem: |

— Chcą mnie wpędzić do grobu! Jak Boga kocham! Jak Boga kocham! Jak Boga kocham! O Matko przenajświętsza, chociaż ty wejrzyj na to, co ze mną wyprawiają w teatrze! Podły Pelikan! A Gierasim Ni-kołajewicz to zdrajca. Wyobrażam sobie, jak mnie; obgadał na Siwcew-Wrażku! Ale padnę na kolana orzed Iwanem Wasiliewiczem! Ublagam go, żeby mnie wysłuchał., — głos Priachiny załamał się i o-padł.

Drzwi rozwarły się na oścież, wpadł ten sam doktor trzymając w ręku flakonik i kieliszek. Nikogo o nic nie pytając wprawnym ruchem nalał jakiegoś mętnego płynu, ale Priachina wrzasnęła chrapliwie:

— Precz ode mnie! Precz, nikczemnicy! — i wybiegła.

Doktor podążył za nią, wołając: „Droga pani!”, a za doktorem, pomknął Demian Kuźmicz, który

zjawił się nie wiadomo skąd, robiąc dziwne wykrętasy ar-tretycznymi nogami.

Przez otwarte drzwi wtargnęła ulewa dźwięków i potężny głos, nabrzmiały namiętnością, zaśpiewał:

— „...królować będziesz ty nad świa-a-a... — tu nabrał rozmachu, pokonał brawurowo przeszkodę — a-

tem!” — ale drzwi zatrzasnęły się i głos zamarł.

— No, jestem już do pańskiej dyspozycji, możemy zaczynać — powiedziała Toropiecka z miłym uśmiechem.

• 'ROZDZIAŁ -ja •'

Zawieram znajomość z teatrem

Toropiecka opanowała sztukę pisania na maszynie w sposób mistrzowski. Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem.. Nie trzeba jej było dyktować znaków przestankowych ani powtarzać nazwisk postaci w dialogach. Doszedłem, do tego, że przechadzając się tam i z powrotem po przedpokoju, przystawałem, zastanawiałem się, potem mówiłem: „Chwileczkę...” — i wprowadzałem poprawki. Przestałem zaznaczać, kto wypowiada daną kwestię, mruczałem pod nosem, to znów mówiłem głośno, cokolwiek bym jednak robił — spod paków Toropiekiej wyłaniała się idealnie czysta, bez poprawek i bez błędów gramatycznych, strona sztuki, którą choćby natychmiast można było przesłać do drukarni

Pisaliśmy przy akompaniamencie dzwonek telefonicznych. Początkowo przeszkadzały mi, później jednak przyzwyczałem się do nich, a nawet je polubiłem. Poliksena z niezwykłą wprawą spławiła rozmówców. Od razu zaczęła krzyczeć: „.

— Halo! Mówcie prędzej, towarzyszu, o co chodzi! Jestem zajęta! Słucham?

Potraktowany w ten sposób towarzysz, znajdujący się na drugim końcu przewodu telefonicznego, tracił kontenans, plótł trzy po trzy i Toropiecka mogła go natychmiast przywołać do porządku.

Zakres działalności Polikseny Wasiliewny był nadzwyczaj rozległy. Przekonałem się o tym po paru telefonach.

— Halo! — mówiła Toropiecka. — Nie, dzwoni pan pod niewłaściwy numer. Nie mam żadnych biletów... - „Zastrzelę cię!” (To do mnie powtarzała ostatnie "danie").

Znowu telefon.

.....

UH

— Wszystkie bilety sprzedane — mówiła Toropiecka — wejściówek nie mam... „To nie jest argument!” (Do mnie).

„Teraz zaczynam zdawać sobie sprawę, pomyślałem^ ile jest w Moskwie amatorów darmowych biletów do teatru. Ciekawe jednak, że nikt z nich nie próbuje przejechać się za darmo na tramwajem. Nikt z nich nie przyjdzie również do sklepu i nie poprosi, żeb., mu dano bezpłatnie puszkę kilek. Dlaczego sądzą, że za teatr nie należy płacić?”

— Halo! Halo! — krzyczała Toropiecka do słuchawki. — Kalkuta, Pendżab, Madras... Nie, adresu ni podajemy! Słucham? — zwracała się do mnie.

— „Nie pozwolę, żeby wyśpiewywał serenady po' oknem mojej narzeczonej!” — dyktowałem ż ferwo rem, biegając po przedpieklu.

• „Narzeczonej...” — powtarzała Toropiecka. ĆĆ chwila rozlegał się dzwoneczek maszyny do pisania-. Znów terkotał telefon.

• — Halo! Teatr Niezależny! Nie mam żadnych bil"ów! „Narzeczonej...”

— „Narzeczonej! — mówiłem. — Jermakow ciśk;” gitarą o podłogę i wybiega na balkon.”

— Tak! Niezależny! — Nie mam żadnych biletów!. „Balkon...”

— „Anna podąża...”- — nie, po prostu „wychodź; za nim”.

— „Wychodzi...” Halo? Owszem. Towarzyszu Buto wioz, odbierzcie bilety w boksie u Filusia. Do widz. nia!

—; „Anna: On się zastrzeli. Bachtin: Nie zastrze” się!”

— Halo! Dzień dobry. Tak, z nią. Potem na Wysp Andamańskie. Niestety, Albercie Albertowiczu, ni| mogę podać adresu... „Nie zastrzeli się!”

Trzeba przyznać, że Poliksena Toropiecka opanowała swój zawód bez zarzutu. Pisała na maszynie dziesięcioma palcami. Kiedy telefon zaczynał dzwonić, pisała nadal jedną ręką, drugą zaś podnosiła słuchawkę i krzyczała:

— Kalkuta nie podobała się, samopoczucie dobre.

Demian Kuźmicz często Wchodził dó pokoju, podbiegał do biurka i wręczał jej jakieś papierki. Turo-piecka czytała je prawym okiem, prawą ręką przykładała pieczęć, lewą zaś pisała na maszynie: „Wesoło gra harmonia, ale mimo to...”

— Niech pani poczeka! — wołałem — nie, nie wesoło, ale coś brawurowego... albo... chwileczkę.; —r Bliski obłądu wlepiąłem wzrok w ścianę, nie mając pojęcia, jak powinna grać harmonia.

Torópiecka tymczasem pudrowała się, informowała przez telefon jakąś Missi, że brykle do gorsetu przywiezie przy okazji z Wiednia Albertowicz. W przedpieklu zjawiali się; rozmaici ludzie; z początku wstydziłem się przy nich dyktować, czułem się jak nagus wśród ludzi ubranych, ale szybko się przyzwyczailem.

Od czasu do czasu zjawiał się Misza Pamin i za każdym razem dla dodania otuchy ścisnął mnie za ramię, po czym zniknął za drzwiami, za którymi, o czym już wiedziałem, znajdował się jego gabinet pracy analitycznej.

Potem przyszedł jakiś ponury i srogi mężczyzna w starszym wieku, usiadł w fotelu, przejrzał gazetę, co wprawiło go w jeszcze bardziej ponury nastrój, a następnie wyszedł.

Przychodził starannie ogolony, jak wszyscy w tym cudownym świecie, przewodniczący zespołu reżyserskiego Iwan Aleksandrowicz Połtoracki o dekadentckim rzymskim profilu i kapryśnie wydętej wardze. — *Mille pardons!* Już pan pisze drugi akt? Wspaniale! — wołał i wychodził przez inne drzwi, komicznie pod

kurczając nogi na znak, że stara się nie robić hałas. Jeżeli ktoś uchylał drzwi, słychać było, jak Poltp racki mówił przez telefon:

— Dla mnie to obojętne... jestem człowiekiem b⁴ przesądów... To nawet oryginalne — przyjechać na w ścigi w kalesonach. Ale Indie się nie zgodzą... dl

przerobionych wany, talia sama
i dla barona... daję słowo, kalesony — i krój, i kolóraj Niech pan im powie, że to muszą być spodnie. To nie moja sprawa! Niech przerobią! Poślij go pan do wszystkich diabłów! Zawracanie głowy! Zaprojektował spej] dnie, szkice leżą na moim biurku! Pietia... Przerafino| wany czy nieprzerafinowany, ale sam chodzi w spos dniach! To człowiek doświadczony!...

Podczas najgorętszej pracy, kiedy łapiąc się za głowę usiłowałem odnaleźć słowa, które by zdołały d<|j kładnie wyrazić, że oto... mężczyzna osuwa się na ziemię... rewolwer wypada mu z rąk... broczy krwią czy nie broczy?... — weszła do rozbieralni młoda,, skromnie ubrana kobieta wołając od progu:

— Dzień dobry, kochana Poliksena Wasiliewna! Przyniosłam pani kwiatki!

Wyczuła Torpiecką i położyła na biurku czte*

ry żółtawe astry. , , ...I

— Może jest coś o mnie z Indii?

Poliksena odparła, że jest, i wydostała z biurk grubą kopertę. Aktorka czekała w napięciu.

„Powiedzcie Wieszniakowej — przeczytała Torpiecka — że rozwiązałem zadanie aktorskie dla ro Kseni”.

— Ach, słucham, słucham! — krzyknęła Wiesznia kowa.

— „Byłem z Praskowią Fiodor owną nad brzegie" Gangesu i tam doznałem olśnienia. Sęk w tym, ż

Wieszniakowa nie powinna wchodzić przez drzwi środkowe, lecz przez boczne, tamtędy gdzie stoi pianino.

Niech pamięta, że niedawno straciła męża i nigdy w świecie nie odważy się wejść przez drzwi środkowe. Powinna iść krokiem zakonnicy, ze spuszczonej oczyma, trzymając w ręku bukietik rumianku, co jest charakterystyczne dla każdej wdowy..."

—Boże! Jakie to trafne! Jakie głębokie! !—
zawo-
łała Wieszniakowa. — Teraz rozumiem, dlaczego tak

się nieswojo czułam w środkowych drzwiach...

—Chwileczkę — powiedziała Toropiecka — tu jest jeszcze o pani — i przeczytała: —„A zresztą, niech Wieszniakowa wychodzi, skąd chce. Kiedy przyjadę, wszystko stanie się zrozumiałe. Ganges nie podobał mi się. Moim zdaniem, tej rzece czegoś brak..." No, ale to już pani nie dotyczy — stwierdziła Poliksena.

—Poliksena Wasiliewna — powiedziała Wieszniakowa — niech pani napisze Arystarchowi - Płatono-wiczowi, że jestem mu ogromnie, bezgranicznie wdzięczna! i

—Dobrze.

—A nie mogłabym sama do niego napisać?

—Nie — odparła Poliksena — Arystarch Płatono-wicz nie życzył sobie, żeby ktokolwiek prócz mnie pisał do niego. To by go nazbyt wyczerpywało podczas rozmyślań.

—Rozumiem, rozumiem! — zawołała Wieszniakowa, po czym wyciałaowała Toropiecka i wyszła.

Z kolei wszedł tęgi, energiczny mężczyzna w średnim wieku i już od progu zawołał rozpromieniony:

—Zna pani najnowszy kawał? Ach, pani pisze?

—Nic nie szkodzi, zrobimy przerwę — powiedziała Toropiecka, a tęgi mężczyzna, którego wprost rozpiełała chęć opowiedzenia kawału, nie

posiadając się z uciechy pochylił się nad biurkiem Wymachiwał przy tym rękami przywołując słuchaczy. Posłuchać kawału przybiegł Misza Panin, Połtoracki i jeszcze ktoś. Wszystkie głowy pochyliły się nad biurkiem.

Dobiegły mnie słowa: „I wtedy do salonu wchodzi mąż...” Przy biurku rozległ się śmiech. Tęgi mąż czyzna szeptał jeszcze przez chwilę, po czym Mieszko Panina chwycił paroksyzm śmiechu: „Ach, ach, ach. Połtoracki zawołał: „Wspaniale!”, a tęgi mężczyzna zachichotał: radośnie i wybiegł natychmiast z przed piekłą wołając:

— Wasia! Wasia! Czekaj! Słyszałeś? Sprzedam ci najnowszy kawał!

Nie udało mu się jednak sprzedać Wasi kawału ponieważ zawołała go Toropiecka.

Okazało się, że Arystarch Płatonowicz pisał również o tęgim mężczyźnie.

— „Powiedzcie Jęlaginowi — czytała Toropiecka — że najbardziej powinien się wystrzegać grania i efekt, do czego ma wyraźną skłonność”.

Jęlagin zmienił się na twarzy i zerknął do list

— „Powiedzcie mu — kontynuowała Toropiecka — że w scenie przyjęcia u generała nie może przywita się od razu z żoną pułkownika; musi najpierw obejść dookoła stół z uśmiechem zdradzającym zakłopotanie. Jest właścicielem gorzelnicy i nigdy w świecie nie przywita się od razu, lecz...”

— Nie rozumiem — przerwał jej Jęlagin — pań wybaczy, ale nie rozumiem. — Mówiąc to obszedł po kółku w kółko, jakby okrążał jakiś mebel. — Nie, nie mogę się w to wczuć. To mi nie leży... Żona pułkownika siedzi przed nim, a on nie wiadomo dlaczego nie podchodzi do niej... Nie mogę się w to wczuć!

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że rozumie; pan tę scenę lepiej od Arystarcha Płatonowicza? łagodnym głosem spytała Toropiecka.

Jełagin zmieszał się.

— Tego nie powiedziałem. — Zarumienił się. — Ale niech się pani zastanowi... — Znowu obszedł pokój wkoło.

: — Myślę, że należałoby w/ pas się pokłonić Ary-starchowi Płatonowiczowi za to, że z Indii...

— Według pani to nic, tylko mamy się kłaniać w pas... — rozzłościł się nagle Jełagin.

„Oho, zuch z niego!” — pomyślałem.

— Niech pan lepiej posłucha, co pisze dalej Ary-starch Płatonowicz. — I przeczytała: — „A zresztą, niech robi, co chce. Kiedy przyjadę, sztuka stanie się dla wszystkich zrozumiała”!

Jełagin odzyskał humor i odegrał następującą scenkę mimiczną. Pociągnął ręką wzdłuż policzka^ potem wzdłuż drugiego i wydało mi się, że nagle wyrosły mu bokobrody. Potem zmałał, rozdał wyniosłe nozdrza i, wyszczypując jednocześnie włoski z wymaginowanych bokobrodów, przeczytał przez zęby wszystko, co było o nim napisane w liście.

„Co za aktor!” — pomyślałem. Domyśliłem się, że naśladuje Arystarcha Płatonowicza.

Toropieściej krew uderzyła do twarzy, oddychała z trudem.

— Wypraszam sobie!...

— A zresztą.; — cedził dalej przez zębki Jełagin, potem wzruszył ramionami i powiedział swoim zwykłym głosem: — Nie rozumiem! — i wyszedł.

Widziałem, jak zrobił jeszcze jedno kółko w przedpokoju, wzruszył ramionami i zniknął.

— Ach, ci średniacy! — powiedziała Poliksena. — ■ Nic świętego! Widział pan, na co sobie pozwalają?

— Hm — odparłem nie wiedząc, co mam odpowiedzieć, a co najważniejsze, nie rozumiejąc znaczenia słowa „średniacy”.

Pod koniec pierwszego dnia stało się rzeczą jasną, że niepodobna pisać sztuki w przedpieklu. Poliksenę zwolniono na dwa dni z jej normalnych obowiązków i przeniesiono nas do jednej z damskich garderób.

Powieść teartirataa

Zasapany Demian Kuźmicz przydzwigał tam maszyny; nę do pisania.

Babie lato zrezygnowało z walki ustępując miejsca dżdżystej jesieni. Przez okno sączyło się szare światło. Siedziałem na kanapce, naprzeciw swego odbicia w lustrze, Poliksena zaś usadowiła się na stołku. Wydawało mi się, że składam się z dwóch pięter. Na górnym panował rozgardiasz i chaos, które należało przenieść w taki ład. Wymagający bohaterowie sztuki przyprowadzili mnie o duszne męki. Każdy z nich domagał się właściwych słów, każdy usiłował zająć pierwsze miejsce odsuwając innych na bok. Poprawianie sztuki to niebywale męczące zajęcie. Górne piętro hałasowało, wyprawiało w mojej głowie harce i nie pozwalało mi rozkoszować się dolnym; piętrem, gdzie panował odwieczny i niezmacony spokój. Ze ścian garderoby, która przypominała bom-' bonierkę spoglądały na mnie ze sztucznym uśmie-!; chem damy z przesadnie zmysłowymi wargami i podkrążonymi oczami. Damy te były w krynolinach lub tiurniurach. Wśród nich błyskali z fotografii zębami; panowie trzymający w ręku cylindry. Jeden z nich!; miał sute epolety. Mięśisty pijacki nos zwiślał mu nad samą wargą, policzki i szyja przeorane były zmarszczkami. Nie poznałem, że to Galin, dopóki nie powiedziała mi o tym Poliksena.

Przypatrywałem się fotografiom, wstawałem z kanapki, dotykałem zgaszonych lamp, obracałem w palcach pustą puderniczkę, wdychałem nieuchwytny zapach jakiejś farby i aromat papierosów Polikseny. Było cicho, a ciszę tę mącił jedynie stukot maszyny do pisania i jej delikatne dzwoneczki, niekiedy leciutko skrzypnęła

posadzka. Przez otwarte drzwi widać było od czasu do czasu przechodzące na palcach wysuszone stare kobieciny, niosące naręcza krochmalonych halek.

Majestatyczną ciszę tego korytarza przerywały z rzadka głucho wybuchy muzyki i dalekie groźne okrzyki. Teraz już wiedziałem, że na scenie, ukrytej głęboko w labiryncie starych korytarzy i schodków, odbywa się próba sztuki Sttepan Razin.

Zaczynaliśmy pisać o dwunastej, a o drugiej robiliśmy przerwę. Poliksena szła do siebie, żeby zlustrować swoje przedpiekle, ja zaś udawałem się do bufetu na herbatę.

Żeby tam trafić, musiałem rozstać się z korytarzem i wyjść na schody. Tam czar milczenia pryskał. Po schodach chodzili aktorzy i aktorki, za białymi drzwiami dzwonił telefon, inny telefon odzywał się na dole, gdzie pełnił dyżur jeden z gońców wyszkolonych przez Augustę Menażraki. Potem droga wiodła przez średniowieczne żelazne drzwi, tajemnicze za nimi stopnie i jakiś nieprawdopodobnie wysoki, mroczny i pełen majestatu murowany wąwóz. W wąwozie wznosiły się ułożone w kilka warstw dekoracje oparte o ściany. Na białych drewnianych ramach widniały tajemnicze umowne napisy: „I lew. tyl.", „Pał. hr. śr.", „Sypialnia III akt". Po prawej stronie znajdowała się szeroka i wysoka, szerniała ze starości brama z wyciętą w niej małą furtką, zamknięta na olbrzymią kłódkę. Dowiedziałem się później, że brama ta prowadzi na scenę. Taka sama brama była po lewej stronie i prowadziła na podwórze; stamtąd, robotnicy wnosili dekoracje, dla których zabrakło miejsca w wąwozie. Zatrzymywałem się zawsze w wąwozie, żeby pomarzyć w samotności. Przychodziło mi to bez trudu: na ścieżce między dekoracjami, tak wąskiej, że chcąc się z kimś wyminąć, trzeba było odwracać się bokiem — bardzo rzadko trafiał się jakiś inny wędrowiec.

Pneumatyczna sprężyna na żelaznych drzwiach, ssąca powietrze z cichym, jadowitym sykiem, wypuszczała mnie z wąwozu. Wkraczałem na chodnik, odgłosy kroków ginęły, poznawałem po mosiężnej lwiej] paszczy przedpokój prowadzący do gabinetu Gawriiła Stiepanowicza. Krocząc nadal po dobrze mi znanym żołnierskim suknie szedłem tam, gdzie migały już ludzkie postacie i słychać było gwar — do teatralnego bufetu.

W bufecie rzucał się najpierw w oczy olbrzymi błyszczący samowar, a dopiero potem dostrzegąło się ■; małego wzrostu mężczyznę w starszym wieku, tyse- go, ze zwisającymi wąsami i tak smutnymi oczami, że każdym, kto jeszcze nie zdążył się do tego przyzwyczać, targała litość i trwoga. Smutny mężczyzna stał za ladą i wzdychał rozpaczliwie, spoglądając na stopy kanapek z czerwonym kawiozem i bryndzą. Aktorzy podchodzili do bufetu, brali te wiktuały, a wózw czas oczy bufetowego napelniały się łzami. Nie cieszyły go ani pieniądze, które dostawał za kanapki, ani świadomość tego, że oto znajduje się w najznakomitszym gmachu stolicy ■ — w Teatrze Niezależnym. Nic go nie cieszyło, a jego duszę dręczyła ustawicznie myśl, że za chwilę ludzie zjedzą mu, spałaszują, doszczętnie wszystko, co leży na półmisku i wypiją cały gigantyczny samowar.

Przez okna sączyło się światło łzawego jesienno' dnia, za bufetem paliła się lampa w kształcie tulipana, której nigdy nie gaszono, kąty pokoju rozplywały się w wiecznym półmroku.

Krępowali mnie nieznajomi ludzie siedzący przy stolikach, nie śmiałem do nich podejść, chociaż miałem na to ochotę. Przy stolikach rozlegały się przytłumione śmiechy, zewsząd dobiegały strzępki rozmów.

Wypijałem szklanke herbaty, zjadałem kanapkę z bryndzą i udawałem się do innych zakątków

teatru. Najbardziej upodobałem sobie pomieszczenie, które nosiło nazwę „boks”.

Różniło się ono od innych zakątków- teatru, ponieważ było- to jedyne gwarne miejsce, dokąd; jeśli można się tak wyrazić, wdzierało się życie z ulicy.

„Boks” składał się z dwóch części. Pierwszą stanowił ciasny pokoik, do którego prowadziły z podwórza tak frymuśne schodki, że każdy, kto po raz pierwszy wchodził po nich do teatru, musiał się niezawodnie potknąć. W pokoiku tym siedzieli dwaj gońcy, Katkow i Bakwalin. Przed nimi stały na; stoliku dwa telefony, które dzwoniły nieustannie.

Zorientowałem się szybko, że do telefonu proszona jest za każdym razem jedna i ta sama osoba, i że osoba ta znajduje się w przyległym pokoju, na którego drzwiach wisiała tabliczka:

Kierownik administracji wewnętrznej Filip
Filipowicz Tułumbasow

Nie było i chyba nie będzie w Moskwie osoby, która by się cieszyła większą popularnością niż Tułumbasow. Miało się wrażenie, że całe miasto dobija się telefonicznie do Filipa Filipowicza. Katkow na przemian z Bakwalinem łączył z Tułumbasowem ludzi pragnących z nim rozmawiać.

Ktoś mi opowiadał, a może mi się przyśniło, że Juliusz Cezar potrafił wykonywać kilka czynności na raz, na przykład — czytać coś i słuchać, co ktoś mówi.

Otóż zaręczam, że Juliusz Cezar przepadłby z kretesem, gdyby go postawiono na miejscu Filipa Filipowicza.

Oprócz dwóch aparatów telefonicznych, które dzwoniły jak oszalałe w rękach Bakwalina i Katkowa, przed samym Tułumbasowem stały

jeszcze dwa, a jeden, starego typu wisiał na ścianie.

Filip Filipowicz, korpulentny blondyn o sympatycznej, okrągłej twarzy i niezwykle żywych oczach, na których dnie przyczaił się nieuchwytny smutek **-h** zamaskowany i chyba nieuleczalny —

siedział za/przegródką w bardzo przytulnym kąciku. Na dworze mógł być dzień lub noc, ale u

Filipa Filipowicza zawsze był wieczór z lampą palącą się pod zielonym abażurem Na biurku

Filipa Filipowicza leżały cztery kalendarze

upstrzone tajemniczymi notatkami, w rodzą-¹ ju:

„Priaeh. 2 part. 4”, „13 por, 2”, „Mon. 77727” itd.

Podobnymi znakami zapisanych było pięć notesów, również leżących na biurku. Nad Filipem Filipowiczem wznosił się wypchany niedźwiedź brunatny, który zamiast oczu miał wstawione żarówki. Od świata zewnętrznego odgradzała Filipa Filipowicza barierka z poręczą, na której przez calutki Boży dzień leżeli brzuchaci ludzie w najrozmaitszych ubiorach. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że przed Filipem Filipowiczem przeciągał cały kraj; byli tu przed-stawiciele wszystkich klas, ugrupowań, warstw, przekonań, płci i wieku. Wśród sztywnych kołnierzyków mignęła czasem ludowa rosyjska koszula. Bujna czupryna pod czapką z daszkiem. Wspaniała dama w gronostajach. Czapka z nausznikami, podbite oko, Podlotek z przypudrowanym noskiem. Mężczyzna w gumowych butach z cholewami i sukiennym kaftanie, przepasany rzemieniem. Jakiś wojskowy z jednym rombem na naramienniku. Ogolony mężczyzna z zabandażowaną głową. Staruszka z trzęsącym się podbródkiem i martwymi oczami, która nie wiedzieć czemu rozmawiała z towarzyszącą jej panią po francusku; ta z kolei była w męskich kaloszach. Ktoś w kozuchu.

Ci, którym nie udawało się położyć brzuchem na poręczy, wymachiwali od czasu do czasd

wymięto-, szonymi karteczkami i nieśmiało wołali: „Filipie Fili-

— ■/[. ■ •./>• ■. ' , .;>>"

∴:

powiczu!" Czasami przez tłum oblegający barierkę przeciskali się mężczyźmi i kobiety bez płaszczy, w bluzach lub marynarkach. Domyśliłem się, że **to są** aktorzy i aktorki Teatru Niezależnego.

Niemal każdy — z niezmiernie małymi wyjątkami — kto zbliżał się do bariery, starał się przypochlebić Filipowi Filipowiczowi i uśmiechał się przymilnie. Każdy przychodził z prośbą, wszystko zależało **od odpowiedzi** kierownika.

Trzy telefony dzwoniły bez przerwy jeden po drugim, a niekiedy wszystkie naraz wypełniały zgielkiem maleńki gabinecik. Nie wytrącało, to wcale z równowagi Filipa Filipowicza. Zdejmował prawą ręką słuchawkę z prawego telefonu, kładł ją na ramieniu i przyciskał policzkiem, lewą zaś brał następną słuchawkę i przyciskał ją do lewego ucha, po czym uwalniając prawą rękę, brał jedną z wręczanych mu karteczek i zaczynał rozmawiać z trzema osobami jednocześnie — przez prawy telefon, przez lewy telefon, osobiście z interesantem, potem znowu przez lewy, przez prawy, z interesantem. Przez prawy, z interesantem, lewy, prawy, lewy, prawy.

Czasem ciskał jednocześnie obie słuchawki na widełki, a że zwalniały mu się wtedy obie ręce, brał od razu dwie karteczki. Odsunawszy jedną z nich, podnosił słuchawkę telefonu ściennego, słuchał przez chwilę, rzucał: „Proszę dzwonić jutro o trzeciej”, **odkładał** słuchawkę i mówił interesantowi: * „Nic nie Poradzę”.

Z biegiem czasu zrozumiałem, o co prószono Filipa Filipowicza. O bilety.

Proszono go na tysiące sposobów. Byli tacy, którzy twierdzili, że przyjechali z Irkucka i wyjeżdżają w Aocy, ale nie mogą wyjechać nie

zobaczywszy *Panny* bez posagu. Ktoś mówił, że jest przewodnikiem z Jałty i członkiem jakiejś delegacji. Ktoś inny, nie będący przewodnikiem ani mieszkańcem Syberii, przypominał po prostu:

— Pietuchow, pamięta pan?

Aktorki i aktorzy mówili:

— Filuś, proszę cię, załatw to...

Ktoś mówił:

— Za każdą cenę. Cena nie gra roli.

— Od dwudziestu ośmiu lat znam Iwana Wasilie,,j wicza — zaczynała raptem mamrotać jakaś Starownika, której mole wygryzły dziurę w berecie — i jes]; tem przekonana, że nie odmówi...

— Na stojące — oświadczał raptem Filip Filipo wicz i nie czekając na dalsze słowa oszołomionej sta ruszki wręczał jej jakiś świstek.

— Jest nas ośmiu — zaczynał jakiś dryblas, al jak w poprzednim wypadku dalsze słowa zamierał mu na wargach, ponieważ Filip już mówił:

— Na wolne miejsca — i wręczał papierek.

— Przychodzę od Arnolda Arnoldowicza — zaczyn' jakiś młodzieniec ubrany z pretensją do elegancj

„Na stojące" podpowiadałem w myśli, ale mylił się.

— Nic nie poradzę — oświadczył nieoczekiwani Filuś, raz tylko prześliznąwszy się wzrokiem po twa rzy młodzieńca.

— Ale Arnold...

— Nic nie poradzę!

Młodzieniec zniknął, jakby go w ogóle nie było.

— Chciałbym z żoną... — zaczynał jakiś tęgi oby watel.

— Na jutro? — szybko pytał Filuś urywanym głó sem.

— Tak jest.

— Do kasy! — wołał Filuś, i oto grubas już się przeciskał do wyjścia trzymając w ręku papierek, a

Filus tymczasem wrzeszczał już do słuchawki:
„Nie!

„Jutro!» — czytając jednocześnie lewym okiem kolejną karteczkę.

Z biegiem czasu zrozumiałem, że 'na jego decyzję nie wpływa bynajmniej wygląd zewnętrzny interesantów, ani rzecz jasna, ich zatłuszczone karteczki. Trafiali się ludzie ubrani skromnie, a nawet ubogo, którzy niespodziewanie dla mnie dostawali dwa bezpłatne miejsca w czwartym rzędzie, trafiali się też dobrze ubrani, którzy odchodzili z kwitkiem. Ludzie pokazywali prześlizgane zaświadczenia i skierowania wielkiego formatu z Astrachania, Wołogdy, Leningradu, które jednak nie odnosiły skutku lub mogły poskutkować dopiero na piąty dzień rano, a zjawiali się czasem ludzie skromni i milczący, którzy bez słowa wyciągali rękę nad barierą i natychmiast dostawali bilety.

Po tych doświadczeniach zrozumiałem, że mam przed sobą człowieka, który posiadał absolutną wiedzę o ludziach. Zrozumiawszy to, poczułem wzruszenie i lekki chłodek w okolicy serca. Tak, miałem przed sobą największego znawcę dusz, który przejrzał ludzi do głębi i całkowicie. Odgadywał ich tajemne pragnienia, znał ich namiętności i wady, wiedział o wszystkim, co kryje natura ludzka, nie wyłączając nawet dobrych instynktów. Co najważniejsze, znał także ich uprawnienia. Wiedział, kto i kiedy powinien przyjść do teatru, kto ma prawo siedzieć w czwartym rzędzie, a kto powinien tłoczyć się na galerii i siedzieć na schodkach w szaleńczej nadziei, że nagle jakimś cudem znajdzie się dla niego miejsce.

Zrozumiałem, że szkoła Filipa Filipowicza była szkołą najdoskonalszą.

Czyż mógł zresztą nie znać ludzi, skoro w ciągu Piętnastu lat pracy w teatrze przewinęły się przed nim tysięczne rzesze. Byli tam inżynierowie,

chirurdzy, działaczki ruchu kobiecego, aktorzy, defraudanci, gospodynie domowe, maszyniści, nauczyciele, mez-zo-sopranistki, właściciele domków jednorodzinnych, gitarzyści, złodzieje kieszonekowi, dentyści, strażacy, panienki bez określonego zawodu, fotografowie, niści, lotnicy, puszkińsi, przewodniczący kolchozów nieoficjalne kokoty, dżokeje, monterzy, ekspedientki: domów towarowych, studenci, fryzjerzy, konstrukto-

rzy, byli kamienicznicy, emerytki, nauczyciele

wiej
scy, winiarze, wiolonczeliści, prestidigitatorzy, rozwódki, kierownicy kawiarni, pokerzyści, homeopaci akompaniatorzy, grafomani, bileterki z konserwa-torium, chemicy, dyrygenci, lekkoatleci, szachiś laboranci, hochsztaplerzy, księgowi, schizofrenicy, l-perzy, manikiurzystki, stenografisci, byli kapłą spekulanci, technicy fotograficzni.

Czyż Filipowi Filipowiczowi potrzebne były ją kieś karteczki?

Wystarczyło raz spojrzeć na interesanta i usłyszę jego pierwsze słowa, żeby wiedzieć, do czego prawo. Filip Filipowicz odpowiadał błyskawicznie, odpowiedzi jego były zawsze bezbłędne.

— Kupiłam wczoraj dwa bilety na *Don Carlosa* mówiła jakaś zdenerwowana pani — włożyłam • torebki, przychodzę do domu...

Ale Filip Filipowicz, nie zwracając już na nią uw< gi, naciskał guziczek dzwonka i wydawał poleceni

— Bakwalin! Zgubiono dwa bilety... Rząd?

— Jede...

—■ W jedenastym rządzie. Wpuścić. Posadzić. Spradzić!

— Tak jest! — ryczał Bakwalin, i już nie by pani, już ktoś inny walił się na poręcz jęcząc chrapliwie, że jutro musi wyjechać.

— Pan nie ma prawa tak postępować! — twi< ła z wściekłością inna pani, a oczy jej miały skawice. Chłopak już ma szesnaście lat! Co

pan tak przygląda? Że niby w krótkich spodniach?

Łaskawa pani — odpowiadał żelaznym głosem Filuś — nie przyglądamy się, kto chodzi w jakich spodniach, ale w myśl przepisów dzieci do lat piętnastu nie są wpuszczane na salę. Posiedź tu sobie, ja zaraz... — zwracał się jednocześnie po przyjacielsku do starannie ogolonego aktora.

— Przepraszam bardzo — awanturowała się pani — a dłaczego przed chwilą wpuszczono trzy maleństwa w długich marynarskich spodniach. Ja pójdę na skargę!

— Łaskawa pani — odpowiadał Filuś — te maleństwa to lilipuci z Kostromy.

Zapadała całkowita cisza. Oczy pani przygasały, a wtedy Filuś szczyrzył zęby w takim uśmiechu, że pani zaczynała dygotać.

Ludzie gniotący się nawzajem przy poręczy chichotali szyderczo.

Aktor z pobladłą twarzą i zasnutymi cierpieniem oczami wpadał raptem z boku i przechylał się przez barierę szepejąc:

— Potworna migrena...

Filuś, niczemu się nie dziwiąc i nawet się nie odwracając, wyciągał rękę za siebie, otwierał szafkę wiszącą na ścianie, odnajdywał po omacku pudełeczko; wyjmował z niego proszek i wręczał go nieborakowi mówiąc:

— Popij wodą... Słuchni panią, obywatelko...

Obywatelka miała łzy w oczach, kapelusik zjechał

J^eJ na ucho. Spotkało ją wielkie nieszczęście. Wycierała nos brudną chusteczką. Wczoraj, kiedy wróciła do domu właśnie z tego samego *Don*

Carlota, okazało się, że nie ma torebki. A w torebce było sto^{si}edemdziesiąt pięć rubli, puderniczka i chusteczka ó-o nosa.

— To bardzo niedobrze, obywatelko — strofował ją Filuś — pieniądze trzeba przechowywać na książeczce oszczędnościowej, a nie w torebce.

Niewiasta wytrzeszczała oczy na Filusia. Nie spodziewała się, że jej nieszczęście spotka się z takim brakiem współczucia.

Ale Filuś w oka mgnienia otwierał z łokotem szufladę i po chwili wygnieciona torebka z pozółkłą metalową najadą znajdowała się już w rękach właścicielki, która rozpływała się w podziękowaniach.

— Filipie Filipowiczu, przyjechał nieboszczyk

—
meldował Bakwalin.

Lampa momentalnie gasła, szuflady zamykały się z łokotem, a Filuś, wkładając pośpiesznie palto, przeciskał się przez tłum i wychodził. Podążyłem za nim jak urzeczony, uderzałem głową w ścianę na krętych schodkach i wychodziłem na podwórze. Przed drzwiami boks stała ciężarówka opleciona czerwoną wstęgą, a na ciężarówce leżał strażak, patrząc zamkniętymi oczyma w jesienne niebo. W jego nogach błyszczał kask, a u wezłowia leżały gałęzie jedliny. Filuś bez czapki, z miną poważną, stał przy ciężarówce i wydawał głośno jakieś polecenia Kuskowowi, Bak-walinowi i Klukwinowi.

Ciężarówka trąbiła i wyjeżdżała na ulicę. Wtem przed wejściem do teatru rozlegały się głośne dźwięki puzonów. Przechodnie przystawali w niemrawym zdumieniu, zatrzymywała się również ciężarówka. Przed wejściem do teatru widać było brodatego mężczyznę, który wymachiwał pałeczką dyrygencką. Posłuszne jej srebrne instrumenty napełniały ulicę donośnymi dźwiękami. Potem dźwięki urywały się równie nieoczekiwanie, jak

przedtem się rozlegały, a złote galony i bródka hiszpańska znikaly w wejściu.

Kusków wskakiwał do ciężarówki, trzej strażnicy ustawiali się w rogach trumny, Filuś machał ręką na 'pożegnanie, po czym ciężarówka odjeżdżała do krematorium, a Filuś pośpiesznie wracał do kantorka.

Olbrzymie miasto pulsuje, fale rozchodzą się na wszystkie strony, po przyplywie następuje odpływ. Fala ciągnących do Filusia interesantów słabła czasami z niewiadomych powodów, a wtedy Filuś pozwalał sobie na chwilę odprężenia, wyciągał się w fotelu, żartował.

— Przychodzę do ciebie jako delegat — mówił aktor z jakiegoś innego teatru.

— Ładny mi delegat — taki rozrabiaka — odpowiadał Fila śmiejąc się samymi policzkami. (Oczy nie śmiały mu się nigdy.)

W drzwiach ukazywała się ładniutka pani w świet-' nie skrojonym palcie, ze srebrnym lisem na ramionach. Filuś .uśmiechał się przyjaźnie i wołał:
— *Bonjour, Missi!*

Pani odpowiadała mu perlistym śmiechem. Za panią do boksu wchodził rozkołysanym krokiem siedmioletni berbec w marynarskiej czapeczce, o niebywale nadętej fizjonomii umazanej czekoladą, z trzema zadrapaniami po paznokciach pod okiem Berbecz czekał cichutko w regularnych odstępach czasu. Za berbeciem- wchodziła tęga zdenerwowana jejmość.

— A fe, Alosza! — strofowała go z niemieckim akcentem.

— Jak się masz! — wołał Filuś wyciągając rękę do berbecia.

Ten czekał, a potem kłaniał się i szurzał nogami.

— A fe, Alosza! — szeptała Amalia Iwanowna.

— Amalio Iwanowna! — cicho, lecz z groźbą w głosie mówił berbecz pokazując ukradkiem Amalii Iwanownie groźną pięść.

— A fe, Alosza! — powtarzała cicho Amalia Iwanowna.

— Co tam masz pod okiem? — pytał Filuś.

— Ja... — szeptał berbecę opuszczając głowę i czkając nadal — pobitem się z Zorzykiem.

— A fe, Alosza! —■ szeptała zupełnie odruchowo samymi wargami Amalia Iwanowna.

— C'est *dommage!* — głośno konstatował Filuś i wyjmował z szuflady czekoladkę.

— Alosza, ty zjadł dziś czternaście — szeptała nie», śmiało Amalia Iwanowna.

— Niech Amalia Iwanowna nie kłamie — myśląc, że mówi cicho, buczał berbecę.

— A fe, Alosza!

— Zupełnie pan o mnie zapomniał, wstręciuchu! — wołała pani w palcie.

— *Non, madame, impossible!* — odpowiadał krótko Filuś. — *Mais les affaires toujours!*

Pani śmiała się perlistym śmiechem i uderzała Fi-lusia rękawiczką po rękę.

— Wie pan co? — mówiła pani, jakby nagle ją coś olśniło — moja Daria piecze dzisiaj paszteciki, może pan przyjdzie na kolację?

— *Avec plaisir!* — wołał Filuś i zapalał oczy niedźwiedzia na cześć damy.

— Niedobry, tak mnie pan przestraszył! — wykrzykiwała pani.

— Alosza! Zobacz, jaki niedźwiedź, jakby żywy! — udawała zachwyty Amalia Iwanowna.

— Puśćcie- mnie! — wrzeszczał berbecę wrywając się w stronę bariery.

—■ A fe, Alosza...

— I niech pan przyprowadzi Argunina — dorzucała pani takim tonem, jakby dopiero teraz wpadła na ten pomysł.

— *Il joue!*

— Niech przyjedzie po przedstawieniu — mówiła pani odwracając się plecami do Amalii Iwanowny.

— *Je transporte lui.*

— No, to się świetnie składa. A propos, kochanie, mam do pana prośbę. Czy nie znalazłby pan jakiegoś biletu na *Don Cariosa*?! Dla pewnej starszuszki? Co? Choćby na drugi balkon? No, moje złotko!

— Krawcowa? — pytał Filuś patrząc na panią w płaszczu oczami, które wiedziały wszystko.

— Jest pan wstrętny! — krzywiła się pani. — Dlaczego akurat krawcowa? To wdowa po profesorze, która obecnie...

— Szyje bieliznę — mówił Filuś jak w transie zapisując w notesie: „Szwacz. 2 bal. bocz. 13-go.”

— Skąd pan wie? — wołała pani, znów ślicznie uśmiechnięta.

— Filipie Filipowiczu, telefon do pana, w dyrekcji — meldował Bakwalin.

— Już idę!

— A ja tymczasem zadzwonię do męża — mówiła pani.

Filuś wybiegał z pokoju, a pani zdejmowała słuchawkę i nakręcała numer.

— Gabinet kierownika. No, co u ciebie słyhać? A ja dzisiaj zaprosiłam Filusia na paszteciki. Nic nie szkodzi, zdrzemnij się godzinkę. Aha, jeszcze się wprosił Argunin... No, co miałam zrobić... Do widzenia, moje złotko... Dlaczego masz taki głos, jakbyś był zmartwiony? No, całuję...

Wtulałam się w ceratowy fotel i w rozmarzeniu przymykałam oczy: „Co za cudowny świat... świat rozkoszy i spokoju...” Próbowałam sobie wyobrazić mieszkanie nieznaomej pani. Wydawało mi się nie wiedzieć czemu, że mieszkanie to jest ogromne, że w bezkresnym białym przedpokoju wisi na ścianie obraz w złotych ramach, że we wszystkich pokojach błyszczą posadzki, że w środkowym stoi fortepian, że olbrzymi dy...

Moje marzenia przerwał raptem cichy jęk i tłu-mione porykiwanie. Otworzyłem oczy.

Śmiertelnie blady berbeć z uciekającymi pod czaszkę oczami siedział na kanapie rozstawiwszy nogi. Pani i Amalia Iwanowna rzuciły się do niego. Pani' zbladła.

— Alosza — krzyknęła. — Co ci jest?

— A fe, Alosza! Co ci jest?! — zawołała Amalia Iwanowna.

— Głowa mnie boli — słabym wibrującym barytonem odparł berbeć, a czapka zjechała mu na oczy. Raptem wydał policzki i zbladł jeszcze bardziej.

— O Boże! — krzyknęła pani.

Po paru minutach na podwórze wpadła otwarta taksówka, w której na stojąco pędził Bakwalin.

Tymczasem berbecia, wycierając mu usta chusteczką, wyprowadzono pod ręce z boksu.

O uroczy świecie boksu! Filusiu! Żegnam pana! Wkrótce odejdę z tego świata. Niechże i pan wspomni czasem o mnie!

ROZDZIA

Ł XII

Siwcew-Wrażek

Ani się obejrzałem, jak przepisaliśmy z Toropiec-ką całą sztukę. Nie zdążyłem jeszcze zastanowić się, co będzie dalej, gdy los już się w tej sprawie wypowiedział.

Klukwin przywiózł list.

Wielce szanowny Leontiju Siergiejewiczu!...

Dlaczego, u diabła, tak im zależy, żebym był Le-ontijem Siergiejewiczem? Pewnie łatwiej się wymawia niż Siergiej Leontjewicz? A zresztą pal ich sześć!

...Ma pan odczytać swoją sztukę Iwanowi Wasilii-Źyczowi, W tym celu winien Pan przybyć na Siw-cew-Wrażek w poniedziałek 13 bm. o godzinie 12 rano.

Z najgłębszym poważaniem
Foma Striż

Bardzo się przejąłem tym listem zdając sobie sprawę z jego wagi.

W końcu zdecydowałem się na sztywny kołnierzyk, niebieski krawat i szary garnitur[^]. Decyzja w sprawie tego ostatniego przyszła mi łatwo, ponieważ szary garnitur był moim jedynym przyzwoitym ubraniem.

Postanowiłem również, że będę się zachowywał u-przejmie, lecz z godnością i — Boże uchwaj — bez cienia służalczości.

Pamiętam dobrze, że trzynastego wypadło naza- jutrz i że rankiem widziałem się w teatrze z Bom-bardowem.

Jego wskazówki i przestrogi wydały mi się niesłychanie dziwaczne.

— Minie pan duży szary budynek — zaczął Bom-bardow — i skręci pan w uliczkę na lewo. Dalej już trafi pan bez trudu. Brama z kutego żelaza, dom z kolumnami. Od ulicy nie ma wejścia, skręci pan w podwórzu za róg. Tam pan zobaczy mężczyznę w kozuchu, który zapyta: „Pan w jakiej sprawie?” — a pan mu odpowie tylko jednym słowem: „Umówione”.

— Czy to hasło? — zapytałem. — A jeżeli nie będzie mężczyzny?

— Będzie — odparł chłodno Bombardow, pó-
czym kontynuował: — Za rogiem, akurat
naprzeciwko mężczyzny w kożuchu, zobaczy pan
podlewarowany samochód bez kół, a obok
samochodu — wiadro i mężczyznę zajętego
myciem samochodu.

— Czy był pan tam dzisiaj? — spytałem z prze-
jęciem.

— Byłem tam przed miesiącem.

— To skąd pan wie, że mężczyzna będzie mył
samochód?

— Bo myje go co dzień, zdjąwszy uprzednio
koła.

— Kiedy w takim razie jeździ samochodem
Iwan Wasiliewicz?

— Nigdy.

—<

Dlaczego?

— Niby dokąd miałby nim jeździć?

— Chociażby do teatru.

— Iwan Wasiliewicz przyjeżdża do teatru dwa
razy do roku na próby generalne, a wtedy
wynajmuje się dorożkarza Drykina.

— Ładna historia! — Ale czemu dorożkarza,
skoro . jest samochód?

— A jeżeli szofer umrze przy kierownicy na
apo- , w pleksję, a samochód wpakuje się w jakąś
witrynę, co wtedy?

— No, a jeżeli koń poniesie?

— Koń Drykina nie poniesie. Chodzi tylko
stępa. Naprzeciwko mężczyzny z wiadrem będą
drzwi. Otworzy je pan i pójdzie na górę, po
drewnianych schodach. Potem będą jeszcze jedne
drzwi. Wejdzie pan

i zobaczy czarne popiersie Ostrowskiego. Naprzeciwko popiersia — bielutkie kolumny i piecyk czarny jak noc, a przy piecyku będzie siedział w kucki mężczyzna i rozpałał ogień.

Roześmiałem się:

— Jest pan pewien, że tam będzie mężczyzna i że akurat będzie siedział w kucki.

— Jestem pewien — bez cienia uśmiechu odparł Bombardow.

— Ciekawe: Przekonam się.

— Przekona się pan. Mężczyzna zapyta z niepokojem: „Pan do kogo?” — a pan odpowie...

— „Umówione”?

— Aha. Wtedy on powie panu: „Palto może pan tu zostawić”. Wejdzie pan do przedpokoju, a tam spotka pana pielęgniarka i zapyta: „Pan w jakiej sprawie?” Pan odpowie...

Kiwnąłem głową.

— Iwan Wasiliewicz zapyta pana przede wszystkim, kim był pański ojciec. Kim był?

— Wkegubematorem:

Bombardow skrzywił się.

■— Hm... nie, to chyba się nie nadaje. Wykluczone. Powie pan tak: był urzędnikiem bankowym.

— To mi się przestaje podobać. Niby dlaczego miałbym od pierwszej chwili kłamać?

— Bo Iwan Wasiliewicz mógłby się przestraszyć, a... Otworzyłem szeroko oczy.

■— ...a dla pana to obojętne, czy to był barJk, czy inna instytucja... Potem zapyta pana, co pan sądzi o homeopatii. Pan odpowie, że w zeszłym roku brał pan krople na żołądek i że bardzo panu pomogły.

Rozległ się przeraźliwy dzwonek. Bombardow musiał już iść na próbę i dalszych wskazówek udzielał mi w pośpiechu i skrótowo:

— Miszy Panina pan nie zna, urodził się pan w Moskwie — informował mnie pośpiesznie — o Fomie powie pan, że się panu nie spodobał. Kiedy zacznie mówić o sztuce, niech pan nie oponuje. Tam w trzecim akcie pada strzał, niech pan opuści ten fragment...

— Jak mogę opuścić, skoro bohater, się zastrzelił? Znowu rozległ się dzwonek. Bombardow dał nura w Półmrok, skąd doleciał jego przytłumiony okrzyk:

— O strzale nie czytać! Kataru też pan nie ma! Całkowicie zbity z tropu tymi zagadkami Bombardowa, znalazłem się na Siwcewie-Wrażku punktualnie o dwunastej.

Mężczyzny w kozuchu na podwórzu nie było, ale¹ dokładnie we wskazanym miejscu stała baba w chustce. Zapytała mnie:

— Czego pan szuka? — i spojrzała na mnie podejrzliwie.

Hasło „umówione” usatysfakcjonowało ją całkowi- cie, skrzyłem więc za róg. Ściśle w tym miejscu, o którym mówił mi Bombardow, stał kawowy samochód, ale na kołach, mężczyzna zaś wycierał szmatką? karoserię. Obok samochodu stało wiadro i jakaś butla.

Stosując się do wskazówek Bombardowa szedłem bezbłędnie do celu i wkrótce znalazłem się przed popiersiem Ostrowskiego. „Acha!” — pomyślałem przy pominając sobie rozmowę w teatrze; w piecu wesość płonęły brzoźowe szczapy, ale nikt nie siedział¹ kucki. Zanim się jednak zdążyłem uśmiechnąć, otwó rzyły się stare, dębowe, pokryte ciemnym lakierem¹ drzwi i ukazał się w nich staruszek w walonkach pogrzebaczem w rękę. Ujrzawszy mnie przestraszył się i zamrugał powiekami.

— Obywatel do kogo? — zapytał.

— Umówione — odparłem upajając się magiczną?, potęgą słowa.

Staruszek rozjaśnił oblicze i machnął pogrzebaczem w kierunku innych drzwi, nad którymi paliła się pod sufitem mała staroświecka lampka. Zdjąłem paltot, wziąłem sztukę pod pachę i zapukałem. Za drzwiami, rozległ się natychmiast zgrzyt zdejmowanego łańcucha, potem szcęk klucza i na progu ukazała się kobieta w białej chustce na głowie i w białym kitlu.

— Pan w jakiej sprawie? — zapytała.

— Umówione — odparłem.

Kobieta odsunęła się, wpuściła mnie do środka i przyjrzała mi się uważnie.

— Zimno na dworze? — zapytała.

— Łagodna pogoda, babie lato —

odpowiedziałem.

— Czy pan ma katar? — zapytała kobieta.

Przypomniałem sobie przestrogi Bombardowa i powiedziałem:

— Nie, nie mam.

— Niech pan zapuka i wejdzie — powiedziała surowo kobieta i odeszła.

Przed zapukaniem do ciemnych, okutych metalowymi listwami drzwi rozejrzałem się dokoła. Biały piec, jakieś wielkie szafy. Zapach mięty i jeszcze jakiegoś przyjemnego ziela. Absolutną ciszę przerwały nagle chrypliwe dźwięki. Zegar wybił dwunastą, a potem zakukała lekliwie kukułka za szafą.

Zapukałem do drzwi i pchnąłem ręką masywne, ciężkie kółko. Drzwi wpuściły mnie do dużego jasnego pokoju.

Byłem tak przejęty, że nie dostrzegłem nic oprócz kanapy, na której siedział Iwan Wasiliewicz. Wyglądał tak samo jak na portrecie, może tylko odrobinę młodziej i czerstwiej. Jego czarne, przyprószone siwizną wąsy były przepięknie podkrecone. Na piersi wisiało na złotym łańcuszku łorgnon. Szczególne wrażenie

sprawił na mnie czarujący uśmiech Iwana Wasiliewicza.

— Bardzo mi przyjemnie — powitał mnie z lekką grasejącą. — Proszę, niech pan spocznie.

Usiadłem w fotelu.

— Jak się pan nazywa? — patrząc na mnie czule, zapytał Iwan Wasiliewicz.

— Siergiej Leontjewicz.

— Bardzo mi przyjemnie! — Jak się pan miewa, Siergieju Pafnutjewiczu? — Wciąż patrząc na mnie czule, Iwan Wasiliewicz zaczął bębnić palcami po stęśj le, na którym leżał ogryzek ołówka i stała szklanka wody z niewiadomych powodów przykryta papierkiem!

— Dziękuję najprzejemniej, dobrze.

— Czy nie dokucza panu przeziębienie?

— Nie.

Iwan Wasiliewicz chrząknął i zapytał:

— A jak się miewa pański oczulek?

— Mój ojciec nie żyje.

— To okropne — powiedział Iwan Wasiliewicz — § a do jakich doktorów państwo się zwracali? Kto go leczył?

— Nie pamiętam dokładnie, ale zdaje się, profe-sor... profesor Jankowski.

— Szkoda — stwierdził Iwan Wasiliewicz — trzeba: się było zwrócić do profesora Pletuszkowa i wszystko byłoby dobrze.

— A jeszcze lepsi są... hm, hm... homeopaci — kontynuował Iwan Wasiliewicz — doprawdy ogromnie wszystkim pomagają — tu rzucił przelotne spojrzenie na szklankę. — Wierzy pan w homeopatię?

„Ach, ten Bombardow! To zadziwiające!" — pomyślałem sobie i bąknąłem:

— No cóż, z jednej strony, jeżeli o mnie chodzi... chociaż skądinąd wiele osób nie wierzy...

— Niesłusznie! — powiedział Iwan Wasiliewicz. — Piętnaście kropel i już po wszystkim. — Chrząknął ponownie i mówił dalej: — A kim był pański ojczu-; lek, Siergieju Panfilyczu?

— Leontjewiczu — poprawiłem go delikatnie.

— Stokrotnie przepraszam! — zawołał Iwan Wasiliewicz. — A zatem kim był?

„Co będę kłamał" ■— pomyślałem sobie i odparłem:

— Wicegubematorem.

Wiadomość ta spędziła uśmiech z twarzy Iwana Wasiliewicza.

Tak, tak, tak — powiedział zatroskany, potem milczał przez chwilę, bębniąc palcami po stole, a wreszcie powiedział:

No cóż, zaczynamy.

Otworzyłem rękopis, odchrząknąłem, zamarłem z przerażenia, odchrząknąłem raz jeszcze i zacząłem

czytać.

Odczytałem tytuł, potem długą listę postaci, wreszcie przystąpiłem do czytania pierwszego aktu: „W oddali widać światelka. Zasypane śniegiem podwórze; drzwi prowadzące do oficyny. Przytłumiona melodia z *Fausta*, którą w oficynie ktoś gra na fortepianie...”

Czy zdarzyło się kiedyś państwu czytać sztukę jednemu tylko słuchaczowi? Zapewniam państwa, że to bardzo niewdzięczne zadanie. Co jakiś czas spoglądałem na Iwana Wasiliewicza i ocierałem czoło chusteczką.

Iwan Wasiliewicz siedział zupełnie bez ruchu i wpatrywał się we mnie przez lorgnon. Szczególnie peszyło mnie to, że nie uśmiechnął się ani razu, chociaż w pierwszej scenie są zabawne miejsca.

Kiedy czytałem je aktorom, śmiali się głośno, a jeden miał nawet łzy w oczach.

Jednakże Iwan Wasiliewicz nie tylko się nie śmiał, ale nawet przestał chrząkać. Za każdym razem, podnosząc ku niemu spojrzenie, widziałem tylko skierowane na mnie złote lorgnon, a w nim uporczywe spojrzenie. Pod wpływem tego spojrzenia zaczęło mi się wydawać, że zabawne miejsca wcale nie są zabawne.

W ten sposób dobrnąłem do końca pierwszej sceny i przystąpiłem do następnej. Mój monotonny głos rozlegał się w całkowitej ciszy. Sprawiało to wrażenie, jakby diakon zawodząc odprawiał modły nad trumną.

Zacząła mnie ogarniać jakaś apatia, miałem ochotę zamknąć gruby brulion. Zdawało mi się, że Iwan Wasiliewicz zapyta lada chwila: „Czy to się kiedyś wreszcie skończy?” Dostałem chryпки, od czasu do czasu oczyszczałem gardło chrząknięciem, czytałem/ tenorem, to znów niskim basem, ze dwa razy pusll ciłem nieoczekiwanie koguta, ale nawet kogut nikogo' nie rozśmieszył — ani Iwana Wasiliewicza, ani mnie.

Pewną ulgę przyniosło mi nagłe zjawienie się kobiety w bieli. Weszła bezszelestnie. Iwan Wasiliewicz." spojrzał ukradkiem na zegarek. Kobieta podała Iwa nowi Wasiliewiczowi kieliszek. Iwan Wasiliewicz wypił lekarstwo, popił je wodą ze szklanki, przykry szklankę papierkiem i znów spojrzał na zegarek. Kobieta złożyła Iwanowi Wasiliewiczowi niski staroro-syjski ukłon i wyszła dumnym krokiem. Gdzieś daleko zakukała kukułka. Potem zadzwonił telefon za parawanem.

— Pan wybaczy — powiedział Iwan Wasiliewicz 4f wzywają mnie w ważnej sprawie służbowej... Tak -jS rozległ się po chwili jego głos zza parawanu — tak... hm... hm— to są wszystko

sprawki tej szajki. Polecam; stanowezo zachować to w najgłębszej tajemnicy. Dziś; wieczorem będzie t,u u mnie pewna zaufana osoba, z którą opracujemy plan.

Iwan Wasiliewicz wrócił i doszliśmy wspólnie do końca piątej sceny. Ale na początku szóstej zdarzyło, się coś niezwykłego. Najpierw usłyszałem, że gdzieś' trzasnęły drzwi, potem rozległ się głośny, i jak mi się wydało, udawany płacz. Drzwi — nie te, przez które wszedłem, lecz inne, prowadzące widocznie do dal-, szych pokoi — otworzyły się i do pokoju wpadło oszalałe ze strachu, opasłe pręgowane kocisko. Na mój widok rzuciło się w bok, wczepiło w tiulową firankę i' zaczęło się po ntej wdrapywać na górę. Tiul nie wytrzymał jego ciężaru, natychmiast ukazały się w nim dziury. Kontynuując dzieło zniszczenia, kot wlaźł aż na gzyms i obejrzał się rozjuszonym wzrokiem. Iwan Wasiliewicz upuścił lorgnon, do pokoju zaś wbiegła Ludmiła Sylwestrpwna Priaehina. Na jej widok kot spróbował wdrapać się jeszcze wyżej, ale wyżej był tylko sufit. Zwierzę ześliznęło się z' okrągłego gzymsu i zawisło nieruchomo na firance.

Priaehina wbiegła z zamkniętymi oczami, przyciskając do czoła pięść ze zmiętą i mokrą chusteczką. W drugiej ręce miała koronkową chusteczkę, czystą i suchą. Dobiegła do połowy pokoju i przyklęła na jedno kolano z pochyloną głową, wyciągając przed siebie rękę, niczym jeniec wręczający miecz zwycięzcy.

i— Nie ruszę się stąd ani na krok — wrzasnęła piskliwie Priaehina —■ zanim mnie nie weźmiesz w obronę, mistrzu! Pelikan jest zdrajcą! Bóg wszystko widzi!

Raptem tiul trzasnął i nad kotem ukazała się olbrzymia dziura.

— A pudziesz... — krzyknął rozpaczliwie Iwan Wa-i siliewicz klaszcząc w dłoń.

Kot zsunął się z firanki, rozpruwając ją do samego dołu, i prysnął z pokoju. Priachina zaś szlochała gromkim głosem i, zasłaniając twarz rękami, wrzasnęła przez duszącą ją łzy:

— Co ja słyszę? Co ja słyszę? Mój mistrz i dobroczyńca mnie wypędza? O Boże, Boże! Ty widzisz?

— Niech się pani obejrzy, Ludmiło Syłwestrowna! — z rozpaczą w głosie zawołał Iwan Wasiliewicz.

Wtem w drzwiach stanęła struszką, która krzyknęła;

— Ludmiłka! Uciekaj!... Obcy mężczyzna!...-

Ludmiła Syłwestrowna podniosła powieki i ujrzała

mój szary garnitur na szarym fotelu. Wybałuszyła na mnie oczy, a łzy, jak mi się zdawało, wyschły w mgnieniu oka. Zerwała się na równe nogi, wyszeptała: „O Boże!...” — i rzuciła się do ucieczki. Jednocześnie zniknęła też staruszka, a drzwi się zamknęły. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Po długiej pauzie Iwan Wasiliewicz zaczął bębnić palcami po stole.

— No, jak się panu podobało? — zapytał i dodał, z żalem: — Firankę diabli wzięli.

Milczeliśmy jeszcze chwilę.

— Zapewne zdziwiła pana ta scena? — spytał Iwan Wasiliewicz i chrząknął.

Ją również chrząknąłem wierząc się w fotelu i nie wiedząc, co mam odpowiedzieć, owa scena bowiem wcale mnie nie zdziwiła. Zdawałem sobie doskonale: sprawę, że jest to dalszy ciąg sceny, która odbyła się w przedpieklu, i że Priachina, padając na kolana przed Iwanem Wasiliewiczem, dotrzymała słowa.

— To była próba — oświadczył naraz Iwan Wasiliewicz — a pan na pewno pomyślał, że to zwyczajna awantura? Dobre, co?

— Cudowne! — odparłem unikając jego wzroku.

— Bardzo lubimy czasem odświeżyć w pamięci jakąś scenę... hm... hm... takie wprawki są pożyteczne...!

A jeżeli chodzi o Pelikana, to niech pan nie daje wiary. Pelikan jest człowiekiem szlachetnym i niesłuchanie użytecznym!... — Iwan Wasiliewicz spojrział ze smutkiem na firankę i powiedział: — No, cóż, czytamy dalej!

Okazało się to jednak niemożliwe, ponieważ weszła ta sama staruszka, która przedtem stanęła w drzwiach.

— Moja ciotunia, Nastasja Iwanowna — powiedział Iwan Wasiliewicz.

Złożyłem jej ukłon. Sympatyczna staruszka spojrzała na mnie dobrotliwie, usiadła i zapytała:

— Jak pana zdrowie?

— Dziękuję najuprzejmiej — odparłem z ukłonem — zdrowie służy mi doskonale.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

Ciotunia i Iwan Wasiliewicz popatrzyli na

firankę, a potem spojrzeli na siebie z goryczą.

— W jakiej sprawie raczył pan przybyć do Iwana Wasiliewicza?

— Leontij Siergiejewicz — wyjaśnił Iwan Wasiliewicz — przyniósł mi sztukę.

— Czyją sztukę? — zapytała staruszka spoglądając na mnie smutnymi oczyma,

— Leontij Siergiejewicz sam napisał sztukę.

— A po co? — z niepokojem zapytała Nastasja Iwanowna.

— Jak to po co?... hm... hm...

— Czyżby sztuk zabrakło? — spytała z czułym wyrzutem Nastasja Iwanowna. — Tyle jest tych sztuk! I jakie ładne! Jakby tak zacząć grać, to nawet przez dwadzieścia lat wszystkich by się nie zagrało. Po co pan ma się fatygować, pisać?

Staruszka powiedziała to z takim przekonaniem, że znalazłem się w kropce. Ale Iwan Wasiliewicz zaczął bębnić palcami po stole i rzekł:

— Leontij Leontjewicz napisał sztukę współczesną!

Staruszka zaniepokoiła się.

— Nie buntujemy się przeciwko władzy — oświadczyła.

— Po cóż się buntować — odparłem zgodnie.

— A *Plody edukacji* panu się nie podobają? — zapytała nieśmiało zalękniona Nastasja Iwanowna.

— Taka śliczna sztuka... i dla Ludmiłki jest rola...

— Westchnęła i wstała. — Niech pan pozdrowi ode mnie ojczulka.

— Ojczulek Siergieja Siergiejewicza nie żyje — poinformował ją Iwan Wasiliewicz.

— Panie święć nad jego duszą — powiedziała u-przejmie staruszka — pewnie nie wie, że pan pisze sztuki? A na co mu się zmarło?

— Wezwano niewłaściwego doktora —

wyjaśnił!!!; Iwan Wasiliewicz — Leontij Pafnutjewicz opowiedział mi tę smutną historię.

— Jak panu na imię, bo nie mogę się połapać —4jf spytała Nastasja Iwanowna — raz Leontij, raz Siergiej! To imiona też wolno teraz zmieniać? U nas taki jeden zmienił nazwisko i już w ogóle me wiadomo, co za jeden.

— Nazywam się Siergiej Leontjewicz — powiedziałem zachrypniętym głosem.

— Stokrotnie przepraszam — zawołał Iwan Wasiliewicz — to ja przekręciłem.

— Nie będę już panom przeszkadzała — powiedziała staruszka.

— Kotu trzeba dać baty — stwierdził Iwan Wasiliewicz — to bandyta nie kot. W ogóle bandyci nie; dają nam żyć — wyznał poufnie — nie wiemy doprawdy, co począć!

Wraz z zapadającym zmierzchem nastąpiła katastrofa.

Przeczytałem:

— „Bachtin (do Piętrowa): Żegnaj! Niebawem i ty pójdziesz w moje ślady...

Pietrow: Co ty robisz?! Bachtin strzela sobie w skroń i pada. W oddali rozlegają się dźwięki harmo...”

— To całkiem zbyteczne! — zawołał Iwan Wasiliewicz. — Po co to? Trzeba to natychmiast skreślić! Zlituj się pan! Po co strzelać?!

. — Ależ on musi popełnić samobójstwo — odparłem . chrząknawszy uprzednio.

— Znakomicie! Niech popełnia, ale niech się przebije sztyletem.

— Widzi pan, rzecz się dzieje podczas wojny domowej... sztylety wyszły już wtedy z użycia...

— Wcale nie wyszły z użycia — zaprzeczył Iwan Wasiliewicz —■ opowiadał mi ten... no, jak mu tam... zapomniałem... że używano... Niech pan skreśli ten strzał!

Nic nie odpowiedziałem, co było z mojej strony fatalnym błędem, lecz zacząłem czytać dalej:

— „...monii i pojedyncze strzały. Na moście ukazuje się mężczyzna z karabinem. Księżyc...”

— Boże drogi! — zawołał Iwan Wasiliewicz. — Strzały! Znowu strzały! Doprawdy, to jakaś plaga! Wie pan co, Leo... Wie pan co, niech pan skreśli tę scenę, jest zbyteczna.

— Sądziłem — zaoponowałem możliwie jak najdelikatniej — że to kluczowa scena. Widzi pan, tu właśnie...

— Pan się grubo myli! — przerwał mi Iwan Wasiliewicz. — Ta scena nie tylko nie jest najważniejsza, ale w ogóle jest zbyteczna. Po co to wszystko? Ten pański, jakże się on nazywa?...

— Bachtin.

— No właśnie... zasztyletował się tam w oddali — Iwan Wasiliewicz ruchem ręki wskazał jakieś bardzo odległe miejsce — a kto inny przychodzi

do domu i powiada do matki: „Bachtin zasztyletował się!”

— Przecież nie ma żadnej matki — powiedziałem oszołomiony, patrząc na szklanę z pokrywką.

— Musi być! Niech pan ją stworzy. To całkiem proste. Najpierw się zdaje, że to nie takie proste: nie było matki, a tu raptem jest — ale to tylko tak się zdaje, to całkiem proste. I oto starszka szłocha w domu, a ten, co przyniósł złą nowinę... Niech pan go nazwie Iwanowem...

— Ale przecież Bachtin jest głównym bohaterem! Ma monologi na moście... Sądziłem...

— Wszystkie jego monologi wygłosi właśnie Iwanow... Pisze pan dobre monologi, trzeba je zachować. Właśnie Iwanow powie: „Pietia przebił się sztyletem, a przed śmiercią powiedział; to i to, i to...” To będzie*! bardzo sugestywna scena.

— Ale jak z tego wybrnąć, Iwanie Wasiliewiczu! Przecież tam na moście mamy scenę masową.;, tanjł} starły się masy...

— Niech się., ścierają za sceną. W żadnym wypadku nie powinniśmy tego oglądać. To okropne, kiedy się ścierają na scenie! Pańskie szczęście, Siergieju Leontjewiczu — powiedział Iwan Wasiliewicz, nie myśląc się ten jeden jedyny raz — że nie był pan łaskaw poznać niejakiego Miszy Panina! — (Zmartwią^ łem.) — Muszę panu powiedzieć, że to przedziwna postać! Trzymamy go na wszelki wypadek, zawsze; może się coś zdarzyć — wtedy się go użyje!... On też uszczęśliwił nas kiedyś taką, za przeproszeniem, sztuką — *Stieńka Razin*. Wybrałem się do teatru i już z daleka słyszę — okna były otwarte — łaskot, gwizd, krzyki, przekleństwa i co chwila ktoś strzela! Koń o mały włos nie poniósł, myślałem, że w teatrze wybuchł bunt. Coś okropnego! Powiadam do Augusty Awdiejewny: „Jak pani, powiadam, mogła do tego dopuścić?! Czy pani

chce, żeby mnie też rozstrzelali? A jeżeli ten Striż spali teatr, to przecież nie ujdzie mi na sucho, prawda?" Augusta Awdiejewna, kobieta rzadkiej dzielności, odpowiada mi na to: „Może mi pan głowę uciąć, Iwanie Wasiliewiczu, ale na Striża nie mam sposobu!" Ten Striż to bicz Boży w teatrze. Jak go pan zobaczy, niech pan ucieka, gdzie pieprz rośnie. — (Zmartwiałem.) — Temu wszystkiemu, oczywiście, patronuje niejaki Arystarch Płatonowicz, ale pan go, Bogu dzięki, nie zna... A pan tu — strzały! Wie pan, co nam mogą zrobić za te strzały! No, czytamy dalej.

Czytaliśmy zatem dalej, a kiedy zaczęło się zmierzchać, powiedziałem schrypniętym głosem: — Koniec.

Niebawem jednak ogarnęło mnie przerażenie i rozpacz. Poczułem się jak człowiek, który zbudował dom, ledwie jednak w nim zamieszkał, gdy już mu się zawalił dach nad głową.

— Doskonale — powiedział Iwan Wasiliewicz, kiedy skończyłem — teraz powinien pan zabrać się do opracowania tego materiału.

Miałem ochotę krzyknąć: „Jak to?" — ale nie krzyknąłem.

A Iwan Wasiliewicz z coraz większym, zapalem począł mi szczegółowo tłumaczyć, jak należy opracowywać ten materiał. Siostrę, która była w sztuce, należało przerobić na matkę. Ponieważ jednak siostra miała narzeczonego, a pięćdziesięcioletnia matka (Iwan Wasiliewicz natychmiast nazwał ją Antonina) narzeczonego, rzecz jasna, mieć nie mogła, tym samym więc ze sztuki miała wypaść duża rola, która, co najważniejsze, ogromnie mi się podobała.

Zmierzch wpychał się do pokoju. Weszła na chwilę pielęgniarka i Iwan Wasiliewicz zażył krople. Potem jakaś pomarszczona staruszka przyniosła lampę i zrobił się wieczór.

W głowie zaczęło mi się mącić. Młoty waliły mi w skroniach. Z głodu ścisnęło mnie w dołku, a pokój zaczął wirować przed oczami. Najgorsze jednak było to, że miała wylecieć scena na moście, a wraz ze sceną musiał odlecieć mój bohater.

A może w gruncie rzeczy najgorsze było to, że zaszło jakieś grube nieporozumienie. Przed oczami stawał mi raptem afisz, na którym widniała moja sztuka, zdawało mi się, że w kieszeni szeleści ostatni czerwonec, który otrzymałem za tę sztukę i którego nie zdążyłem jeszcze wydać. Miałem wrażenie, że Foma Striż stoi za mną i zapewnia mnie, że za dwa miesiące wystawi sztukę, a tu nie ulegało wątpliwości, że w ogóle nie ma żadnej sztuki i że trzeba ją napisać na nowo od początku aż do końca.

Niczym w jakimś niesamowitym korowodzie płąsali % przede mną Misza Panin, Eulampia, Striż; przesuwały 1 się sceny z przedpiekła — ale nie było sztuki.

A potem zdarzyło się coś zgoła nieprzewidzianego."?!! a nawet wręcz nieprawdopodobnego.

Iwan Wasiliewicz pokazał (nawiasem mówiąc znakomicie), jak się przebija sztyletem Bachtin, którego już na dobre przemianował na Biechtiejewa, po czym chrząknął i odezwał się w te słowa:

— A nie napisałaby pan takiej sztuki?... Mógłby pan błyskawicznie zarobić masę pieniędzy... Głęboki dramat psychologiczny... Losy artystki. Że niby za siódmą górą, za siódmą rzeką była sobie artystka, a zbójcka szajka zatrzymała jej życie, prześladowała i pastwiła się nad nią... A ta tylko zanosila modły za swych wrogów...

„I robiła awantury" — pomyślałem w przyplwyie nagłej wściekłości.

— Modły do Boga, Iwanie Wasiliewiozu?

— Do Boga?... Hm... hm... Ależ skąd, w żadnym wypadku. Nie do Boga, lecz do sztuki, której jest bezgranicznie oddana. A prześladowa ją szajka łotrów, którą kieruje pewien czarnoksiężnik zwany Koście- J jem. Może pan napisać, że wyjechał do Afryki przekazując władzę niejakej pani X. To straszna kobieta. Jeżeli zdarzy się panu pić z nią herbatę, proszę się mieć na baczności, bo może wsypać panu takiego cukru do herbatki...

„O rety, to przecież o Toropieckiej!” — pomyślałem.

— ...że po jednym łyku przejedzie się pan na tamten świat. Ona i ten potworny bandyta Striż... to zna-czy, chciałem powiedzieć... pewien reżyser.

Siedziałem patrząc tępo na Iwana Wasiliewicza. Uśmiech zniknął stopniowo z jego twarzy, spostrzegłem naraz, że wcale nie ma tak łagodnych oczu, jak mi się zdawało.

— Widzę, że jest pan człowiekiem upartym — po wiedział bardzo ponuro Iwan Wasiliewicz i przygryzł wargi.

— Ależ, Iwanie WasiMewiczu, po prostu nie znam tak dobrze świata artystycznego.

— To niech go pan pozna! Nic trudnego! W naszym teatrze zobaczy pan takie postacie, że oko panu zbieleje. Od razu półtora aktu sztuki gotowe. Takie typy tam spacerują, że tylko patrzeć, jak człowiekowi ściągną buty w garderobie albo wsadzą finkę w plecy.

— To potworne — powiedziałem zbolełym głosem, dotykając palcami skroni.

— Widzę, że pana to nie pociąga... Trudno pana na coś namówić! A zresztą, pańska sztuka też jest dobra — rzekł Iwan Wasiliewicz, wpatrując się we mnie badawczo — trzeba ją tylko teraz napisać — i wszystko będzie w porządku.

Słaniając się na nogach, z łoskotem w głowie wyszedłem od Iwana Wasilewicza i po drodze z

wściekłością spojrziałem na czarnego Ostrowskiego. Mruczałem coś pod nosem, schodząc po skrzypiących drewnianych schodach, a sztuka, którą zdążyłem już znieawidzić, ciążyła mi w rękę.

Złorzecząc bezładnie sobie i życiu, szedłem spoglądając na latarnie płonące w sieciach deszczu.

Na rogu jakiegoś zaułka migotało słabe światelko w kiosku. Gazety, przyciśnięte cegłami, mokły na ladzie. Kupiłem nie wiadomo po co „Oblicze Melpomeny”, na którego okładce narysowany był mężczyzna w obcisłym trykocie, z > piórkiem w czapeczce i z nienaturalnie wesołymi, podretuszowanymi oczami.

Mój pokój wydał mi się wyjątkowo ohydny.

Cisnąłem o podłogę przesiąkniętym wodą rękopisem, usiadłem przy biurku i przycisnąłem ręką skroń, żeby uśmierzyć ból. Drugą ręką odłamy wałem kawałki razowego chleba i natychmiast je zjadałem.

Potem odjąłem rękę od skroni i zacząłem przerzucać wilgotny numer „Oblicza Melpomeny”. Mignęła! [mi jakaś dziewczyna w krynolinie, potem tytuł *Uwagze czytelników*, potem inny — *Brzydkie sprawy tenora lirycznego* i raptem mignęło mi moje nazwisko. Tak się zdziwiłem, że przeszedł mi nawet ból głowy, Lecz oto nazwisko mignęło jeszcze parę razy, a potem mignął sam Lope de Vega. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że miałem przed sobą felieton satyryczny: *Ni pchaj się na afisz...*, i że to właśnie ja byłem jego bo haterem. Zapomniałem już, o co głównie chodziło au torowi. Pamiętam jak przez mgłę, że felieton zaczy nał się tak:

„Na Parnasie panowała nuda.

— Nikogo nowego jakoś nie widać — powiedział] ziewając Jan Baptysta Molier.

— Nudnawo, co tu gadać — przytaknął Szekspir." A potem, o ile pamiętam, otworzyły się drzwi i wszedłem ja — czarnowłosa młodzian z niebywale grubymi dramatem pod pachą.

Wszyscy się ze mnie tam śmieli, co do tego nie było; wątpliwości, wszyscy jak jeden mąż: Szekspir, Lope de Vega, zjadliwy Molier, który mnie pytał, czy nie napisałem przypadkiem nowego *Świętoszka*, a nawet Czechow, którego na podstawie jego książek miałem za człowieka wyjątkowo delikatnego. Najbardziej jednak pastwił się nade mną autor felietonu, który podpisał się jako Wilczur.

Śmiać mi się chce, kiedy to sobie teraz przypominam, ale wówczas wściekłość moja nie miała granic.

Miotalem się po pokoju w poczuciu krzywdy, której doznałem niesłusznie, niezasłużenie i bez najmniejszego powodu.

Obłądne plany zastrzelenia Wilczura przeplatały się z rozpaczliwymi próbami odgadnięcia, na czym polega moja wina.

— To ten afisz! — szeptałem. — Ale czy ja go układałem? A masz! szeptałem widząc w marzeniach, jak zalany krwią Wilczur osuwa się przede mną na podłogę.

Wtem poczułem zapach fajki, drzwi skrzypnęły i w pokoju zjawił się Likospastow w mokrym płaszczu.

— Czytałeś? — zapytał radośnie. — Moje gratulacje, braciszku, zjechali cię aż miło! Ale trudna rada — skoroś grzyb, to siedź w koszu... Jak tylko przeczytałem, od razu sobie pomyślałem, że trzeba odwiedzić przyjaciela. — To mówiąc powiesił na gwoździu zupełnie sztywny płaszcz.

— Kto to jest ten Wilczur? — zapytałem głucho.

— Chcesz koniecznie wiedzieć?

— A więc znasz go?

— Przecież ty też go znasz.

— Nie znam żadnego Wilczura!

— Jak to nie znasz? Sam cię z nim poznałem... Pamiętajsz, na ulicy... ten śmieszny afisz... Sofokles...

Od razu przypomniałem sobie zamyślonego grubasa, który przyglądał się moim włosom... „Brunet!...”

— Co ja temu łajdakowi zrobiłem? — zapytałem rozwścieczony.

— Oj, nieładnie, braciszku, nieładnie. Żeby aż do tego stopnia wbić się w pychę, ho-ho! Więc już nikomu słowa nie wolno o tobie powiedzieć? Bez krytyki nie da rady.

— Jaka to krytyka? On się pastwi nade mną... Co to za jeden?

— To dramaturg — odpowiedział Likospastow — napisał pięć sztuk. Świetny chłop, niesłusznie na niego wściekasz. Ma się rozumieć, czuje się trochę pokrzywdzony... Nie on jeden zresztą...

— Ale przecież to nie ja układałem afisz. Niej moja wina, że mają w repertuarze Sofoklesa i Lope • ege... i...

— Mimo wszystko daleko ci do Sofoklesa uśmiechając się jadownicie, powiedział Likospastow. — Ja na przykład piszę od dwudziestu pięciu lat, ale Sofoklesem jakoś nie zostałem. — Likospastow westchnął.

Poczułem, że nie potrafię mu na to nic odpowiedzieć. Nic. Powiedzieć: „Nić zostałeś, bo kiepsko piszesz, a ja piszę dobrze?” Pomyślcie państwo sami, czy mogłem mu tak powiedzieć?

Milczałem, Likospastow zaś kontynuował:

— Ten afisz oczywiście wywołał w środowisku poruszenie. Wiele osób już mnie indagowało. Co tu gadać, taki afisz każdego drażni! Ale nie po to przyszedłem, żeby się z tobą spierać; kiedy się dowiedziałem o twoim nowym niepowodzeniu,

chciałem cię pocieszyć, porozmawiać po przyjacielsku.

— O jakim znowu niepowodzeniu?!

— Przecież twoja sztuka nie spodobała się Iwanowi Wasiliewiczowi — powiedział Likospastow z błyskiem w oku — podobno czytałeś mu ją dzisiaj?

— Skąd wiesz?

— Wszystkie wróble o tym ćwierkają na dachu — odparł z westchnieniem Likospastow, który zawsze zdradzał predylekję do przysłów i powiedzonek.

— Znasz Nastasję Iwanowną Kołdybajewą? — i nie czekając na moją odpowiedź mówił dalej: — Czcigodna niewiasta, ciotunia Iwana Wasiliewicza. Wszyscy ją szanują, a niegdyś cała Moskwa szalała za nią. Cóż to była za aktorka! A w naszym domu mieszka krawcowa, niejaka Stupnina. Była właśnie u Nastasji Iwanowny, przed chwilą wróciła. Nastasja Iwanowna wszystko jej opowiedziała. Był dziś, powiada, u Iwana Wasiliewicza jakiś nowy, czytał sztukę, czarny jak Gygan (od razu się domyśliłem, że to o ciebie chodzi). Nie podobała się, powiada, Iwanowi Wasiliewiczowi. Otóż to! A pamiętasz, co ci mówiłem, kiedyś nam ją czytał? Że trzeci akt jest zbyt nikły, że brak mu ciężaru gatunkowego. Nie złość się, przecież dobrze ci życzę. Nie posłuchałeś mnie wtedy! A Iwan Wasiliewicz, braciszku, zna się na rzeczy, nic się przed nim nie da ukryć — od razu się zorientował, co i jak. A skoro mu się nie podoba, to znaczy, że sztuka nie pójdzie. Wygląda na to, że skończy się na afiszu. Ludzie będą się śmiać; a to ci Eurypides! Aha, Nastasja Iwanowna opowiadała jeszcze, że nagadałeś Iwanowi Wasiliewiczowi imper-tynencji, zdenerwowałeś go? On ci zaczął udzielać rad, powiada Nastasja Iwanowna, a tyś jak na niego fuknął! Wybacz, ale tego już za wiele! Na

co sobie pozwalasz! Nie takie znów cudo ta twoja sztuka, żebyś miał fukać na Iwana Wasiliewicza.

— Chodźmy do knajpy — powiedziałem cicho —■ jakoś mi się nie chce siedzieć w domu... nie mam ochoty.

— Rozumiem! Ach, jakże cię rozumiem! — zawołał Likospastow. — Z przyjemnością. Tylko... Zaczął grzebać z niepokojem w portfelu.

— Nie szkodzi, ja mam.

Mniej więcej po upływie pół godziny siedzieliśmy pod oknem w restauracji „Neapol”, przy stoliku nakrytym poplamionym obrusem. Sympatyczny blondyn krzątał się przy nas, stawiając na stoliku rozmaite zakąski. Rozmawiał z nami czule, ogórki nazywał „ogóreczkami”, kawior — „kawiorkiem, ma się rozumieć”, i tak się dzięki niemu zrobiło miło i swojsko, że zapomniałem o mgle snującej się beznadziejnie po ulicy, a nawet przestało mi się zdawać, że Likospastow jest jadowitą żmiją.

• !|

ROZDZIA Ł XIII *Poznają prawdą*

Nie ma nic gorszego, moi drodzy, jak brak charakteru i niewiara we własne siły. Te wady sprawiły, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem z sio-stry-narzeczonej naprawdę nie należy zrobić matki?

„To niemożliwe — próbowałem sam sobie wm perswadować — żeby Iwan Wasiliewicz rzucał słowa na wiatr. Przecież zna się na rzeczy”.

Po czym, wzięwszy pióro do ręki, zacząłem pisać coś na kartce. Wyznaję otwarcie, że to były brednie. Co więcej, zniechęciłem nieproszoną matkę Antoninę do tego stopnia, że zacząłem

zgrzytać zębami, skoro zjawiała się na papierze. Nie mogło mi się zresztą nic udać — to jasne. Swoich bohaterów trzeba kochać. W przeciwnym wypadku nie radzę nikomu chwytać za pióro: można się z góry spodziewać grubych nieprzyjemności. Tak to jest!

— Tak to jest! — powtórzyłem schrypniętym głosem drąc na strzępy zapisany arkusz i ślubując solennie, że nie pójdę już do teatru. Wykonanie tego postanowienia okazało się prawdziwą udręką. Mimo wszystko bardzo byłem ciekaw, jak się ta cała historia skończy. „O, nie, to oni muszą mnie poprosić!” — postanowiłem.

Dzień upłynął mi w samotności, potem następny, minęły jeszcze trzy dni, tydzień — nikt mnie nie zrywał. „Ten łajdak Likospastow miał chyba rację — pomyślałem sobie. — Ładny mi afisz i Wędka *Fe-niksany!* A to pech!”

Ale zdarzają się przecież porządni ludzie. Świat nie jest taki zły — rzekłbym, naśladując Likospasto-wa. Pewnego dnia rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Bombardow. Tak się ucieszyłem, że poczułem jakieś dziwne swędzenie w oczach.

— Należało się tego spodziewać — perorował Bombardow⁷ siedząc na parapecie i postukując nogą w kaloryfer — to się musiało tak skończyć. Mówiłem panu!

— Ależ, Piotrze Pietrowiczu! — zawołałem. — Przyzna pan, że nie mogłem opuścić strzału! Musiałem przeczytać ten fragment!

— No i przeczytał pan! Brawo! — rzucił szorstko Bombardow.

— Nie wyrzeknę się swojego bohatera — oświadczyłem ze złością.

, — Wcale się pan nie musiał wyrzekać...

— Jak to?!

Dusząc się z wściekłości opowiedziałem Bombar-dowowi wszystko: o matce, o Pieti, który miał 'przywłaszczyć sobie tak bliskie mojemu sercu monologi głównego bohatera, a wreszcie o sztylcie, który doprowadzał mnie do szewskiej pasji.

— Jak się panu podobają te projekty? — zapytałem porywczo.

— Zawracanie głowy — odparł Bombardow oglądając się ukradkiem.

— No, widzi pan!

— Właśnie dlatego nie trzeba się było spierać — stwierdził spokojnie Bombardow. — Powinien był pan odpowiedzieć: „Iwanie Wasiliewiczu, jestem panu szczerze zobowiązany za cenne uwagi. Dołożę wszelkich starań, żeby je uwzględnić”. Niechże pan wreszcie zrozumie, że nie wolno się sprzeczać. Na Siw-cewie-Wrażku można się tylko zgadzać.

— Czy to ma znaczyć, że nigdy nikt się nie sprzeciwia?

— Nikt i nigdy — z naciskiem odparł Bombardow, przy każdym słowie uderzając nogą w kaloryfer nie sprzeciwiał się, nie sprzeciwia i nie będzie sprzeciwiał.

— Cokolwiek by Iwan Wasiliewicz powiedział?

— Cokolwiek by powiedział.

— A jeżeli powie, że mój bohater ma wyjechać do Penzy? Albo że ta jego matka Antonina ma się powiesić? Albo że śpiewa altem? Albo że ten piec jest czarny? Co mam mu na to odpowiedzieć?

— Że ten piec jest ozarny.

— A jaki będzie na scenie?

— Białą z czarną plamą.

— To potworne, niedorzeczne!

— Jakoś się żyje, chwalić Boga — powiedział Bombardow.

— No, dobrze! A czy Arystarch Płatonowicz nic mli nie może wyperswadować?

— Arystarch Płatonowicz nic mu nie może wyperswadować, ponieważ Arystarch Płatonowicz nie rozmawia z Iwanem Wasiliewizem od tysiąc osiemset osiemdziesiątego' piątego roku. •

— To niemożliwe!

— Pokłócili się w tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku i od tego czasu nie utrzymują ze sobą stosunków. Nie rozmawiają nawet przez telefon.

— W głowie mi się to nie mieści! I teatr się nie rozleciał?

— Jak pan widzi, nie rozleciał się, a nawet świetnie się trzyma. Podzielono go na strefy wpływów. Jeżeli, dajmy na to, pańską sztuką zainteresuje się Iwan Wasiliewicz, to Arystarch Płatonowicz już jej palcem nie tknie. I odwrotnie. To bardzo rozsądny system.

Mój Boże! Arystarch Płatonowicz, jak na złość wyjechał do Indii. Gdyby tu był, zwróciłbym się do niego.

— Hm... — powiedział Bombardow spoglądając przez okno.

— Niepodobna mieć do czynienia z człowiekiem, który nie chce nikogo słuchać.

— Myli się pan. Iwan Wasiliewicz słucha trzech osób: Gawriiła Stiepanowicza, cioci Nastasji Iwanow-ny i Augusty Awdiejewny. Spośród wszystkich ludzi tylko te trzy osoby mają na niego wpływ. Jeżeli zaś ktokolwiek inny próbuje wpłynąć na jego decyzję, zabiegi te mogą tylko odnieść skutek wręcz przeciwny.

— Ale dlaczego?

— Bo Iwan Wasiliewicz nikomu nie ufa.

— To przerażające!

— Wielcy ludzie miewają swoje fantazje — powiedział łagodnie Bombardow.

— Dobrze. Rozumiem wszystko i uważam, że sytuacja jest beznadziejna. Jeżeli moja sztuka ma być okaleczona i odarta z wszelkiego sensu, bo w przeciwnym razie nie ukaże się na scenie, to niechże się wcale nie ukazuje! Nie mam najmniejszej ochoty, żeby publiczność widząc, jak człowiek XX wieku, mający w ręku rewolwer, przebija się sztyletem, wytykała mnie palcami.

— Wcale by pana nie wytykała, ponieważ nie byłaby żadnego sztyletu. Pański bohater zastrzeliłby się, jak przystało na normalnego mężczyznę.

Zacząłem się przysłuchiwać uważniej.

— Gdyby pan zachował spokój — kontynuował Bombardow — słuchał dobrych rad, zgodził się na sztylet i na Antoninę, nie musiałby pan nic przerażać. Na wszystko są sposoby.

— Cóż to za sposoby?

s

1

37

— Zna je Misza Panin — grobowym głosem odparł Bombardow.

— Ale teraz już jest za późno? — spytałem z roz- ■ paczą.

— Trudna sprawa, trudna sprawa — odpowiedział

ze smutkiem Bombardow. •, ,
i;

Minął jeszcze tydzień, a teatr nie dawał znaku ży-eia. Rana zaczęła się stopniowo zablizniać. Tylko bardzo trudno było mi się pogodzić z

koniecznością chodzenia do „Żeglugi” i pisania, szkiców.

Nagle... Przeklęte Słowo! Odchodzę na zawsze z tej go świata unosząc w sobie nieprzeparty, nikczemny, strach przed tym słowem. Boję się go tak, jak słowa „niespodzianka”, jak słów „telefon do pana”, „telegram”, „jest pan proszony do gabinetu”. Wiem-aż nazbyt dobrze, co się za tymi słowami kryje.

Otóż nagle i zupełnie¹ niespodziewanie¹ stanął w drzwiach mego pokoju Demian Kuźmicz i wręczył mi list z teatru, zawierający prośbę o łaskawe przybycie nazajutrz o czwartej.

Nazajutrz deszcz nie padał. Nazajutrz chwycił mocny jesienny przymrozek. Stukając obcasami po asfalcie, szedłem, zdenerwowany, do teatru.

Już na wstępie uderzył mnie widok szkapki dorożkarskiej spasionej jak nosorożec i wyschniętego staruszka na koźle. Domyśliłem się od razu, że to Dry-,: kin, i zdenerwowałem się jeszcze bardziej. Wewnątrz teatru wyczuwało się wyraźnie atmosferę ogólnego¹ podniecenia. Boks Filusia był pusty, a jego interesanci, a raczej ci najbardziej wytrwali spośród nich, stali w gromadce na podwórku, drżąc z zimna i zaglądając od czasu do czasu przez okno. Niektórzy próbowali nawet pukać do lufcika, ale nadaremnie. Zapukałem do drzwi, które się uchyliły, w szparce mignęło oko Bakwalina i usłyszałem głos Filusia:
— Wpuścić natychmiast!

Wpuszczano mnie do środka. Udręczony tłumek na podwórzu próbował pójść w moje ślady, ale drzwi się zatrzasnęły. Potknąłem się, zjechałem na łeb na szyję ze schodków i wylądowałem na podłodze. Bakwalin pomógł mi wstać i zaprowadził mnie do - boksu. Filuś nie siedział na swoim zwykłym miejscu, lecz w pierwszym

pokoiku: Miał nowy krawat, jak dziś pamiętam — w kropki, i był wygolony niezwykle dokładnie.

Powitał mnie szczególnie uroczyście, ale jakby z pewnym smutkiem. W teatrze coś się działo (czułem to, jak zapewne przeczuwa swój los byk prowadzony na ubój), coś ważnego, w czym ja — wyobraźcie sobie państwo — miałem odegrać główną rolę.

Można to było wyczuć nawet w poleceniu, które Filuś rzucił stanowczo Bakwalinowi:

—• Proszę wziąć od pana palto!

Zdumieli mnie również gońcy i bileterzy. Żaden z nich nie siedział spokojnie, wszyscy brali udział w gorączkowych manewrach, dla człowieka nie wtajemniczonego najzupełniej zagadkowych. Tak na przykład Demian Kuźmicz przemknął galopem, wyprzedził mnie i bezszelestnie wbiegł rias piętro. Ledwie zniknął mi z oczu, — a. już wypadł na schody i zbiegł na dół Kusków — również galopem i również zniknął. Kłukwin przemierzył truchcikiem ciemne foyer na parterze, nie wiadomo po co zaciągnął firankę na jednym z okien, resztę okien zostawił odsłonięte — i też zginął bez śladu-

Bakwalin przemknął bezszelestnie po suknie i dał nura do bufetu, z bufetu natomiast wybiegł Panin i znikł na widowni.

— Pan pozwoli ze mną na górę — rzekł Filuś prowadząc mnie z honorami.

Szliśmy schodami na górę. Jeszcze ktoś przeleciał bezszelestnie i pofrunął na drugie piętro. Zaczęło mi się wydawać, że to cienie zmarłych krążą dokoła.

Kiedyśmy się zbliżyli w milczeniu do drzwi przez piekłą, ujrzałem stojącego na progu Demiana Kuźmicha. Jakaś niepozorna postać w marynarczce ruszyła ku drzwiom, ale Demian Kuźmicz pisał cichutko, rozłożył ręce i zastygł

na drzwiach jak ukrz; zowany. Niepozorna postać odskoczyła^ w bok i roz płynęła się w mroku schodów.

— Proszę wpuścić! — szepnął Filuś i znikł.

Demian Kuźmicz pchnął drzwi, które ustąpiły, p< tern otworzył przede mną następne — i znalazło się w przedpieklu, gdzie już nie było zmierzchu. N biurku Toropieckiej paliła się lampa. Poliksena W-siliewna nie pisała na maszynie, lecz siedziała ż. wzrokiem utkwionym w gazetę. Skinęła mi głow

Przed drzwiami prowadzącymi do gabinetu dyrek cji stała Menażraki w zielonym swetrze, z brylaato wym krzyżykiem na szyi i z wielkim pękiem klucz na lakierowanym skórzanym pasku.

— Tędy — powiedziała, i znalazłem się w rzęsiś cie oświetlonym pokoju. Przede wszystkim rzucił mi się w oczy drogie czeczotowe meble ozdobion złoceniami, kolosalne, również czeczotowe biurko;;! czarne popiersie Ostrowskiego w kącie. Pod sufitem., jarzył się żyrandol, na ścianach płonęły kinkiety. R^p| tem przywidziało mi się, że postacie z teatralnej gaf lerii portretów wyszły z ram i ruszyły na mnie ławą. Poznałem Iwana Wasiliewicza siedzącego na kanapigl przy okrągłym stoliku, na którym stała miseczka konfitur. Poznałem Książewicza, poznałem jeszcze' parę osób z portretów, między innymi niezwykle okazałą panią w szkarłatnej bluzie i brązowym żakie-; cie .usianym niczym gwiazdami guzikami z pereł. Pat; nr miała narzucone na żakiet futro z soboli. Maleńka Czapeczka osadzona była zawadiacko na jej siwiejących włosach, oczy błyskały spod czarnych brwi, błyskały też palce, całe w masywnych pierścieniach z brylantami.

W pokoju znajdowały się również osoby, które nie trafiły do galerii portretów. Przy oparciu kanapy stał lekarz, ten sam, który ratował Ludmiłę Priachinę, od spazmów, a teraz także trzymał w ręku kieliszek; w pobliżu drzwi stał wciąż z tą samą nieszczęśliwą miną bufetowy.

Duży okrągły stół, ustawiony nieco z boku, był nakryty olśniewająco białym obrusem. Błyski światła igrały na kryształach i porcelanie, błyski światła odbijały się tajemniczo w butelkach wody mineralnej, mignęło mi coś czerwonego, zapewne kawior. Liczne towarzystwo, spoczywające wygodnie w fotelach, poruszyło się, kiedy wszedłem, i skinieniami głowy odpowiedziało na mój ukłon.

—A! Leo... — chciał mnie przywitać Iwan Wasiliewicz.

—Siergiej Leontjewicz — wtrącił pośpiesznie Kmiażewicz.

—Tak... Siergieju Leontjewiczu, bardzo prosimy! Zechce pan łaskawie usiąść! — Iwan Wasiliewicz mocno uścisnął mi rękę. — A może by pan raczył coś przekąsić? Może życzy pan sobie spożyć śniadanie lufo obiad? Proszę bez ceregieli. Poczekamy na pana. Jermołaj Iwanowicz to prawdziwy czarodziej, wystarczy mu szepnąć słówko a... Jermołaju Iwanowi-czu, czy znajdzie się u pana jakiś obiadek?

Czarodziej Jermołaj Iwanowicz zaczął przewracać oczyma, potem ustawił je w zwykłym miejscu i przesłał mi błagalne spojrzenie.

—A może się pan czegoś napije? — wciąż częstował Iwan Wasiliewicz. Wody mineralnej? Lemoniady? Kwasu żurawinowego? Jermołaju Iwanowiczu! — powiedział surowym tonem Iwan Wasiliewicz. — Czy posiada pan wystarczające zasoby żurawin? Zechce pan sprawdzić jak najdokładniej.

W odpowiedzi na to Jermołaj Iwanowicz uśmiech, nał się nieśmiało i opuścił głowę.

— Jermołaj Iwanowicz... hm... hm... jest magiem. W: najstraszliwszym Okresie uratował dosłownie cała Lea Ir od śmierci głodowej] za pomocą wędzonego je siostra! Zginęlibyśmy marnie, gdyby nie ort. Aktor go ubóstwiają!

Jermołaj Iwanowicz nie wbił się w dumę na wspo mniemie bohaterskiego czynu, przeciwnie — twarz się zasepiła.

Oświadczyłem wyraźnym, dobitnym i dźwięczny] głosem, że jadłem już śniadanie i obiad. Odmówił: również kategorycznie wypicia wody mineralne^h; i kwasu żurawinowego.

— W takim razie może ciastko? Jermołaj Iwanowicz znany jest na całym świecie ze swoich ciastek"

Jeszcze dźwięczniejszym i dobitniejszym głose (Bombardow, który później po wysłuchaniu relacji obecnych odgrywał mi tę scenkę, powiedział: „Mo wił pan podobno jakimś dziwnym głosem! „Jakimś „Cienkim, schrypniętym, rozwścieczonym..."): kateg rycznie odmówiłem zjedzenia ciastek.

— A propos ciastek — odezwał się naraz aksamit nym basem niezwykle wytworny, pięknie ubrany i uczesany blondyn, który siedział obok Iwana Wasiliewicza — pamiętam, jak zebraliśmy się kiedyś u Pruczewina, a tu raptem przyjechał niespodzianie wielki książę Maksymilian Pietrowicz. Śmiechu było co niemiara... Zna pan zapewne Pruczewina, Iwanie Wasiliewiczu. Opowiem panu potem to zabawne zdarze-' nie.

— Owszem, znam Pruczewina — odparł Iwan Wasiliewicz — to łotr nad łotry. Własną siostrę puścił z torbami... No i co dalej?!

Drzwi się otworzyły i wszedł jeszcze ktoś, kto nie figurował w galerii portretów — Misza Panin.

dobrac bardzo dobra... W niej... e... jak by to określić? — w tym miejscu mówca zerknął w kierunku dużego stołu, na którym

- stała woda mineralna; Jermołaj Iwanowicz zaś podbiegł natychmiast truchcikiem i podał mu nową butelkę — słowem, pełna jest głębi psychologicznej, młniejwykle trafnie skreślone postacie... e... a jeżeli cho-f dzi o opisy przyrody, to wznosił się pan, powiedziałbym, na turgieniewowskie wyżyny! — Woda zasy[^]. czała, mówca wychylił trzecią szklanke i jednym iu-chem brwi wyrzucił monokl z oka. — Te opisy — koi tynuował - południowej przyrody... 'e... te wygwieżdzone ukraińskie noce... następnie szumiący Dniepr:..! e... jak się wyraził Gogol... e... Cudowny jest Dniepjc| jak państwo zapewne pamiętają.., i zapach akacji:..| wszystko to opisał pan po mistrzowsku...;

Obejrzałem się na Misze Panina. Ten skulił się w fotelu, oczy jego miały wyraz tragiczny.

— Szczególne wrażenie...; e...: sprawia opis gajusł liście srebrzystych topól... pamiętacie państwo? 1

— Po dziś dzień zachowałam w pamięci te noce nad Dnieprem, kiedy byliśmy tam na gościnnych występach — powiedziała głębokim altem pani w sobolach

: — A propos występów — odezwał się ze śmiecheñii. bas siedzący obok Iwana'

Wasiliewicza—cóż za pikañj tny wypadek przytrafił się wtedy generał-gubernatój rowi Dukasowowi. Pamięta go pan, Iwanie Wasilie' wiczu?

— Pamiętam. Potworny żarłok! — odparł Iwan Wa siliewicz. — Ale niech pan mówi dalej.

— Nic prócz komplementów... e... e... pod adreseiri| pańskiej powieści nie da się

powiedzieć... ale... wybaczy pan... scena ma swoje prawa.

Iwan Wasiliewicz zajadał konfitury przysłuchując! się z zadowoleniem przemówieniu Hipolita Pawłowicza.

— Nie udało się panu odtworzyć w pańskiej sztuce całego aromatu naszego Południa, tych upalnych; nocy. Rolom zabrakło szlifu psychologicznego, co odbiło się szczególnie na roli Bachtina... — Okoliczność; ta z niewiadomych powodów drażniła mówcę, zaczął; nawet sapać gniewnie, zaciskając przy tym wargi. — Pf... pf... i ja— e... e... nie wiem, doprawdy... — Mówca stuknął parę razy kantem monokla po brulionie, w którym rozpoznałem swoją sztukę. — Wybaczy pan, ale tej sztuki nie da się zagrać... — zakończył całkiem już obrażony.

Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Hipolit Pawłowicz odczytał, jak sędzę, w moim wzroku zdumienie i wściekłość.

Sęk w tym, że w mojej powieści nie było ani akacji, ani srebrzystych topoli, ani szumiącego Dniepru, ani... słowem, nic z tych rzeczy.

„Nie przeczytał! Nie przeczytał mojej powieści — huczało mi w głowie — a ma czelność wypowiadać się na jej temat. Plecie trzy po trzy o jakichś ukraińskich nocach... Po co mnie tu zaproszono?!”

— Kto jeszcze chce zabrać głos? — zapytał dziarsko Iwan Wasiliewicz tocząc spojrzeniem po zebranych.

Zapadła niezręczna cisza. Nikt nie chciał zabrać głosu. Tylko w kącie rozległ się głos:

— O-ho-ho...

Obejrzałem się i dostrzegłem tam starszego korpulentnego mężczyznę w granatowej bluzie. Miałem wrażenie, że przypominam go sobie z portretu... Oczy miał łagodne, a na twarzy jego

malowało się znudzenie, wieloletnie znudzenie. Widząc, że mu się przypatruje, odwrócił spojrzenie.

— Pan chce coś powiedzieć, Fiodorze Władimiro-wiczu? — zwrócił się do niego Iwan Wasiliewicz.

— Nie — odrzekł mężczyzna. . Ogólne milczenie stało się wręcz dziwne.

— A może pan ma jakieś uwagi? — zapytał mnie Iwan Wasiliewicz.

Głosem bynajmniej nie dźwięcznym, różnym ani donośnym, jak sam się teraz orientuję, odpowiedziałem:

— O ile zrozumiałem, moja sztuka nie spodobała się, proszę o jej zwrot.

Słowa te wywołały poruszenie. Fotele drgnęły, ktoś za moimi plecami Obruszył się:

— Co też pan mówi. Przepraszam bardzo!

Iwan Wasiliewicz spojrzał na konfitury, a potem z zdumieniem ogarnął spojrzeniem zebranych.

— Hm... hm... — Tu zaczął bębnić palcami po sto:

— Pragniemy wyperswadować panu po przyjacielsk że wystawiając tę sztukę wyrządzilibyśmy panu krzywdę! Potworną krzywdę! Zwłaszcza gdyby zabrał się do tego Foma Striż. Przekląłby pan godzinę, w której pan się urodził, i nas na dodatek.

Po chwili milczenia odparłem:

— W takim razie proszę o zwrot sztuki. W oczach Iwana Wasiliewicza błysnęła wściekłość, iii— Raczyl pan podpisać umowę — rozległ się rap tern jakiś głos i zza pleców doktora wyłoniła się twar Gawriiła Stiepanowicza.

— Ale co panom po sztuce, skoro teatr nie chce jej wystawić?

W tej chwili przysunęła się do mnie jakaś fizjono mia w binoklach, zza których wzyierały

bardzo żywe oczy, i powiedziała wysokim tenorkiem:

— Czyżby chciał pan ją zanieść do teatru Szlippego? Co oni z nią zrobią? Będzie latać po scenie paru dziarskich oficerków — no, i co z tego? Co komu po tym?

— Zgodnie z obowiązującymi ustawami nie może pan oddać sztuki teatrowi Szlippego. Mamy umowę!

— powiedział Gawriił Stiepanowicz wychodząc z za pleców doktora.

„Co tu się dzieje? Czego chcą?” — pomyślałem i po raz pierwszy w życiu poczułem straszliwe duszności.

— Wybaczą państwo — powiedziałem głucho — ale nic z tego nie rozumiem. Nie macie zamiaru jej grać, a jednocześnie powiadacie, że nie mogę jej oddać innemu teatrowi. Jak to jest? i

Moje słowa wywołały przedziwną reakcję. Pani w sobolach i bas na kanapie spojrzeli po sobie z bolesnym zdumieniem. Najgroźniejszy wyraz przybrała jednak twarz Iwana Wasiliewicza. Uśmiech zniknął, świdrowało mnie teraz dwoje ognistych, rozwścieczonych oczu.

— Chcemy uchronić pana przed straszną klęską! — powiedział Iwan Wasiliewicz. — Przed niechybną katastrofą, która czyha na pana za węglem.

Znowu zapanowała dręcząca, nieznośna cisza.

Podłubałem chwilę palcem w obiciu fotela, a potem wstałem i ukloniłem się. Wszyscy zebrani odклонili mi się, z wyjątkiem Iwana Wasiliewicza, który spoglądał na mnie osłupiałym wzrokiem. Dotarłem bokiem do drzwi, potknąłem się, wyszedłem, w przedpieklu ukloniłem się Toropieckiej, która popatrzyła na mnie jednym okiem, nie odrywając drugiego od „Izwestii”, i

Auguście Menażraki, która przyjęła ukłon z rezerwą — i wyszedłem.

Teatr tonął w zmierzchu. W bufecie zjawiły się białe plamy — nakrywano stoliki przed spektaklem. Drzwi na widownię były otwarte, przystanąłem na chwilę i zajrzałem do środka. Scena była zupełnie pusta, aż do dalekiej ściany z nie otynkowanych cegieł. Z góry zjeżdżała zielona altanka spowita bluszczem, z boku przez ogromną rozwartą bramę robotnicy, snujący się jak mrówki, wnosili na scenę białe kolumny.

Niebawem już nie było mnie w teatrze.

Bombardow nie miał telefonu, wysłałem więc do mego depeszę następującej treści: „Zapraszam na stypę bez pana zwariuję nie rozumiem.”

Na poczcie nie chciano przyjąć depeszy. Przyjęto ją dopiero wówczas, kiedy zagroziłem, że złożę kw „Żegludze”.

Następnego dnia wieczorem siedzieliśmy z Bońll bardowem przy nakrytym stole. Wspomniana przeze mnie uprzednio żona rzemieślnika podawała bliny.

Bombardowowi przypadł do gustu mój pomysł : stypą, spodobał mu się również pokój, w którym zr biłem generalne porządki.

— Teraz już wróciłem do równowagi — powieźi łem, kiedy gość zaspokoił pierwszy głód — i ma; tylko jedno pragnienie: chcę wiedzieć, co to było? Ni podobnego nie zdarzyło mi się dotychczas oglądać.

Bombardow w odpowiedzi pochwalił bliny, obej rzał pokój i powiedział:

— Powinien się pan ożenić, Siergieju Leontjewiczu Ożenić się z jakąś sympatyczną, subtelną panią lu panną.

— Tę rozmowę opisał już Gogol — odparłem — ni bawmy się w powtórzenia. Proszę mi powiedzieć, c to było?

Bombardow wzruszył ramionami.

— Nic nadzwyczajnego. Narada Iwana Wasiliewicza z seniorami teatru.

— Hm. Kto jest ta pani w sobolach?

— Margarita Pietrowna Tawriczeska, artystka naszego teatru, która należy do grupy starszych, czyli seniorów. Znana z tego, że nieboszczyk Ostrowski "w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym obserwując jej grę — debiutowała wówczas na scenie — powiedział: „Bardzo dobrze.”

Dowiedziałem się następnie od mojego rozmówcy, że w gabinecie znajdowali się wyłącznie założyciele teatru, którzy zostali wezwani przez Iwana Wasiliewicza w trybie wyjątkowo nagłym na naradę w sprawie mojej sztuki, i że poprzedniego dnia zawiadomiono Drykina, i że Drykin długo i starannie czyścił konia i mył dorożkę roztworem karbolu.

Zapytany o mężczyznę, który opowiadał o wielkim księciu Maksymilianie Pietrowiczu i żarłocznym generał-gubernatorze, Bombardow poinformował mnie, że jest to najmłodszy z grupy starszych.

Muszę zaznaczyć, że odpowiedzi Bombardowa były nader ostrożne i powściągliwe. Zauważyłem to i postarałem się tak formułować pytania, żeby wydebić z mojego gościa nie tylko zdawkowe i ogólnikowe odpowiedzi w rodzaju „urodził się w roku takim a takim, nazywa się tak a tak", lecz także jakieś charakterystyki. Ludzie, którzy zebrali się wówczas w gabinecie dykcji, zainteresowali mnie niezmiernie. Miałem nadzieję, że uda mi się

wyłuskać z jego opinii o tych ludziach przyczyny ich zachowania na zagadkowej naradzie.

— Czy ten Gornostajew, co opowiadał o generał--gubernatorze, jest dobrym aktorem? — zapytałem nalewając Bombardowowi wina do kieliszka.

— Uhm — odparł Bombardow.

— Żadne „uhm”, to stanowczo za mało. Na przykład, jeżeli chodzi o Margaritę' Pietrownę, wiadomo, że Ostrowski powiedział: „Bardzo dobrze”. To już jest jakiś punkt zaczepienia! Ale „uhm” nic mi nie mówi. Może Gornostajew też czymś się wślawił?

Bombardow zerknął na mnie spod oka, a potem bąknął:

— Cóż by panu o nim powiedzieć?... Hm... — Osuszył kielich i dodał: — Właśnie całkiem niedawno Gornostajew zadziwił wszystkich swoim cudownym ozdrowieniem... — mówiąc to Bombardow zaczął polewać blin masłem topionym i polewał go tak długo, aż zawołałem:

— Na litość boską, niechże pan opowiada!

— Znakomite jest to „napareuli” — wtrącił mimo to Bombardow wystawiając moją cierpliwość na p'ijffl bę, po czym przystąpił do rzeczy: — Wypadek ten wydarzył się wczesną wiosną przed czterema laty. Gię-rasim Nikołajewicz, pamiętam jak dzisiaj, był wyjątkowo wesół i ożywiony. Jakby czuł, biedaczek, że niewiele mu zostało wesołych chwil! Nosił się z jakimiś zamiarami, miał jakieś porywy, nawet odmłodził. *QSM* trzeba wiedzieć, że teatr ukochał nad życie. Pamiętam, stale powtarzał: „Oj, nie trzymam już ręki na pulsie, dawniej miałem kontakt z życiem teatralnym na Zachodzie, jeździłem co roku za granicę, no i, rzecz jasna, orientowałem się doskonale, co się dzieje w teatrze w Niemczech i we Francji. Ale

co tam Francja! Niech pan sobie wyobrazi, nawet do Ameryki potrafiem zajrzeć, żeby poznać się z osiągnięciami teatralnymi." „Niech pan w takim razie, mówi mu ktoś, złoży podanie o paszport i wyjedzie." Uśmiechnął się tylko łagodnie. „Za nic w świecie, powiada, nie takie teraz czasy, żeby składać podania. Czyż mogę pozwolić, żeby państwo wydawało na mnie cenne dewizy? Niech lepiej pojedzie jakiś inżynier albo działacz gospodarczy."

Mocny, prawdziwy człowiek! — No więc... — Bom-! bardów popatrzył na światło przez napełniony kieliszek i jeszcze raz pochwalił wino. — No więc minął¹ miesiąc, nadeszła wiosna. Wtedy właśnie spadło na niego nieszczęście. Pewnego razu Gierasim Nikołajewicz przychodzi do gabinetu Augusty Awdiejewny. Nic nie mówi. Ta patrzy na niego, widzi, że Gierasim Nikołajewicz wygląda fatalnie — błydy jak chusta, a z oczu wyziera mu żaloba. „Co panu jest, Gierasimie Nikołajewiczu?" „Głupstwo, powiada, niech się pani tym nie przejmuje." Podchodzi do okna, bębni palcami po szybie i pogwizduje jakąś bardzo smutną piekielnie znaną melodię. Augusta Awdiejewna słucha-okazuje się, że to marsz pogrzebowy Chopina. Nie wytrzymała, serce omal jej nie pękło ze współczucia, dalej go wypytywać: „Co się stało? O co chodzi?" Odwrócił się do niej, uśmiechnął krzywo i powiada: „Niech pani przysięgnie, że nikomu nie powie!" Ta, ma się rozumieć, przysięgła natychmiast. „Wracam właśnie od doktora, stwierdził sarkomę płuc." Odwrócił się i wyszedł.

— Ładna historia... — powiedziałem cicho i zrobiło mi się jakoś paskudnie na duszy.

— Co tu gadać! — zgodził się Bombardow. — Augusta Awdiejewna natychmiast opowiedziała to pod przysięgą Gawriłowi Stiepanowiczowi, ten —

Hipolitowi Pawłowiczowi, ten — żonie, a żona — Eulampii Pietrownie. Słowem, po dwóch godzinach nawet czeladnicy w pracowni krawieckiej wiedzieli, że nadszedł kres kariery artystycznej Gierasima Nikołajewicza i że wieniec pogrzebowy można zamawiać choćby zaraz. Aktorzy już po trzech godzinach rozprawiali w bufecie, komu przypadną teraz role Gierasima Nikołajewicza.

Tymczasem Augusta Awdiejewna łap za słuchawkę — i do Iwana Wasiliewicza. Dokładnie po upływie trzech dni Augusta Awdiejewna dzwoni do Gierasima Nikołajewicza i powiada: „Zaraz do pana przyjadę”. Rzeczywiście, przyjeżdża. Gierasim Nikołajewicz leży na kanapie w chińskim szlafroku, błądy jak śmierć, ale dumny i spokojny.

Augusta Awdiejewna, kobieta czynu, od razu buch na stół — paszport i czek. Gierasim Nikołajewicz drgnął i powiedział: „O niedobrzy ludzie. Nie zabiegałem przecież o wyjazd. Po co mam umierać na obczyźnie?” Ale Augusta Awdiejewna, kobieta nieugięta i sekretarka z prawdziwego zdarzenia, nie zwracając uwagi na słowa konającego, zawołała: „Faddiej!” Fad-diej to wierny i oddany służący Gierasima Nikołajewicza. Zjawił się natychmiast.

„Pociąg odchodzi za dwie godziny. Pled Gierasirna Nikołajewicza! Bielizna! Walizka! Neseser! Samochód ' będzie za czterdzieści minut.” Nieszczęsny skazaniec westchnął tylko i machnął ręką.

Gdzieś w Szwajcarii nad samą granicą, a może nie ¹ w Szwajcarii — słowem, w Alpach... — Bombardow potarł ręką czoło ¹ — zresztą, mniejsza oto. Na wysokości trzech tysięcy metrów nad poziomem morza v' znajduje się klinika wysokogórska słynnego na cały świat profesora

Klie. Przywozi się tam tylko beznadziejnych pacjentów: wóz albo przewóz. Nic im już nie może zaszkodzić, a czasem zdarza się cud. Klie ! J kładzie takich pacjentów na otwartej werandzie z wi^ffl dokiem na ośnieżone szczyty, robi im zastrzyki jakiej|| goś preparatu antysarkomowego, każe im oddychać'; tlenem i zdarza się niekiedy, że odwleka śmierć o ja; kiś rok.

Po, pięćdziesięciu minutach Gierasirna Nikołaj ewicfj na jego życzenie przewieziono przed teatrem. Demia Kuźmicz opowiadał potem, że widział na własne oczy, jak Gierasim Nikołajewicz podniósł rękę i pobłogosławił teatr, po czym samochód odjechał w kierunku^ dworca Białorusko-Bałtyckiego.

Tu wybuchło lato i rozeszła się pogłoska, że Gierasim Nikołajewicz zmarł. Pogadano o tym, oplakano! nieboszczyka... Aktorzy, jak to w lecie, byli już na wyjeźdny, czekały ich występy gościnne, więc też jakiejś nadzwyczajnej żałoby nie dało się odczuć. Sądono powszechnie, że zwłoki Gierasirna Nikołajewicza zostaną niebawem przywiezione z Paryża. Ale sezon się tymczasem skończył i aktorzy powyjeżdżali. | A musi pan wiedzieć, że nasz Plisow...

— Ten sympatyczny, z wąsami — zapytałem — co wisi w galerii?

— Właśnie — potwierdził Bombardow i opowiadał dalej: — Otóż nasz Plisow wyjechał służbowo do Pa- i ryża, żeby zapoznać się z najnowszym teatralnym wyposażeniem technicznym. Ma się rozumieć, dostał niezwłocznie paszport i ruszył w drogę. A jest to, trzeba panu wiedzieć, człowiek pracowity jak mrówka, który poza swoją sceną obrotową świata nie widzi. Zazdroszczono mu ogromnie tego wyjazdu. Każdy miałby ochotę machnąć się do Paryża. „A Lo ci szczęściarz!” — mówiono.

Mniejsza z tym! Szczęściarz czy nie szczęściarz, ale wziął dokumenty i pojechał do Paryża akurat w tym czasie, kiedy przyszła wiadomość o zgonie Gierasima Nikołajewicza. Plisow jest człowiekiem szczególnego pokroju, potrafił spędzić kawał czasu w Paryżu i nie zobaczyć nawet wieży Eiffla. Entuzjasta! Cały czas siedział w zapadniach pod scenami, zbadał wszystko, co należy, kupił reflektory, słowem, zrobił wszystko, co powinien był zrobić. Wreszcie nadszedł czas odjazdu. Wtedy postanowił przejść się po Paryżu i przynajmniej rzucić okiem na miasto przed powrotem do ojczyzny. Chodził więc i chodził, jeździł autobusami, porozumiewając się przeważnie za pomocą nieartykułowanych dźwięków, aż wreszcie zajechał Bóg raczy wiedzieć dokąd i poczuł, że jest głodny jak wilk. „Wstąpię, pomyślał, do jakiejś knajpki i coś przegryzę!” Widzi — pałą się światła. Wykombinował sobie, że to nie śródmieście i że nie powinno tu być drogo. Wszedł do środka. Knajpka rzeczywiście nie najelegantsza. Rozejrzał się wokoło i stanął jak wryty.

Przy stoliku, w smokingu i z goździkiem w butonierce, siedzi zmarły Gierasim Nikołajewicz z dwiema Francuzkami, przy czym te ostatnie śmieją się do rozpuku. Przed nimi w wazie z lodem stoi butelka szampana i jakieś owoce.

Plisow dosłownie zachwiał się w drzwiach. „To niemożliwe! — pomyślał. — Przywidziało mi się. Gierasim Nikołajewicz nie może tutaj siedzieć i śmiać się

z Francuzkami. Jedyne miejsce, gdzie ma prawo się-teraz znajdować, to Cmentarz Nowodiewiczy.”

Stanął i zaczął się gapić na mężczyznę, który do złudzenia przypominał mu nieboszczyka, a ten wstał, i na jego twarzy odmalował się lekki niepokój. Plisow miał nawet wrażenie, że tamten

jest niezadowolony-ze spotkania, ale potem okazało się, że Gierasim Ni-; kołajewicz po prostu się zdziwił. Jednocześnie Gierasim Nikołajewicz (był to bowiem on we własnej oso-bie) szepnął coś do swoich Francuzek, które znikły w mgnieniu oka.

Plisow oprzytomniał dopiero wówczas, kiedy Gierasim Nikołajewicz wyczałował go z dubeltówki. Wszystko natychmiast się wyjaśniło. Słuchając Gierasima Nikołajewicza Plisow wykrzykiwał tylko co chwila: „A bodaj to!” Bo istotnie były to cuda prawdziwe.

Gierasima Nikołajewicza przywieziono w Alpy w takim stanie, że profesor tylko pokiwał głową i powiedział: „Hm...” Rzecz jasna, położono Gierasima Nikołajewicza na werandzie, zastrzyknięto mu ów preparat, dano poduszkę tlenową. Stan chorego początkowo pogorszył się tak bardzo, że jak się potem wygadali przed Gierasimem Nikołajewiczem lekarze, sam Klie nie rokował już większych nadziei na dzień następny, serce bowiem odmówiło posłuszeństwa. Mimo to dzień następny upłynął pomyślnie. Powtórzono za-strzyki. Nazajutrz — dalsza poprawa. A potem — trudno wprost uwierzyć — Gierasim Nikołajewicz usiadł; na kozetce i powiedział: „A może bym tak wstał...” Nie tylko asystenci, ale nawet sam Klie oczy wybałuszył ze zdumienia. Słowem, po upływie jeszcze jedne-^ go dnia Gierasim Nikołajewicz chodził już po werandzie, twarz mu się zaróżowiła, zjawił się apetyt... te-; mperatura 36,8, puls normalny, bóle ustąpiły bez śladu.

Gierasim Nikołajewicz opowiadał, że przychodzili go oglądać mieszkańcy okolicznych wsi. Z dalekich miast przyjeżdżali lekarze. Klie

wygłosił referat naukowy grzmiąc na całą salę, że takie przypadki zdarzają się raz na tysiąc lat. Chciano zamieścić portret Gierasima Nikołajewicza w pismach naukowych, ale odmówił kategorycznie: „Nie lubię hałasu!”

A profesor Klie oświadczył jednocześnie, że Giera-sim Nikołaj ewicz nie ma już w Alpach nic do roboty, i wysłał go do Paryża, żeby sobie odpoczął po przeżytych wstrząsach. W ten sposób Gierasim Nikołaj ewicz znalazł się w Paryżu. A te Francuzki przy stoliku — wyjaśnił Gierasim Nikołaj ewicz — to były dwie początkujące paryskie lekarki, które zamierzają napisać o nim pracę naukową. Tak to było!

— Rzeczywiście, nadzwyczajne — zauważyłem — ale mimo wszystko nie rozumiem, jak się z tego wy-karaskał?

— Na tym właśnie polega cud — odparł Bombardow — okazało się, że już pod wpływem pierwszego zastrzyku sarkoma Gierasima Nikołajewicza zaczęła się wsysać i wessała się.

Klasnąłem w dłoń.

— Co też pan opowiada! — zawołałem. — Przecież to się nigdy nie zdarza.

— Zdarza się. Raz na tysiąc lat — uciął dyskusję Bombardow. — Niech pan poczeka, to jeszcze nie wszystko. Na jesieni Gierasim Nikołajewicz w nowym garniturze powrócił do Moskwy. Przytył, opalił się — po pobycie w Paryżu tamtejsi lekarze wysłali go jeszcze za ocean. Nasi wisieli na nim w bufecie jak winogrona, słuchając opowieści o oceanie, Paryżu, alpejskich lekarzach i tym podobnych rzeczach. Zaczął się normalny sezon teatralny. Gierasim Nikołajewicz grał, i to nawet całkiem niezłe, i tak się to ciągnęło do marca... A w marcu Gierasim Nikołajewicz przyszedł

pewnego razu na próbę *Lady Macbeth* o lasce. »Co się stało?" „Drobiazg. Coś mnie kłuje w krzyżu."

No cóż — pokłuje i przestanie. Ale nie przestało.

IIJEJ dalej, tym gorzej. Zaaplikowano mu

kwarcówki ~ nie pomaga. Bezsenna, nie może leżeć na plecach Chudnie w oczach. Pantopon. Nie pomaga! Wezwano, ma się rozumieć, lekarza. I niech pan sobie wyobrazi...

Bombardow zawiesił umiejętnie głos i zrobił takie! oczy, że ciarki przeszły mi po grzbiecie.

— I niech pan sobie wyobrazi... doktor obejrzał go opukał, pomacał... A Gierasim Nikołajewicz powiada; „Doktorze, niech się pan ze mną nie ceregieli, nie jestem baba, niejedno widziałem...

Mów pan śmiało — znowu to samo?" To samo!!!

— ryknął chrapliwie Bombardow i duszkiem osuszył kielich. — Sarkoma się odnowiła! Dała

przerzut w prawej nerce i za--częła pożerać Gierasima Nikołajewicza. Ogromna sensacja!

Próby diabli wzięli, Gierasima Nikołajewicza odesłano do domu. Tym razem poszło łatwiej.

Była jakaś nadzieja. Znow w ciągu trzech dni dosta paszport i bilet w Alpy, do profesora Klie. Ten

przy jął Gierasima Nikołajewicza jak rodzzonego brata. Pewno! Sarkoma Gierasima Nikołajewicza

zrobiła na całym świecie profesorowi olbrzymią reklamę. Znowu na werandę, znowu zastrzyki — i

historia się powtórzyła! Po dwudziestu czterech godzinach bóle ustąpiły! po dwóch dniach

Gierasim Nikołajewicz już chodził po werandzie, a po trzech — zapytał profesora: „Cza nie mógłbym

zagrać w tenisa?" Co się działo w klinice, tego nie da się opisać. Chorzy zaczęli walić do Klie

pociągami! Obok starego sanatorium, jak opowiadał Gierasim Nikołajewicz, zaczęto stawiać

nowe skrzydło. Klie, chociaż bardzo opanowany,

jak przystałoji na cudzoziemca, ucałował Gierasima Nikołajewicza; w oba policzki i wysłał go na zasłużony wypoczynek, ale tym razem do Nicei, potem do Paryża, a potem; na Sycylię.

Gierasim Nikołajewicz znowu przyjechał na jesieni — akurat wróciliśmy z występów gościnnych w Donbasie—rześki, odświeżony i zdrowy, tylko w innym garniturze: zeszłej jesieni miał czekoladowy, a tym razem w drobną kratkę. Przez trzy dni opowiadał o Sycylii i o tym, jak burzuje grają w ruletkę w Monte Carlo. Twierdził, że to ohydny widok. Znowu zaczął się sezon i znów na wiosnę identyczna historia, z tą tylko różnicą, że w innym miejscu. Recydywa pod lewym kolaniem.

Jeszcze raz — do Klie, potem — na Madere, potem na zakończenie — do Paryża.

Teraz jednak nikt się już za bardzo nie przejmował tym wybuchem sarkomy. Wszyscy zrozumieli, że profesor Klie wynalazł zbawienną kurację. Okazało się, że pod wpływem zastrzyków odporność sarkomy maleje z roku na rok i że Klie ma nadzieję, a nawet pewność, że za jakie trzy czy cztery sezony organizm Gierasima Nikołajewicza sam sobie poradzi z sarkomą, jeżeli ta spróbuje się odezwać. Istotnie, dwa lata temu nowotwór dał o sobie znać jedynie lekkimi bólami w zatoce Highmora i w Alpach natychmiast zniknął. Ale teraz Gierasim Nikołajewicz znajduje się pod nieustanną i ścisłą obserwacją. Ma bóle, czy ich nie ma, już w kwietniu wysyła się go za granicę.

— To cud! — powiedziałem i westchnąłem, sam nie wiem czemu.

Tymczasem nasza uczta, jak to się mówi, osiągnęła apogeum. Zakręciło nam się w głowach od „napare-uli”, rozmowa stała się bardziej ożywiona, a co najważniejsze, bardziej szczerza.

„Ciekawy z ciebie człowiek, złośliwy i spostrzegawczy — myślałem o Bom-bardowie — ogromnie mi się podobasz, ale jesteś też skryty i przebiegły, bo taki się stałeś w teatrze...”

— Niech pan nie będzie taki! — poprosiłem naraz mojego gościa. — Niech mi pan powie, przecież nie ukrywam, że jest mi ciężko... Czy moja sztuka jest. naprawdę taka zła?

— Pańska sztuka — powiedział Bombardow — , **jej** dobra. I kropka.

— Dlaczego więc doszło do tej dziwnej i przerażającej sceny w gabinecie? Czy sztuka im się nie podobała?

— Wręcz przeciwnie — stwierdził stanowczo Bom

się spodobała. Spodobała się nadzwyczajnie.

— Ale Hipolit Pawłowicz...!

— Najbardziej przypadła do gustu właśnie Hipo litowi Pawłowiczowi — spokojnie, ale dobitnie, akcentując każde słowo, powiedział Bombardow. Wydało mi się, że w jego oczach błysnęło współzucie.

— Oszaleć można... — wyszeptalem. — Nie trzeba szaleć. Po prostu nie wie pan, co t<\$ jest teatr. Są na świecie skomplikowane mcchani zmy, ale żaden z nich nie może się równać z te^j* trem.

— Niech pan mówi! Niech pan mówi! Słucham! zawołałem podpierając głowę rękami.

—r Sztuka tak się spodobała, że wywołała panikę -#f zaczął Bombardow — stąd te wszystkie nieprzyjemności. Kiedy zapoznał się z nią zespół, a wieść o tym ddjff szła do seniorów, natychmiast dokonali podziału ról. Na rolę Bachtina wyznaczono Hipolita Pawłowicza, a rolę Piętrowa

postanowiono powierzyć Walentyno' wi Konradowiczowi.

— Jakiemu Walentynowi... to ten, co...

— Tak... to on...

— Przepraszam bardzo! — już nie zawołałem, ale wrzasnąłem wniebogłosy. — Przecież...

— Owszem, owszem — potwierdził Bombardow, który widocznie chwycił w lot moje myśli. — Hipolit Iwanowicz liczy sobie sześćdziesiąt jeden lat, a Walenty Konradowicz sześćdziesiąt dwa... A ile lat ma najstarszy pański bohater, Bachtin?

— Dwadzieścia osiem!

— Otóż to właśnie. Nie wyobraża pan sobie, co się zaczęło dziać, kiedy rozesłano seniorom egzemplarze sztuki. Nic podobnego nie zdarzyło się w teatrze w ciągu pięćdziesięciu lat jego istnienia. Wszyscy seniorzy po prostu się obrazili.

— Na kogo? Na tego, eo obsadził rolę?

— Nie. Na autora.

Mogłem tylko zrobić wielkie oczy, co też uczyniłem, Bombardow zaś kontynuował:

— Na autora. Bo doprawdy — tak rozumowała starszyzna — my tu gramy, czekamy na rolę; my, seniorzy, pragnęlibyśmy pokazać całą sztukę w sztuce współczesnej... a tu masz babo placek! Zjawia się szary garniturek i przynosi sztukę, w której występują sami smarkacze! A więc to nie dla nas! Co on sobie myśli?! Dla kawału ją przyniósł? Najmłodszy z seniorów, Gierasim Nikołajewicz, ma pięćdziesiąt siedem lat!

— Ależ ja wcale nie żądam, żeby w mojej sztuce grali seniorzy! — wrzasnąłem. — Niech ją zagrają młodzi!

— Patrzcie, jaki mądry! — zawołał Bombardow przybierając demoniczny wyraz twarzy. — A więc niech Argunin, Galin, Jałagin, Błogoswietow i Szrien-kowski wychodzą przed kurtynę i kłaniają się publiczności. Bravo! Bis! Hura! Patrzcie, ludzie kochani, jak cudownie gramy! A seniorzy mają tymczasem siedzieć w kąci i uśmiechać się z zakłopotaniem: więc nie jesteśmy już potrzebni? Może czas nam już do domu starców? Ha-ha-ha! Sprytnie pomyslane!

, — Teraz rozumiem! — zawołałem starając się również nadać głosowi demoniczne brzmienie. — Teraz rozumiem!

— To jasne jak słońce! — uciał Bombardow. — Przecież Iwan Wasiliewicz powiedział panu, że narzeczoną trzeba przerobić na matkę. Wtedy mogłaby zagrać Margarita Pietrowna albo Nastasja Iwanowna... :

— Nastasja Iwanowna?!

— Widać, że nie jest pan człowiekiem teatru — odparł z szyderczym uśmiechem Bombardow nie wyjąc a-..; śniając wszakże, dlaczego ze mnie szydzi.

— Niech mi pan jeszcze powie — zapytałem wzburzony — kogo chciano obsadzić w roli Anny?

— Ma się rozumieć, Ludmiłę Sylwestrowną Prią^ chinę.

Ogarnęła mnie wściekłość.

— Co? Co takiego? Ludmiłę Sylwestrowną? — zerwałem się od stołu. — Żartuje pan!

■ -UW*

— A bo co? — z żartobliwym zaciekawieniem spytał Bombardow.

— He ona ma lat?

— Wybaczy pan, ale tego nikt nie wie.

— Anna ma dziewiętnaście lat!
Dziewiętnaście!! Rozumie pan? Ale nie o to nawet chodzi! Chodzi o to, że Priachina w ogóle nie potrafi grać!

— Nie potrafi zagrać Anny? - '■— Nie tylko Anny, ale w ogóle żadnej roli!

— Pan daruje!

— Nie, to pan daruje! Aktorka, która chciała za-3 demonstrować płacz osoby skrzywdzonej i uciśnionej, a zademonstrowała go tak, że kot dostał szału i podarł firankę, nie potrafi nic zagrać.

—■ Ten kot to idiota — stwierdził Bombardow rozkoszując się moją wściekłością ■— a poza tym ma otłuszczenie serca, nadciśnienie i neurastenię. Przesiaduje całymi dniami na posłaniu, ludzi wcale nie ogląda, nic dziwnego, że się wystraszył.

— Powiedzmy nawet, że ten kot to neurastenik — krzyknąłem — ale ma zdrowy instynkt i zna się na teatrze! Usłyszał fałsz! Rozumie pan. Ohydny fałsz! Doznał szoku! A w ogóle, co znaczy ta cała historia?

— To była sypka — wyjaśnił Bombardow.

— Co znaczy to słowo?

— „Sypką” nazywamy w naszej gwarze każde nieporozumienie na scenie. Kiedy, dajmy na to, aktor pomyli się w tekście albo kurtyna spadnie w nieodpowiedniej chwili, albo...

— Rozumiem, rozumiem...

— Vv^T danym wypadku sypnęły się dwie panie — Augusta Awdiejewna i Nastasja Iwanowna. Pierwsza wpuściła pana do Iwana Wasiliewicza nie uprzedzając o tym Nastasji Iwanowny. A druga przygotowała entrée Ludmiły Sylwestrowny nie sprawdzwszy uprzednio, czy Iwan Wasiliewicz jest sam w pokoju. Chociaż w gruncie rzeczy Augusta Awdiejewna mniej

zawiniła — Nastasja jeździła do sklepu po grzyby...

— Rozumiem, rozumiem — mówiłem starając się zmusić do satanicznego śmiechu — rozumiem doskonale! Otóż pańska Ludmiła Sylwestrowna nie powinna grać.

— Wybacz pan, ale moskwiczanie twierdzą, że niegdyś grała znakomicie...

— Pańscy moskwiczanie plotą głupstwa — krzyknąłem. — Niby to odgrywa rozpacz i ból, ale w oczach ma wściekłość. Robi taneczne pas i podśpiewuje: „Babie lato!”, ale w oczach ma niepokój! Niby to się śmieje, ale słuchacza ciarki przechodzą, jakby mu ktoś nalał wody mineralnej za kołnierz! To nie jest aktorka!

— Ejże! Od trzydziestu lat studiuje słynną teorię Iwana Wasiliewicza o wcielaniu się aktora w rolę.

— Nie znam tej teorii! Moim zdaniem teoria nic jej nie pomogła!

— Może pan powie, że Iwan Wasiliewicz też nie jest aktorem?

— Tego nie powiem nigdy! Kiedy pokazał, jak Ba-chtin przebija się sztyletem, oniemiałem z wrażenia: to były oczy trupa! Runął na kanapę i zobaczyłem człowieka, który odebrał sobie życie! Jeżeli można ocenić aktora na podstawie krótkiej sceny, a **chyba** można, tak jak wielkiego śpiewaka poznaje się pij: jednej frazie — to Iwan Wasiliewicz jest gwiazdą pierwszej wielkości! Ale w żaden sposób nie mogłem zrozumieć tego, co mówił o treści sztuki.

-- **IVIUWli** lja±UZ.U **llic** ±z.c:t_/y;

— A sztylet!

— Niechże pan zrozumie, że ledwie pan usiadł x\$ fotelu, Iwan Wasiliewicz przestał pana słuchać. Tak, tak. Zastanawiał się nad tym, jak rozdzielić role, **co** należy zrobić, żeby uplasować seniorów,

jak to wykreć cić, żeby mogli zagrać pańską sztukę bez ujmy dla siebie... A pan mu czyta o jakichś tam strzałach. Pracuję tu od dziesięciu lat i wiem ze słyszenia, że w nasz szym teatrze oddano tylko jeden jedyny strzał, zresztą nader niefortunnie. W sztuce tego, jak mu tam... -zaA pomniałem... znany autor... mniejsza o to... słowem, dwaj nerwowi bohaterowie tak długo się wyklócali o spadek, aż wreszcie jeden strzelił do drugiego, ale spudłował... Dopóki odbywały się zwykle próby, inspi-cjent markował strzał klaszcząc w dłonie; a na próbie generalnej strzelił za kulisami naprawdę. Oczywiście, Nastasja Iwanowna zemdlą — nigdy w życiu nie słyszała strzału — a Ludmiła Sylwestrowna dostała hysterii. Od tego czasu w teatrze przestano strzelać. W sztuce wprowadzono zmiany — bohater nie strze-' lał, lecz zamachiwał się polewaczką i krzyczał: „Zabiję cię, ty łotrze!” — i tupał nogami, na czym sztuka, zdaniem Iwana Wasiliewicza, tylko zyskała. Autor obraził się śmiertelnie na teatr i przez trzy lata nie rozmawiał z dyrektorem, ale Iwan Wasiliewicz był twar-' dy jak skała.

Piliśmy wciąż wino, a wraz z upływem tej pijanej nocy porywczosć moja zaczęła słabnąć — nie oponowałem już wrzaskliwie Bombardowowi, lecz raczej

zadawałem pytania. Paliło nas w ustach po słonym kawiorze i łososiu, gasiliśmy pragnienie herbatą. Białe jak mleko dym wypełnił pokój, przez otwarty lufcik wpadała struga mroźnego powietrza, nie orzeźwiała jednak, lecz tylko chłodziła.

— Niechże mi pan powie, na litość boską — prosiłem stłumionym, słabym głosem — jeżeli sztuki u nich się nie obsadza, czemu nie chcą,

żebym ją oddał do innego teatru? Po co im jest potrzebna? Po co?

— Też mi pytanie! Jak to po co? Więc naszemu teatrowi ma zależeć na tym, żeby mu pod bokiem wystawiono nową sztukę, która w dodatku może liczyć na powodzenie? Z jakiej facji? Przecież sam pan napisał w umowie, że nie odda sztuki do innego teatru?

Tu przed oczami zaczęły mi tańczyć ognisto-zielone napisy „autor nie ma prawa”, jakieś dziwne zwroty w rodzaju „z tytułu” i złośliwe figurki paragrafów. Przypomniał mi się od razu skórzany gabinet i miałem wrażenie, że czuję zapach perfum.

— A niech go wszyscy diabli!

— Niby kogo?

— Gawriiła Stiepanowicza!

— To orzeł! — krzyknął Bombardow błyskając zaczerwienionymi oczami.

— A taki cichutki, i stale rozprawia o duszy!

— Nonsens, brednie, urojenia, -brak spostrzegawczości! — wykrzykiwał Bombardow. Jego oczy płonęły, dymił papierosem, dym buchał mu z nozdrzy. — Orzeł, kondor! Siedzi na skale i widzi wszystko w promieniu czterdziestu kilometrów. Niech no się tylko pokaże jakiś ruchomy punkcik, natychmiast wzbija się w górę i nagle spada jak kamień! Żłosny krzyk, rżenie... a on już znowu szybuje w przestworzach ze zdobyczą w szponach!

— Ależ z pana poeta, niech pana kule biją! — skrzeczałem chrypliwie.

— A pan — z lekkim uśmiechem szepnął Bombardow — jest złośliwcem! Oj, Siergieju Leontjewicz-czekają pana ciężkie chwile, przepowiadam to pan"

Zabolały mnie te słowa. Sądziłem, że wcale ni jestem złośliwy, ale naraz przypomniałem sobie, f mówił Likospastow o moim wilczym uśmiechu.

— To znaczy - powiedziałem ziewając — że moj sztuka nie pójdzie? To znaczy, że nie ma już najmniej szej nadziei?

Bombardow spojrział na mnie przenikliwie i z nie*} oczekiwaną serdecznością w głosie powiedział:

— Niech pan się przygotuje na najgorsze. Nie bej dę pana ludzi. Sztuka nie pójdzie. Chyba że starii^ się cud...

Za oknem wstawał jesienny, wstrętny, mglisty świt Ale mimo że na stole poniewierały się obrzydliw resztki jedzenia, a na spodeczkach piętrzyły się stos" niedopałków, ja wśród całej tej ohydy, niesiony jaką — ostatnią zapewne — falą, zacząłem wygłaszać mo; nolog o złotym koniu.

Chciałem opowiedzieć mojemu rozmówcy, jak poł skują iskiery na złotym grzbiecie konia, jak scen' zionie chłodem i własnym niepowtarzalnym zapachem jak przebiega śmiech po sali... Ale nie o to mi ch,,^ dziło. Stłukłem w zapamiętaniu talerzyk starając Si za wszelką cenę przekonać Bombardowa, że skoro tylko ujrzałem konia, zrozumiałem od razu, co to jest scena, i posiadałem jej najskrytsze tajemnice. Ze już od niepamiętnych czasów, może od dzieciństwa, a może jeszcze przed urodzeniem tęskniłem do niej w nieokreślonych marzeniach. I oto przyszedłem!

— Jestem kimś nowym — krzyczałem — nowym! Przyszedłem! To było nieuniknione!

Jakieś koła zawirowały w moim rozgorączkowanym mózgu, nie wiadomo skąd wyskakiwała Ludmiła Syl-westrowna i wyła machając koronkową chusteczką.

— Ona jest do niczego!, — chrypiałem ze wściekłą nienawiścią.

— Ależ proszę pana... Nie wolno tak...

— Niech pan nie próbuje przeczyć — napominałem go surowo — pan się już do niej przyzwyczał, a ja jestem nowy, mam ostre, świeże spojrzenie! Ja ją widzę na wylot.;

— ■ Jednakże...

— I żadna te... teoria nic tu nie pomoże! A na przykład ten mały z zadartym nosem, co gra urzędnika, ma chrypkę i za delikatne ręce, ale. po co mu teoria... i ten, co gra mordercę w czarnych rękawiczkach... jemu także teoria nie jest potrzebna!

— Argunin... — dobiegł mnie stłumiony głos spoza dymnej zasłony.

— W ogóle nie ma żadnych teorii! — wołałem wpadając już ostatecznie w zadufanie i zacząłem nawet zgrzytać zębami, gdy wtem dostrzegłem, że na mojej szarej marynarce mam wielką tłustą plamę z przylepionym plasterkiem cebuli. Rozejrzałem się strapiiony. Noc znikła bez śladu. Bombardow zgasił lampę, z niebieskawego półmroku zaczęły się wylaniać przedmioty w całość swojej ohydzie.

Noc została pożarta, noc odeszła.

EOZDZIAŁ XIV

Zagadkowi cudotwórcy

Zdumiewający jest mechanizm pamięci ludzkiej. Zdawałoby się, że jakaś rzecz stała się niedawno, a już nie sposób odtworzyć wydarzeń w ich harmonijnej kolejności. W łańcuchu brak ogniwi. Człowiek Przypomina sobie jakiś szczegół, widzi go w pełnym blasku, reszta zaś już się

rozkruszyła, rozpadła, a w głowie została jakaś
sieczka, jakaś mżawka. Tak, sie

czka w samej rzeczy. A mżawka? Mżawka? No bo miesiąc, który nastąpił po owej pijanej nocy, to był listopad. No i, rozumie się, padał deszcz na przemian z mokrym śniegiem. No, a Moskwę państwo chyba znają? Nie ma sensu zatem jej opisywać. Bardzo jest nieprzyjemnie w listopadzie na moskiewskich ulicach. W urzędach też jest bardzo nieprzyjemnie. Ale to tal jeszcze było pół biedy. Najgorsza rzecz, kiedy w dofrł mu jest nieprzyjemnie. Powiedzcie mi, proszę, jak się wywabia plamy z ubrania? Próbowałem tak i owak, na wszystkie sposoby. Ciekawe — świetne wyniki! osiąga się na przykład przy użyciu benzyny — plama rozplywa się i znika. Człowiek jest szczęśliwy, albowiem nic nas tak nie dręczy jak plama na ubraniu. Takie to niechlujne, brzydkie, denerwujące. Człowiek wiesza marynarkę na gwoździu, nazajutrz wstaje, a tu plama siedzi na dawnym miejscu i na dobitkę ża\$
'datując od niej benzyną. Próbujemy wywabić plamę) wrzątkiem, esencją herbacianą, wodą kolońską ■ — z tym samym skutkiem. Co za czarna magia! Człó- wiek zaczyna się wściekać, szarpać, ale nic nie może wskórać. Widocznie ten, kto zrobił plamę na ubraniu; musi z nią chodźć dopóty, dopóki garnitur nie rozpa-; dnie się na strzepy i nie pójdzie do śmietnika. Teraz; jest mi to już obojętne, ale życzę innym ludziom, żeby robili jak najmniej plam.

Tak więc wywabiałem plamę, ale jej nie wywabi-; łem, potem, o ile pamiętam, pękały mi sznurowadła; u butów, dokuczał mi kaszel, chodźćem co dzień dej' „Wiadomości Żeglugi Śródlądowej”, narzekałem na wilgoć i bezsenność i czytałem — byle co i byle jak. Tak się złożyło, że zostałem zupełnie sam. Likospa-stow wyjechał z jakichś powodów na Kaukaz, mój przyjaciel, któremu ukradłem rewolwer, został przeniesiony

do Leningradu, a Bombardow zachorował na zapalenie nerek i poszedł do szpitala. Odwiedzałem

go co pewien czas, ale rzecz jasna, trudno było wyciągać go na rozmowy o teatrze.

Poza tym Bombardow zdawał sobie sprawę, że teraz, po historii z *Czarnym śniegiem*, tego tematu dotykać w rozmowie nie wolno, nerek zaś wolno, ponieważ wszelkie słowa pociechy są tu na miejscu. Dla-

• ... X~-V
v.nr tvv>nTiti_nliotvtTT ' « n «'U
TTTnrArni'rtriliéTviTr
I&U X Wirlia W
XCtAX01.XJ.jf
KJ XXt,X
J.1.CŁ^J.i,
W
OWXJ.IXiXCtl
Xùliiy

nawet żartobliwie o profesorze Klie, ale w sumie nastrój był nie najlepszy. Ilekroć zresztą widywałem się z Bombardowem, powracałem myślą do teatru, ale znajdowałem w sobie dość siły woli, żeby o nic Bombardowa nie pytać. Dałem sobie słowo, że w ogóle nie będę myśleć o teatrze, ale było to niedorzeczne postanowienie. Nie można nikomu zabronić myśleć. Można jednak zabronić zadawania pytań o teatrze, i tego sobie właśnie zabroniłem.

Teatr zaś jak gdyby umarł i nie dawał znaku życia. „Nie dochodziły mnie stamtąd żadne wieści. Od ludzi, powtarzam, odsunąłem się. Odwiedzałem antykwariaty, całymi godzinami w półmroku siadywałem w kucki, wertując zakurzone czasopisma, a raz, pamiętam, natrafiłem na przepiękny obrazek przedstawiający Łuk Triumfalny.

Tymczasem deszcze ustały i całkiem niespodziewanie uderzył mróz. Okno w mojej mansardzie pokryło się wzorzystym szronem. Siedząc przy oknie, chuchając na dwudziestokopiejkową monetę i odbijając ją na zamrożonej szybie, zrozumiałem nagle, że pisanie sztuk, których się potem nie wystawia, jest niepodobieństwem, i

A jednak spod podłogi dobiegała wieczorami melodia walca, wciąż tego samego (widocznie ktoś uczył się go na pamięć), i walc ożywiały obrazki w pudełku — dziwaczne i rzadko spotykane. Zdawało mi się na przykład, że na dole mieści się palarnia opium i już zaczynało mi majaczyć coś, co nonszalancko nazywałem w myśli „trzecim aktem”, a mianowicie — nielbieskawy dym, kobieta o asymetrycznej twarzy, ja? kiś elegant we fraku, odurzony dymem, i skradającej się ku niemu mężczyzna o cytrynowej twarzy i skop śnych oczach, z ostrym nożem fińskim w ręku. Ci noża, potoki krwi. Sami państwo widzą ■ — majail czeniai rszdury! Dokąd można zanieść sztukę z trzecim aktem?

Nie zapisywałem zresztą tych fantazji. Oczywiścieft powstaje pytanie, i ja pierwszy je sobie zadaje: dla|| czego człowiek, który po doznanym niepowodzeniif zaszył się w mansardzie, na dobitkę melancholilf (wiem o tym doskonale, proszę **mi** wierzyć), nie usa łował po raz drugi targnąć się na własne życie? ', **m**

Odpowiem szczerze: pierwsza próba wzbudziła w|§ mnie jakąś odrazę do owego aktu przemocy. Tyłf jeżeli chodzi o przyczyny subiektywne.

Prawdziwi' przyczyna kryła się jednak gdzie indziej. Wszystko ma swój czas. Nie będę się zresztą rozwodził na tēif temat.

Co się zaś tyczy świata zewnętrznego, to nie sposób odgrodzić się od niego całkowicie. Dawał mi znać;

o swym istnieniu, ponieważ w okresie, kiedy dostawa-p

lem od Gawriiła Stiepanowicza to pięćdziesiąt, to stół

rubli, zaprenumerowałem trzy pisma teatralne i „Moł

skwę Wieczorną".

Pisma nadchodziły mniej lub bardziej regularnie.' Przeglądając rubrykę *Nowiny teatralne* raz po raz; trafiałem na wiadomości o moich znajomych.

A więc 15 grudnia przeczytałem: „Znany pisarz; Izmał Aleksandrowicz Bondariewski pracuje usilnie) nad sztuką *Noże Montmartre'u*. Autor zamierza podobno wystawić swoją sztukę w Starym Teatrze".¹

17 grudnia otworzyłem gazetę i rzuciła ni w oczy następująca wiadomość: „Znany pisarz JegcT; Agapienow pracuje usilnie nad komedią *Szwagier*;

którą zamówił u autora Teatr Kohorty Jednomyślnych".

Dwudziestego drugiego była notatka: „Dramaturg Klinker w rozmowie z naszym współpracownikiem podał do wiadomości, że pisze sztukę, którą ma zamiar powierzyć Teatrowi Niezależnemu. Albert Al-bertowicz oświadczył, że jego sztuka będzie zakrojona na szeroką skalę panoramą wojny domowej pod Ka-simowem. Sztuka nosi tymczasowy tytuł *Szturm*".

Dalsze nowiny posypały się jak z rogu obfitości: 21, 24 i 26 na trzeciej stronie w gazecie widniał zamazany portret młodego mężczyzny o niezwykle posępnej twarzy, który wyglądał, jakby miał zamiar wziąć kogoś na rogi, oraz notatka; z której wynikało, że jest to I.S. Trok. Dramat. Kończy właśnie trzeci akt.

Onisim Żwenko. Anbakomow. Cztery, pięć aktów.

Drugiego stycznia poczułem się dotknięty.

Wiadomość brzmiała: „Doradca literacki-M. Panin zwołał w Teatrze Niezależnym naradę grupy dramaturgów. Temat narady — napisanie sztuki współczesnej dla Teatru Niezależnego”.

Notatka nosiła tytuł: „Już czas, już wielki czas!” — i zawierała wyrazy ubolewania i zarzuty pod adresem Teatru Niezależnego, który w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych teatrów nie wystawił dotychczas ani jednej sztuki współczesnej, odzwierciedlającej naszą epokę. „A tymczasem — pisała gazeta — właśnie Teatr Niezależny jak żaden inny jest w stanie godnie zaprezentować sztukę współczesnego dramaturga, zwłaszcza jeżeli prezentacji tej dokonają mistrzowie tej miary co Iwan Wasiliewicz i Ary-starch Płatonowicz”.

Dalej następowały słuszne wyrzuty pod adresem dramaturgów, którzy dotychczas nie zdołali stworzyć sztuki godnej Teatru Niezależnego.

Wpadłem w nawyk rozmawiania ze sobą na głos)

— Przepraszam bardzo — mruczałem wydymając wargi z obrażoną miną — jak to: nikt nie napisał sztuki? A most? A harmonia? Krew na udeptanym śniegu?

Zamieć pogwizdywała za oknem, a mnie się zdawało, że w tej zamieci stoi przekłęty most, że ktoś gra na harmonii i że słyhać suche strzały.

Herbata stygła w szklance, z gazety spoglądała nr mnie twarz z bokobrodami. Poniżej wydrukowany, był telegram, który Arystarch Platonowicz przesłał uczestnikom narady: „Ciałem w Kalkucie, sercem z wami”.

— Patrzcie no, tam życie wre, kotłuje się i huczy jak na zaporze wodnej — szeptałem ziewając — a ja tu jakby żywcem pogrzebany...

Noc minie, minie dzień jutrzejszy, miną wszystkiej dni, ile ich tam jest człowiekowi sądzone, i nie zostanie nic prócz niepowodzenia.

Kulejąc i masując chore kolano kuśtykałem do kanapy, zdejmowałem marynarkę, kuliłem się z zimna i nakręcałem zegarek.

Tak minęło wiele nocy, pamiętam je, ale jakoś ogólnie — było bardzo zimno. Dni natomiast jakby

coś splukało z pamięci — nic sobie nie mogę przy-

pomnieć,

i

I

Tak było do końca stycznia, kiedy to w nocy z dwudziestego na dwudziesty pierwszy miałem sen, który zapamiętałem ze wszystkimi szczegółami.

Ogromna sala w pałacu, a ja idę przez tę salę. W świecznikach palą się i kopcą świece — ciężkie, tłuste, złociste. Jestem w dziwnym stroju, nogi obciąża mi jakiś trykot — słowem, znajduję się nie w naszym stuleciu, lecz w piętnastym. Kroczę przez salę, za pasem mam sztylet. Cały urok snu nie tkwi w tym, że jestem ponad wszelką wątpliwość władcą pałacu, lecz w posiadaniu sztyletu, którego wyraźnie boją się dworzanie stojący przy drzwiach. Nawet wino nie zdoła odurzyć tak jak ten sztylet. Uśmiechnięty — nie, śmiejąc się we śnie — idę bezszelestnie ku drzwiom.

Sen był tak uroczy, że jeszcze przez chwilę po obudzeniu śmiałem się radośnie.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi. Owijając się kocem, szurając podartymi pantoflami wstałem, żeby otworzyć. W szparze ukazała się ręka sąsiadki, która 'podała mi kopertę. Lśniły na niej złote litery „T. N.”

Otworzyłem kopertę, tę właśnie, która teraz, rozzerwana ukośnie, leży przede mną (zabiorę ją ze sobą!). W kopercie znajdowała się kartka papieru również ze złoconymi gotyckimi inicjałami, na której ręka Fomy Striża skreśliła grubymi, dużymi literami:

Drogi Sergieju Leontjewiczu!

Natychmiast do teatru! Jutro o 12 w południe zaczynam próby *Czarnego śniegu*.

Szczerze oddany Foma
Striż

Usiadłem z głupim uśmiechem na kanapie, wpatrując się nieprzytomnie w kartkę i myśląc o sztylcie, a potem prześliznąłem się wzrokiem po swoich odsłoniętych kolanach i nie wiedząc czemu pomyślałem o Ludmile Sylwestrownie.

Tymczasem ktoś wesoło i władczo pukał do drzwi.

— Tak — powiedziałem.

Do pokoju wszedł Bombardow. Cerę miał bladą, żółtawą i wydawał się wyższy niż przed chorobą. Powiedział głosem również przez chorobę zmienionym:

— Już pan wie? Umyślnie do pana wstąpiłem.

Stałem przed nim w całej swojej nagości i ubós-

twie, wlokąc za sobą po podłodze stary koc, pocałowałem go upuszczając przy tym kartkę.

— Jak się to mogło stać? — zapytałem schyliła się nad podłogą.

— Tego nawet ja nie rozumiem — odparł mój drogi gość — nikt tego nie rozumie i nikt się nigdy ni; dowie. Sądzę, że to zrobił Panin i Striż. Ale jak teg

dokona Bóg raczy wiedzieć. Albowiem
li jest

osiągnięcie ponad siły ludzkie. Słowem — to cud.

C z ę ś ć II

ROZDZIAŁ XV

Kabel elektryczny, osłonięty płóciennym pokrowcem, ciągnął się przez cały parter niczym cienka szara żmija, pełzająca w niewiadomym kierunku. Dostarczał prądu maleńkiej lampce na stoliku stojącym w środkowym przejściu parteru. Lampka dawała akurat tyle światła, żeby oświetlić kartkę papieru i kałamarz. Na kartce narysowana była jakaś gęba z zadartym nosem, obok gęby leżała jeszcze świeża skórka pomarańczowa oraz stała popielniczka pełna niedopałków. Karafka z wodą, znajdująca się poza świetlistym kręgiem, rzucała przyćmione blaski.

Parter tak głęboko zapadł się w mroku, że ludzie wchodząc tu z oświetlonych pomieszczeń musieli stawiać pierwsze kroki po omacku, trzymając się za o-parcia foteli, zanim oko nie przyzwyczyliło się do ciemności.

Scena była otwarta i lekko oświetlona z górnej rampy. Na scenie stała jakaś ścianka, odwrócona do widowni tylną stroną, na której było napisane: „Wilki i owce 2”. Stał też fotel, biurko i dwa taborety. W fotelu siedział robotnik w koszuli rosyjskiej, zapinanej z boku, a na jednym z taboretów — młodzieniec w marynarce i spodniach, ale przepasany pasem wojskowym, przy którym na rapciach wisiała szabla.

Na sali brakowało powietrza, za oknem dawno już był maj.

Była to przerwa podczas próby; aktorzy poszli śniadanie do bufetu, a ja zostałem na sali. Wydarzenia ostatnich miesięcy dały mi się we znaki, czułem się, jakby mnie ktoś pobił, stale miałem ochotę usiąść i siedzieć długo i bez ruchu. Ten stan zresztą pomagał się często w wybuchy nerwowej energii, chciał to mi się wtedy chodzić, wyjaśniać, przemawiać. Wtedy — skutować. Obecnie znajdowałem się w owym pierwszym stanie. Pod kloszem lampki kłębił się gęsty dym; prąd powietrza wsysał go pod klosz, skąd wzbijał się kłędyś w górę.

Myśli moje krążyły wokół jednego tylko tematu wokół mojej sztuki. Od dnia, w którym dostałem ów rozstrzygający list, życie moje zmieniło się nie do poznania. Poczułem się, jakbym po raz drugi przyszedł na świat, jakby mój pokój zmienił wygląd, chociaż był to ciągle ten sam pokój, jakby nawet otaczający mnie ludzie stali się inni, jakby ja sam zdobył raptem w Moskwie prawo do istnienia a moja osoba nabrała sensu i znaczenia.

Ale myśli były zaprzątnięte tylko jednym — sztuką. Zajmowała mi cały czas, nawet sny, ponieważ śniło mi się, że już ją grają w jakichś nadzwyczajnych de koracjach, to znów, że ją zdjęto z repertuaru; śniło mi się, że zrobiła klapę, to znów, że ma ogromne powodzenie. W tym ostatnim przypadku, o ile pamiętam, grano ją na

pochyłych rusztowaniach, na których aktorzy, ustawieni jak tynkarze, grali z latarniami w rękę, co chwila intonując pieśni. Autor nie wiadomo dlaczego znajdował się tam również, spacerowa: po wątych poprzeczkach z taką swobodą jak mucha po ścianie, a w dole widać było lipy i jabłonie, ponieważ przedstawienie odbywało się w ogrodzie wypełnionym rozentuzjasmowaną publicznością.

W pierwszym przypadku najczęściej śnił mi się następujący wariant: autor, udając się na próbę generalną, zapomniał włożyć spodni. Pierwsze kroki na ulicy stawiał niezmiernie zmieszany, żywiąc nadzieję, że uda mu się przemknąć niepostrzeżenie, przygotowywał nawet dla przechodniów jakieś usprawiedliwienie: coś o kąpeli, z której wyszedł przed chwilą, i że niby spodnie ma za kulisami. Im dalej, tym gorzej — biedny autor przywierał do chodnika, szukał gazeciarza, ale nie mógł go znaleźć, chciał kupić palto, ale nie miał przy sobie pieniędzy, chował się wreszcie do bramy, uświadamiając sobie, że na próbę generalną już się spóźni...

— Wania! — dolatywał przyciszony okrzyk ze sceny. — Daj żółte!

W ostatniej łoży drugiego balkonu, znajdującej się przy samym portalu sceny, coś się zapalało, z łoży ukośnie padał snop światła; na podłodze również zapalała się okrągła plama, która rozpełzała się, zagarniając to fotel z wytartym obiciem i obdrapaną poźłotą na poręczach, to rozczochranego rekwizytora z drewnianym kandelabrem w rękę.

W miarę jak przerwa zbliżała się ku końcowi, na scenie robił się coraz większy ruch. Zawieszono wysoko płachty, zwisające w niezliczonych rzędach pod niebem sceny, nagle ożywały. Jedna z nich wjeżdżała do góry, odsłaniając szereg tysiąćświecowych lamp, które

ostro raziły oczy. Inna znów płachta na odwrót — z niewiadomych powodów zjeżdżała raptem w dół, ale nie docierając do podłogi znikiała. W kulisach zjawiały się czarne cienie, żółty promień oddalał się, wessany na powrót przez łożę. Gdzieś w pobliżu stukały młotki. Zjawiał się mężczyzna w cywilnych spodniach, ale w ostrogach, i brzęcząc nimi przechodził przez scenę. Potem ktoś inny, pochylony nad Podłogą, krzyczał przykładając do ust dłoń zwiniętą **W** trąbkę:

„. — .Gnobiri! Ruszaj!

Po tych słowach wszystko na scenie niemal bez-ij szelestnie odjeżdżało 'w bok. Oto odjechał rekwizy-tof ze swoim kandelabrem, a za nim podążył foteli i stół; Ktoś wbiegł w niewłaściwym kierunku na obrak cający się krąg, zatańczył w miejscu, odzyskał równp|: wagę i te* odjechał. Wiik zaczynał narastać. Zajmu" jąc miejsce poprzedniej dekoracji ukazywała się dziwna i skomplikowana konstrukcja składająca się z nie malowanych spadzistych schodków, belek poprzecznych i pomostów. „Most jedzie" — stwierdzałem odczuwając wzruszenie za każdym razem, kiedy zjawiał się na scenie.

— Gnobin! Stop! — krzyczano na scenie. — Gno-^ pin, daj do tyłu!

Most zatrzymywał się. Następnie uderzając z góry; snopem światła w zmęczone, oczy, odsłaniały się brzuchate lampy, znowu znikwały, po czym z góry opada-³ ła poplamiona farbą płachta i zastygała po przekątnej. „Budka strażnika..." — myślałem, gubiąc się w geometrii sceny, denerwując się i usiłując wyobrazić sobie, jak to wszystko będzie wyglądać, kiedy zamiast prowizorki skleconej z byle jakich zestawów z poprzednich sztuk, zbuduje się nareszcie prawdziwy most. W kulisach zapalały się ślepiea reflektorów:, przypominających lupy z daszkami,

gorąca fala światła zalewała od dołu scenę. „Dał rampę...”

Wyteżając wzrok w ciemnościach, obserwowałem^ bacznie figurkę, która stanowczym krokiem zbliżała się do stołu reżyserskiego.

„Oho, idzie Romanus, zaraz coś się stanie...” — ■ myślałem zasłaniając dłonią oczy przed światłem.

I rzeczywiście, po chwili dostrzegłem nad sobą ioz-d woj ona bródkę, a w półmroku lśniły oczy dyrygenta Romanusa. W klapie jego marynarki połyskiwała odznaka pamiątkowa z literami „T.N.”

— *Se non é vero é ben trovato* lub jeszcze lepiej — któż to wie?! — zaczynał jak zwykle, Roma-nus, a jego oczy obracały się i płonęły niczym wilcze ślepie. Romanus szukał ofiary i nie znajdując jej siadał przy mnie.

— Jak to się panu podoba? Co? — pytał mnie Romanus przymrużając oczy.

„Oj, niedobrze, trudno się będzie wykręcić od rozmowy!...” — myślałem wijąc się pod lampą jak pis-

;
;kcrz«' ; , ii ' i'' p ',;:! ■ ■ '<:' i ! ■ '
' J "■■■■■■: PpP;

— Bardzo pana proszę, niech pan się wypowie w tej sprawie — świdrując: mnie wzrokiem pytał dalej Romanus. — Pańskie stanowisko ciekawi mnie szczególnie, ponieważ jako pisarz nie może pan pozostać obojętny wobec tych skandalicznych historii, które dzieją się w naszym teatrze.

„Sprytnie się zabiera do rzeczy...” — przyznawałem w duchu, ale czułem zarazem taką niechęć do rozmowy, że skóra mi cierpła.

— Uderzyć koncertmistrza, a do tego kobietę, puzonem w plecy? — pytał zapalczywie Romanus. — No, nie! Tego już za wiele! Od

trzydziestu lat jestem na scenie, ale czegoś podobnego nie widziałem. Ten Striż myśli sobie, że muzycy to świnie, z którymi można sobie na wszystko pozwalać. Ciekawe, jak się pan na to zapatruje z punktu widzenia pisarza?

Nie mogłem już dłużej wykręcać się sianem.

— A co się stało?

Romanus tylko na to czekał. Starając się, żeby go usłyszeli robotnicy, którzy zaciekawieni zebrali się przed rampą, tubalnym głosem zaczynał opowiadać, jak to Striż wepchnął muzyków do kieszeni w kulisach, gdzie w ogóle nie można grać, a to z następujących powodów: po pierwsze, za ciasno, po drugie, za ciemno, po trzecie, na sali nic nie słyhać, i po czwarte, nie ma miejsca dla dyrygenta, muzycy go nie widzą.

— Są co prawda ludzie — oświadczał donośnie Romanus — którzy tyle się znają na muzyce, co pewne ptaki domowe...

„A niech cię wszyscy diabli!” — irytowałem się. ||

— . .na pewnych przygotowach!

Wysiłki Romanusa wieńczyło zwykle powodzenie!; w budce elektryka rozlegał się chichot, a potem wysuwała się stamtąd głowa.

— Tacy ludzie co prawda nie powinni parać się reżyserią, ale sprzedawać kwas na Cmentarzu Nowo-diewiczym... — tokował Romanus.

Znowu chichot.

Dalej okazywało się, że skandaliczne postępowanie Striża dało już oplakane wyniki. Puzonista w ciemnościach wyróżnął puzonem w plecy koncertmistrza Annę Onuf riewnę Dieżnę tak mocno, że dopiero rentgen odpowie na pytanie, jakie będą tego skutki.

Romanus dodawał, że zwykle łamie się żebra nie' w teatrze, lecz w szynku, gdzie nota bene pewni oso-i bnicy zdobywają swoje wykształcenie artystyczne.

Nad budką widać było głowę majstra, który pękał ze śmiechu.

Romanus perorował, że winowajcom nie ujdzie to na sucho. Nauczył już Annę Onufriewnę, co należy! robić. Dzięki Bogu, przypominał Romanus, żyjemy: w państwie radzieckim, które nie pozwoli, żeby łamać żebra członkom związków zawodowych. Doradził Annie Onufriewnie, żeby złożyła skargę do rady zakładowej.

— Widzę co prawda z pańskiej miny — kontynuował Romanus chwytając mnie za ramię i starając się utrzymać mnie w kręgu światła pod lampą — że nie jest pan zupełnie pewien, czy nasz wspaniały przewodniczący rady zakładowej zna się na muzyce równie dobrze jak Rimski-Korsakow albo Schubert! „Co za typ!” — myślałem sobie.

— Pan daruje... — próbowałem zaprotestować siląc się na surowy ton.

— No, no, bądźmy szczerzy! — wykrzykiwał Romanus ściskając mi rękę — pan jest pisarzem! Wie

: pan doskonale, że Mitia Małokroszeczny, choćby nawet sto razy, był przewodniczącym, nigdy nie odróżni:

oboju od kontrabasu ani fugi Bacha od fokstrota *Hdl-leluiah.*

Po czym Romanus wyrażał zadowolenie, że najbliższy przyjaciel... i kompan do wypitki!...

Do tenorowego chichotu w budce montera przyłączył się schrypnięty bas. Nad budką teraz już dwie głowy nie posiadały się z radości.

...Anton Kołozyn wspiera Małokroszecznego swoim doświadczeniem w dziedzinie sztuki. Przychodzi mu to z łatwością, ponieważ nirn zaczął pracować w teatrze, służył w straży pożarnej, gdzie grał na trąbie. On, Romanus,

ręczy, że gdyby nie Anton nie jeden reżyser pomyliłby nieraz uwerturę do Rusłana i Ludmiły z najzwyczajszym *Wiecznym Odpoczywaniem...*

„Ten człowiek jest niebezpieczny — myślałem, spoglądając na Romanusa — naprawdę niebezpieczny. Nie ma na niego sposobu!”

„Gdyby nie Kołoszyn, jest rzeczą możliwą, że w teatrze wieszano by muzyków za nogi na rampie, bo przecież Iwan Wasiliewicz prawie nie bywa w teatrze, niemniej jednak teatr będzie musiał zapłacić Annie Onufriewnie za zmiążdżone żebra. Romanus poradził jej zresztą, żeby poszła też do związku zawodowego i spytała, co tam myślą o takich wyczynach, o których doprawdy można powiedzieć „*Se non è vero, è ben trovato*” lub jeszcze lepiej — któż to wie?!”

Z tyłu rozległy się przytłumione kroki — nadchodzący dził ratunek.

Przy stoliku stanął Andriej Andriejewicz, główny inspicjent *Czarnego śniegu*. Był to korpulentny, masywny blondyn w wieku lat czterdziestu, o bystrych, mądrych oczach, który doskonale opanował swój zawód. A był to zawód trudny. Tego majowego dnia Andriejewicz miał na sobie zamiast zwykłego ciemnego garnituru i brązowych półbutów granatową satynową koszulę i żółte płócienne sandały. Podeszedł do stolika trzymając nieodłączną teczkę pod pachą.

Oko Romanusa rozjarzyło się jeszcze bardziej i Andriej Andriejewicz nie zdążył nawet położyć teczki pod lampą, kiedy wybuchł skandal.

Skandal zaczął się od zdania Romanusa:

— Protestuję kategorycznie przeciwko przemocy, której ofiarą padają muzycy, i żądam, aby wszystko, co tu się dzieje, umieścić w protokole prób!

— Jakiej przemocy? — zapytał oficjalnym tonem Andriejewicz unosząc lekko brew.

— Skoro teatr wystawia sztuki, które przypominają raczej operę... — zaczął Romanus, ale zorientował się, że autor siedzi w pobliżu, kontynuował więc ukłękając: dając twarz skierowaną do mnie uśmiech: — co zresztą jest bardzo słuszne! Albowiem nasz autor docenia rolę muzyki w dramacie! Wobec czego proszę o przydzielenie orkiestrze miejsca, gdzie mogłaby grać!

— Orkiestrze przydzielono miejsce w kieszeni —3 powiedział Andriej Andriejewicz otwierając teczkę z miną człowieka, który ma coś niesłychanie pilnego do załatwienia.

— W kieszeni? A może w budce suflera? Albo w rekwizytorni?

— Sam pan powiedział, że w kanale nie można grać.

— W kanale? — pisał Romanus. — Owszem mówiłem i gotów jestem to powtórzyć. W bufecie też nie można, jeśli pan chce wiedzieć.

— Jeśli pan chce wiedzieć, sam wiem, że w bufecie nie można — powiedział Andriej Andriejewicz unosząc drugą brew.

— Pan wie — odparł Romanus, po czym sprawdził, czy Striża jeszcze nie ma na parterze, i mówił dalej: — ponieważ jest pan doświadczonym pracownikiem i zna się pan na sztuce, czego nie da się powiedzieć o pewnych reżyserach.

— Niemniej jednak zechce się pan zwrócić do reżysera. Reżyser sprawdzał dźwięk.

— Żeby sprawdzić dźwięk, należy posiadać jakiś aparat służący do tego celu, na przykład ucho! Ale jeżeli komuś w dzieciństwie...

— Nie będę się wdawał w rozmowy prowadzone takim tonem — oświadczył Andriej Andriejewicz zamykając teczkę.

— Jakim tonem?! Jakim tonem?! — zdziwił się Romanus. — Zwracam się do obecnego tu pisarza, żeby raz jeszcze zadokumentował swoje oburzenie z powodu obrażeń cielesnych, których doznają w naszym teatrze muzycy!!

— Daruje pan... — zacząłem widząc zdumione spojrzenie Andrieja Andriejewicza. — Jeżeli inspicjent, który powinien znać scenę jak własne pięć palców...

— Pan mnie nie będzie uczył znajomości sceny — powiedział Andriej Andriejewicz urywając tasiemkę u teczki.

— Czasem trzeba, czasem trzeba — uśmiechając się jadowicie, zaskrzeczał Romanus.

— Każę zaprotokołować pańskie słowa — powiedział Andriej Andriejewicz.

— Sprawi mi pan najwyższą przyjemność!

— Proszę mi dać spokój! Pan dezorganizuje pracowników podczas próby!

— To również proszę zaprotokołować! — zawołał] falsetem Romanus. :

— Proszę nie podnosić głosu!

— Ja też proszę, żeby pan nie podnosił głosu!

■ — Proszę nie podnosić głosu! — powtórzył Andriej Andriejewicz piorunując go wzrokiem i raptem wrzasnął wściekle: — Hej, na pomoście! Co wy tam wyprawiacie?! — i pędem wbiegł po schodach na scenę.

Tymczasem nadchodził pośpiesznie Striż> ą za nim ukazywały się w przejściu ciemne sylwetki aktorów.

Nie pamiętam, jak się zaczął skandal ze Striżem., Romanus podbiegł do niego, wziął go pod rękę i za a zaczął mówić:

— Mój drogi! Ty lubisz muzykę, to nie twoja wina! Proszę jednak i domagam się stanowczo, żebyś zabronił swojemu inspicjentowi znęcać się nad muzykami. ■

— Hej, na pomoście! — darł się na scenie Andriej Andriejewicz. — ■ Gdzie jest Bobylew?!

— Bobylew je obiad — odparł głos z wysokości.
Aktorzy otoczyli Romanusa i Striża.

Było gorąco, był maj. Ludzie ci, których twarze-wydawały się tak zagadkowe w półmroku nad abażurem, już setki razy w tym roku charakteryzowali; się, wcielali w inne postacie, mieli tremę, opadali z sił. Męczyli się przez cały sezon, wybuchali, kaprysili, przedrzeźniali nawzajem. Romanus dostarczył im wszystkim wielkiej i przyjemnej rozrywki.

Potężny niebieskooki Skowroński z radością zacierał ręce i pomrukiwał:

— Tak, tak, tak... Wal, Oskarze! Niech ja skonom! Wygarnij mu wszystko!

Rezultat był niemal natychmiastowy.

— Proszę na mnie■'.nie krzyżeć!!— wrzasnął Striż uderzając w stół egzemplarzem sztuki.

— To ty krzyczysz! — pisnął Romanus.

— Racja! Jak Boga kocham! — cieszył się Skowroński, zagrzewając do walki to Romanusa: — Masz rację, Oskarze, nasze zebra są więcej warte od tych spektakli! — to znów Striża: — To aktorzy mają być gorsi od muzyków? No, pomyśl, Foma!

— Kwasu warto by się teraz napić —■ powiedział ziewając Jełagin — zamiast próbować... Kiedy się wreszcie skończy ta kłótnia?

Kłótnia trwała jeszcze jakiś czas, spod świetlistego kręgu otaczającego lampę rozlegał się krzyk, dym unosił się ku górze.

Ale mnie kłótnia przestała już zajmować. Ocierając pot z czoła stałem przy rampie i przyglądałem się, jak malarka z pracowni scenograficznej, Aurora Gau-sier, chodziła po krawędzi sceny obrotowej trzymając w rękę taśmę mierniczą i przykładając tę taśmę do podłogi. Twarz miała spokojną i trochę smutną, zęby zaciśnięte. Jasne włosy Aurory to rozplamiały się, jakby je podpalono, kiedy

pochylała się nad rampą, to znów gasły i przybierały barwę popiołu. A ja rozmyślałem o tym, że wszystko, co się dzieje wokół, co odbywa się w takim trudzie — wszystko to spełni się i dokona.

Tymczasem kłótnia skończyła się.

— Prędeż, chłopcy! Prędeż! —■ krzyczał Striż. —• Szkoda czasu!

Patrikijew, Władczyński i Skowroński już chodzili po scenie wśród rekwizytów. Na scenę wkroczył także Romanus, a zjawienie się jego nie minęło bez echa. Podszedł do Władczyńskiego i z zatroskaną miną spytał go, czy nie sądzi, że Patrikijew zbyt często pozwala sobie na błazeńskie chwytły, wskutek czego publiczność, być może, zacznie się śmiać akurat w tym momencie, kiedy Władczyński ma wyjątkowo ważną kwestię: „A gdzie ja się mam podziać? Jestem chory, samotny...”

Władczyński zbladł jak ściana i już po chwili aktorzy, rekwizytorzy, i robotnicy stali w zwartym szeregu przy rampie przysłuchując się kłótni śmiertel-: nych wrogów — Władczyńskiego i Patrikijewa: Władczyński, mężczyzna o atletycznej budowie, blady z natury, a teraz jeszcze bledszy z wściekłości, zaciskając pięści i nie patrząc na Patrikijewa mówił, starając się nadać głosowi groźne brzmienie:

— Zajmę się tą sprawą. Już wielki czas zając się cyrkowcami, którzy grają starymi numerami, narażając na szwank dobre imię teatru!

Komik Patrikijew, który na scenie grał zazwyczaj niezdarnych młodzieńców, a w życiu prywatnym był niezwykle zwinny, ruchliwy i mocno zbudowany, usi-łował przybrać pogardliwy, a zarazem groźny wyraz twarzy, wskutek czego jego oczy wyrażały smutek, a całe oblicze ból fizyczny — odpowiedział schrypnie-:, tym głosem:

— Pan się zapomina! Jestem artystą Teatru Niezar leżnego, a nie aktorzyną filmowym, jak pan!

Romanus stał w kulisach, z satysfakcją tocząc dokoła ognistym wzrokiem. Głosy klóących się aktorów zagłuszał głos Striża, który krzyczał z parteru:

— Proszę się natychmiast uspokoić! Andrieju An-driejewiczu! Niech pan da dzwonek i sprowadzi Stro-']jewa! Gdzie on jest? Rozwała mi pan cały plan produkcyjny!

Andriej Andriejewicz naciskał wprawną ręką guziczek dzwonka na tablicy rozdzielczej, i gdzieś daleko za kulisami, w bufecie i foyer, rozlegało się ostre, alarmujące terkotanie.

Tymczasem Strojew, który zagadał się w przedpieklu z Toropiecką, skacząc po trzy stopnie pędził na widownię. Wśliznął się na scenę nie przez widownię, lecz bocznym wejściem, potem przemknął do stolika inspicjenta, a stamtąd, pobrzekując cichutko ostrogami przypiętymi do cywilnych butów, dotarł do rampy, gdzie stanął z miną człowieka, który znajduje się tu od niepamiętnych czasów.

— Gdzie jest Strojew?! — już niemal wył Foma Striż. — Zadzwońcie na niego! I przestańcie się klócić.

— Dzwonię! — odparł Andriej Andriejewicz. Tu odwrócił się i zobaczył Strojewa. — Wzywam pana dzwoniem alarmowym! — powiedział surowo i brzęczenie w teatrze natychmiast ustało.

— Mnie? — zdziwił się Strojew. — Dzwoniem alarmowym? Jestem tu od dziesięciu minut, może nawet od kwadransa... minimum... *Mamma... mia!...* — Strojew oczyścił gardło chrząknięciem.

Andriej Andriejewicz nabrał powietrza w płuca, ale nic nie powiedział, spojrział tylko znacząco. Zacerpnięte powietrze zużył natomiast na to, by krzyknąć:

— Wszyscy niepotrzebni zejść ze sceny!
Zaczynamy.

Napięcie minęło. Rekwizytorzy odeszli, aktorzy zajęli swoje miejsca w kulisach. Romanus gratulował szeptem Patrikijewowi jego dzielnej i bezkompromisowej postawy w sporze z Władczyńskim, któremu już od dawna należała się nauczka.

ROZDZIAŁ XVI

Udany ożenek

W czerwcu zrobiło się jeszcze goręcej niż w maju.

Zapamiętałem ten fakt, reszta jednak w przedziwny sposób zatarła mi się w pamięci. Ocalały tylko jakieś strzępy wspomnień. Pamiętam na przykład dorożkę przed wejściem do teatru, dorożkarza Drykina w wатовanym, granatowym kaftanie i zdumione twarze-szoferów, którzy przejeżdżali obok tego pojazdu.

Zapamiętałem także dużą salę z chaotycznie ustawionymi krzesłami i aktorów, którzy siedzieli na tych krzesłach. Natomiast przy stole nakrytym zkionym sukniem zasiadł Iwan Wasiliewicz. Striż i>, ja.

W owym czasie zawarłem bliższą znajomość z Iw4nem Wasiliewiczem i muszę powiedzieć, że cały ten okres utrwalił mi się w pamięci jako okres wielkiego napięcia. Stało się tak dlatego, że starałem się za wszelką cenę zrobić na Iwanie Wasiliewiczu, dobre wrażenie i w związku z tym miałem moc kłopotów.

Co drugi dzień dawałem Dusi swój garnitur do od-: prasowania, sumiennie uiszczając należność.

Odkryłem podwórko, na którym stał w4tły i kru-i chy, jakby tekturowy straganik; kupiłem u

grubego jegomościa, który miał na palcach dwa pierścienie z brylantami, dwadzieścia sztywnych kołnierzyków i co dzień przed pójściem do teatru wkładałem nowy kołnierzyk. Ponadto nabyłem, tym razem nie w podwórku, ale w państwowym domu towarowym, sześć koszul: cztery białe, jedną w liliowe prążki, jedną w niebieską kratkę i osiem krawatów w rozmaite wzory. U mężczyzny, który bez względu na pogodę siedział z gołą głową na rogu w śródmieściu przy stoisku z rozwieszonymi sznurowadłami, kupiłem dwa słoiki żółtej pasty do butów. Co rano czyściłem moje żółte półbuty pożyczoną od Dusi szczotką, a potem pucowałem je do blasku połą szlafroka.

Te niewiarygodne, potworne wydatki zmusiły mnie w końcu do napisania w ciągu dwóch nocy krótkiego opowiadania pod tytułem *Pchła*. W chwilach wolnych od prób chodziłem z tym opowiadaniem w kiszni po redakcjach tygodników i gazet usiłując sprzedać swój utwór.

«

Zacząłem od „Żeglugi”. Redakcji podobało się opowiadanie, ale nie zakwalifikowała go do druku, wychodząc z całkiem słusznego założenia, że nie ma ono nic wspólnego z żeglugą śródlądową. Długo by opowiadać o tym, jak odwiedzałem rozmaite redakcje i jak wszędzie odprawiano mnie z kwitkiem. Przypominam sobie tylko, że przyjmowano mnie. sam nie wiem dlaczego, bardzo niezyczliwie. Szczególnie wrył mi się w pamięć jakiś tęgi mężczyzna w binoklach, który nie tylko odrzucił stanowczo mój utwór, ale próbował mi jeszcze prawić morały.

— Pańskie opowiadanie jest kokieteryjne — orzekł tęgi mężczyzna. Zauważyłem, że patrzy na mnie z obrzydzeniem.

Muszę się usprawiedliwić. Tęgi mężczyzna mylił się. Moje opowiadanie wcale nie było kokieteryjne, ale po prostu — teraz można się już do tego przyznać — nudne, głupie i demaskujące całkowicie autora jako człowieka, który nie potrafi pisać opowiadań, ponieważ nie ma do tego żadnych uzdolnień.

Zdarzył się jednak cud. Krążąc przez trzy tygodnie z opowiadaniem w kieszeni po Warwarce, Wozdwiżen-ce, Czystych Stawach, Strastnym Bulwarze, a nawet, zdaje się, po Tagance, sprzedałem niespodziewanie swój utwór w zaułku Złatoustińskim przy Miasnic-kiej, jeżeli się nie mylę, na czwartym piętrze jakiemuś facetowi z dużą brodawką na policzku.

Zalałem tymi pieniędzmi straszliwą dziurę w budżecie i wróciłem do teatru, bez którego nie mogłem już żyć, niby morfinista bez morfiny.

Z ciężkim sercem muszę wyznać, że wszystkie moje wysiłki poszły na marne, a nawet ku memu przerażeniu odniosły wręcz odwrotny skutek. Iwan Wasilie-wicz dosłownie z dnia na dzień tracił do mnie sympatię.

Naiwnością byłoby sądzić, że całą nadzieję pokładałem w żółtych półbutach, w których odbijało się! wiosenne słońce. O, nie! Prowadziłem wyrafinowaną¹ i zawiłą grę, która obejmowała między innymi takie chwytły, jak przemawianie głosem cichym, głębokim i natchnionym. Głosowi temu towarzyszyło spojrzenie jasne, otwarte i szczere oraz lekki uśmiech *na* wargach (bynajmniej nie przymilny, lecz naiwny). Rylem idealnie uczesany, ogolony tak starannie, że przeciągając wierzchem dłoni po policzku nie odczuwałem! najmniejszej chropowatości, wygłaszałem sądy lakoniczne, mądre, świadczące o zdumiewającej znajomości

rzeczy — wszystko na próżno. Początkowo Iwan Wasiliewicz uśmiechał się przy spotkaniu, potem zaczął się uśmiechać coraz rzadziej, a w końcu zupełnie przestał się uśmiechać.

Zacząłem wówczas odbywać po nocach próby. Bra-: łem lusterko, siadałem przed nim, odbijałem się w| nim i mówiłem:

— Iwanie Wasiliewiczu! Chodzi mi o rzecz następującą: otóż, moim zadaniem tego sztyletu użyć nie można... — No i wszystko szło jak z płotka. Na war* gach igrał wdzięczny i skromny uśmiech, oczy spoglądały z lustra otwarcie i mądrze, na czole nie było zmarszczek, przedziałek leżał jak biała nitka na czar-nej głowie. Wszystko to musiało dać wyniki, a jednak sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Gonilem ostatkiem sił, traciłem na wadze i przestałem dbać o swój wygląd. Pozwalałem sobie na dwukrotne włożenie tego samego kołnierzyka.

Pewnej nocy dla sprawdzenia wygłosiłem swój monolog na ślepo, potem zaś jak złodziej zerknąłem spod" oka do lustra i przeraziłem się.

Wyjrzała na mnie twarz ze zmarszczonym czołem, wyszczerzonymi zębami i oczyma, z których oprócz niepokoju wyzierały jakieś ukryte podstępne myśli. Złapałem się za głowę, zrozumiałem, że lustro zawiodło mnie i oszukało, i cisnąłem nim o podłogę. Stłukło się, a z ramy wypadł trójkątny odłamek. Powiadają, że stłuczone lustro to zły znak. A cóż dopiero można powiedzieć o szaleńcu, który sam tłucze swoje lustro?

— Kretyn! Kretyn! — krzyknąłem, a ponieważ głos mam gardłowy, wydało mi się, że w nocnej ciszy za-krakała wrona. — A więc wyglądam sympatycznie tylko wtedy, kiedy patrzę do lustra, wystarczy jednak je odstawić, żebym przestawał panować nad twarzą i ta zaczynała

odzwierciedlać moje najskrytsze myśli i... a niech to diabli porwą!

Nie wątpię, że moje notatki, jeżeli w ogóle trafią do czyichś rąk, niezbyt przypadną do gustu czytelnikowi. Pomyśli on sobie na pewno, że ma przed sobą obłudnika, który z wyrachowania starał się wyrzucić na Iwanie Wasiliewiczu dobre wrażenie.

Proszę nie potępiać mnie zbyt pochopnie. Zaraz wyjaśnię, o co mi w tej sprawie chodziło.

Iwan Wasiliewicz uporczywie i wytrwale dążył do wyrzucenia ze sztuki owej sceny, w której Bachtin strzelał sobie w skroń, świecił księżyc i ktoś grał na harmonii. A ja tymczasem wiedziałem, miałem niezbitą pewność, że wtedy sztuka przestanie istnieć, chociaż powinna była istnieć nadal — nie miałem bowiem wątpliwości, że zawiera w sobie prawdę. Opinie, jakie słyszałem o Iwanie Wasiliewiczu, były aż nazbyt jednoznaczne. W gruncie rzeczy mogłem się bez nich obejść. Zbadałem i zrozumiałem jego charakter już w pierwszych dniach naszej znajomości i wiedziałem, że walczyć z Iwanem Wasiliewiczem nie sposób. Pozostało mi jedno wyjście: skłonić Iwana Wasiliewicza, żeby mnie wysłuchał. Rzecz jasna, w tym celu należało pozyskać najpierw jego sympatię. Oto dlaczego siedziałem godzinami przed lustrem. Pragnąłem uratować strzał, chciałem, żeby usłyszano, jak przeraźliwie brzmiał na moście dźwięki harmonii, kiedy w księżycowej poświacie rozplywa się na śniegu krwawy plama. Chciałem, żeby ujrano czarny śnieg. Nic więcej.

Znów zakrakała wrona:

— Kretyn! Kretyn! Nie rozumiesz najprostszyc; rzeczy! Czy możemy spodobać się komuś, kto nam się ! nie podoba? Co ty sobie wyobrażasz? Że uda ci się; ! kogokolwiek wprowadzić w błąd? Myślisz, że mając i do kogoś pretensję, zdobędziesz jego względy?

Próżne, nadzieje — choćbyś nie wiadomo jak długo robił miny przed lustrem.

Bo Iwan Wasiliewicz nie podobał mi się. Nie podobała mi się też jego ciotunia Nastasja Iwanowna, a już szczególnie nie podobała mi się Ludmiła Sylwestrowna. A tego nie da się ukryć!

Obecność dorożki Drykina oznaczała, że Iwan Wasiliewicz przyjeżdżał do teatru na próby *Czarnego śniegu*.

Codziennie Pakin wbiegał kłusem do ciemnego pałacu uśmiechając się z przerażenia i niosąc kalosze. Za nim kroczyła Augusta Awdiejewna z kraciatym pledem w rękę, za nią zaś z kolei Ludmiła Sylwestrowna z grubym brulionem i koronkową chusteczką.

Iwan Wasiliewicz wkładał na parterze kalosze i siadał przy stoliku reżyserskim, Augusta Awdiejewna narzucała Iwanowi Wasiliewiczowi pled na ramię — i na scenie zaczynała się próba.

Ludmiła Sylwestrowna, która sadowiła się w pobliżu stolika reżyserskiego, notowała coś w brulionie/ wydając niekiedy stłumione okrzyki podziwu i zamyślenia.

Czas już, żebym się wytłumaczył przed czytelnikami. Przyczyną mojej niechęci do Iwana Wasiliewicza, którą starałem się zamaskować w tak idiotyczny sposób, nie był bynajmniej pled czy kalosze, nie była

nią nawet Ludmiła Sylwestrowna, lecz to, że Iwan Wasiliewicz, oddający się od pięćdziesięciu lat reżyserii, stworzył powszechnie znaną i, zdaniem ogółu, genialną teorię o tym, jak autor powinien opracowywać rolę.

Ani przez chwilę nie wątpiłem, że teoria jest naprawdę genialna, doprowadzało mnie jednak do rozpaczki jej stosowanie w praktyce.

Daję głowę, że gdybym przyprowadził na próbę kogoś spoza teatru, człowiek ten osłupiałby ze zdumienia.

Patrikijew grał w mojej sztuce rolę drobnego u-rzędnika zakochanego w kobiecie, która nie darzy go wzajemnością.

Była to rola komiczna, Patrikijew zaś grał ją niezwykle zabawnie i z każdym dniem coraz lepiej. Był tak znakomity, że zdawało mi się wprost, że to nie Patrikijew, ale ten właśnie urzędnik, którego wymyśliłem, że Patrikijew istniał już przed urzędnikiem i cudem jakimś jego akurat odmalowałem.

Ale zaledwie dorożka Drykina zjawiła się przed teatrem, a Iwana Wasiliewicza owinięto w pled, natychmiast zabrano się właśnie do Patrikijewa.

— No, zaczynamy — powiedział Iwan Wasiliewicz. Na parterze zapanowała skupiona cisza, a przejęty

Patrikijew (stan jego ducha zdradzały oczy, które nabrały płacznego wyrazu) zagrał z aktorką scenę oświadczyn.

— Hm — chrząknął Iwan Wasiliewicz rzucając ostre spojrzenie przez szkła lorgnon — to do niczego.

Jęknąłem w duchu i coś ścisnęło mnie w dołku. Nie wyobrażałem sobie, żeby tę scenę można było zagrać choć odrobinę lepiej, niż zagrał Patrikijew. „Jeżeli to osiągnie — pomyślałem patrząc z respektem na Iwana Wasiliewicza — przyznam, że jest naprawdę genialny”.

— To do niczego — powtórzył Iwan Wasiliewicz — co to jest? Jakieś gierki i kompletna szarża. Jaki on ma stosunek do tej kobiety?

— Kocha ją, Iwanie Wasiliewiczu! Ach, jak ją kocha! — zawołał Foma Striż, który skomponował całą tę scenę.

— Hm... — mruknął Iwan Wasiliewicz i znów się; zwrócił do Patrikijewa:—A czy zastanowił się pan nad tym, co to jest płomienna miłość?

Patrikijew w odpowiedzi bąknął coś ze sceny, ale; co mianowicie — trudno się było zorientować.

— Płomienna miłość — kontynuował Iwan Wasiliewicz — polega na tym, że mężczyzna gotów jest na wszystko dla ukochanej. Dać tu rower! — polecił.

Striż przyjął rozkaz Iwana Wasiliewicza z entuzjazmem i krzyknął skwapliwie:

— Hej, rekwizytorzy! Rower!

Rekwizytor wprowadził na scenę sfatygowany rower z odrapanym lakierem. Patrikijew spojrzał żałośnie na rower.

— Zakochany mężczyzna robi wszystko z myślą o' swojej bogdane — oświadczył donośnie Iwan Wasiliewicz — je, pije, chodzi i jeździ.

Umierając z ciekawości zajrzałem do oprawionego; w ceratę brulionu Ludmiły Sylwestrowny i zobaczyłem, jak notuje dziecinny charakter pisma: „Zakochany mężczyzna robi wszystko z myślą o swojej bogdane...”

— A więc zechce pan łaskawie przejechać się rowerem dla ukochanej dziewczyny — polecił Iwan Wasiliewicz i zjadł pastylkę miętową.

Nie mogłem oderwać oczu od sceny. Patrikijew wgramolił się na wehikuł, aktorka grająca rolę ukochanej usiadła w fotelu, przyciskając do brzucha ogromną lakierowaną torebkę. Patrikijew nacisnął pedały i niepewnie objechał dookoła fotel zezując jednym okiem na budkę suflera, do której obawiał się wpaść, drugim zaś — na aktorkę. Na sali zaczęto się uśmiechać.

— To nie to — zauważył Iwan Wasiliewicz, kiedy Patrikijew się zatrzymał. — Dlaczego pan wybałuszył oczy na rekwizytora? Dla niego pan jeździ?

Patrikijew znów wsiadł na rower, zezując tym razem obydwoma oczami na aktorkę; nie zdołał w porę skrócić i wjechał za kulisy.

Kiedy go zawrócono prowadząc rower za kierownicę, Iwan Wasiliewicz nie uznał tej jazdy za prawidłową i Patrikijew ruszył po raz trzeci, zwracając głowę w stronę aktorki.

— Fatalnie! — orzekł z goryczą Iwan Wasiliewicz. — Mięśnie sztywne, nie ufa pan sobie. Niech pan rozluźni, rozpręży mięśnie! Głowa nienaturalna, w pańską głowę nie można uwierzyć.

Patrikijew pojechał z opuszczoną głową, patrząc spode łba.

—■ Pusta jazda, pan jedzie pusty, niewypełniony pańską wybranką.

Patrikijew jeździł dalej. Za którymś razem, ujawszy się pod boki, zrobił kółko rzucając dziarskie spojrzenie na swoją wybrankę. Trzymając kierownicę jedną ręką, wykonał ostry zakręt i wjechał na aktorkę brudząc jej spódnicę oponą. Aktorka wydała okrzyk przerażenia, zawtórowała jej Ludmiła Sylwestrowna na parterze. Iwan Wasiliewicz poinformował się, czy aktorka nie odniosła obrażeń cielesnych i czy nie potrzeba jej pomocy lekarskiej, dowiedziawszy się zaś, że nic strasznego się nie stało, dał Patrikijewowi znak do dalszej jazdy. Patrikijew wykonał wiele okrążeń, aż wreszcie Iwan Wasiliewicz zapytał go, czy nie jest zmęczony. Patrikijew odparł, że nie jest, ale Iwan Wasiliewicz powiedział, że widzi, iż Patrikijew jest zmęczony, po czym temu ostatniemu pozwolono odejść ze sceny.

Miejsce Patrikijewa zajęła grupa gości. Wyszedłem na papierosa do bufetu, a kiedy wróciłem, ujrzałem[^] że torebka aktorki też na podłodze, ona zaś siedzi na! własnych dłoniach, podobnie jak jej goście, trzech, mężczyzn i jedna kobieta, ta sama Wieszniakowa, \

O której pisano z Indii. Wszyscy usiłowali wypowia-ć dać zdania, których w tym miejscu wymagał tok akcji, ale w żaden sposób nie mogli ruszyć z miejsca, ponieważ ilekroć ktoś zaczynał coś mówić, Iwan Wasiliewicz przerywał mu, tłumacząc, na czym polegają jego!, błędy. Kłopotliwą sytuację zarówno gości, jak i bogdanki Patrikiewowa pogarszała jeszcze ta okoliczność, że wciąż mieli oni ochotę wyjąć spod siebie ręce i zrobić jakiś gest.

Widząc moje zdumienie Striz wyjaśnił mi szeptem, że Iwan Wasiliewicz umyślnie pozbawił aktorów rąk, żeby się przyzwyczaili wkładać cały sens w słowa nie pomagając sobie rękami:

Pełen wrażeń po zetknięciu się z tyloma nowymi i niezwykłymi sprawami wracałem z próby do domu
myśląc w duchu: 1 j
i

„Tak, to wszystko jest nadzwyczajne. Ale tylko dlatego, że jestem laikiem w tej dziedzinie. Każda sztuka ma swoje reguły, tajemnice i chwytaki. Dzikusowi na przykład może się wydać dziwne i śmieszne, że ktoś czyści zęby szczoteczką, napychając przy tym kredy do ust. Człowieka nie wtajemniczonego dziwi zapewne, że lekarz zamiast przystąpić od razu do operacji poddaje wprawdzie pacjenta najrozmaitszym niezrozumiałym zabiegom, bierze na przykład krew do analizy i temu podobne...”

Ogromnie pragnąłem ujrzeć na następnej próbie zakończenie historii z rowerem, to znaczy zobaczyć, czy Patrikiewowi uda się pojechać „dla niej”.

Jednakże nazajutrz nikt nawet nie wspomniał o rowerze, ujrzałem natomiast inne, równie zadziwiające rzeczy. Wciąż ten sam Patrikiew miał ofiarować ukochanej bukiet kwiatów. Zaczęło!

się to o godzinie dwunastej i trwało do czwartej po południu.

Bukiet wręczał nie tylko Pątrikiejew, ale Wszyscy po kolei: Jełagin, który grał generała, a nawet Adalbert, obsadzony w roli herszta zbójcekiej szajki. Zdziwiłem się niesłuchanie, ale Foma od razu mnie uspokoił wyjaśniając mi, że Iwan Wasiliewicz, jak zawsze, postępuje nadzwyczaj mądrze, ucząc za jednym zamachem mnóstwo ludzi jakiegoś chwytu scenicznego. Iwan Wasiliewicz istotnie urozmaicał lekcję ciekawymi i pouczającymi opowiadaniem o tym, jak należy wręczać damom bukiety i jak je wręczał ten i ów ze znajomych. Dowiedziałem się przy okazji, że najlepiej umiał to robić wspomniany wyżej Komarowski-Bion-cóur (Ludmiła Sylwestrowna zawołała nawet wbrew regulaminowi prób: „Ach, tak, tak, Iwanie Wasiliewiczu, nigdy tego nie zapomnę!”) oraz pewien włoski baryton, którego Iwan Wasiliewicz poznał w Mediolanie w roku 1889.

Nie znałem co prawda owego barytona, ale jestem przekonany, że najpiękniej podawał bukiety sam Iwan Wasiliewicz. Zapalił się, wszedł na scenę i pokazał ze trzynaście razy, jak to należy obdarowywać kobiety kwiatami. Zacząłem w ogóle dochodzić do przekonania, że Iwan Wasiliewicz jest aktorem wspaniałym i naprawdę genialnym.

Następnego dnia spóźniłem się na próbę, a kiedy przyszedłem, zobaczyłem, że na scenie siedzą rzędem na krzesłach Olga Sergiejewna (aktorka grająca bohaterkę), Wieszniakowa (pani, która przysłała do niej z wizytą), Jełagin, Władczyński, Adalbert oraz kilku me znanych mi aktorów, wszyscy zaś na komendę Iwana Wasiliewicza: „Raz, dwa, trzy!” — wyjmują z kieszeni niewidzialne portfele, liczą znajdujące się w nich niewidzialne pieniądze, po czym chowają je z powrotem do kieszeni marynarki.

Kiedy się owo ćwiczenie skończyło (pretekstem do niego, jak się zorientowałem, stało się to, że Patrikiejew miał w tej scenie liczyć pieniądze), przystapiono do następnego. Andriej Andriejewicz wywołał na scenę mnóstwo ludzi, którzy usiedli na krzesłach i niewidzialnymi piórami na niewidzialnym papierze i stołach zaczęli pisać listy oraz zaklejać niewidzialne koperty (znów z powodu Patrikiejewa!). Sęk w tym, że miał to być list miłosny.

Podczas tego ćwiczenia zaszło pewne nieporozur mienie — między piszących trafił przez pomyłkę re-k wizy tor.

Iwan Wasiliewicz, zachęcając gestami aktorów do rozpoczęcia ćwiczeń, a nie znając z twarzy nowicju- szy, którzy weszli w tym roku do zespołu pomocniczego, zmusił do udziału w pisaniu niewidzialnego listu młodego rek wizy tor a o kędzierzawej czuprynie, pałętającego się z boku sceny.

— Co to znaczy?! — krzyknął na niego Iwan Wasiliewicz. — Mamy wysłać panu specjalne zaproszenie?

Inspicjent usiadł na krześle i zaczął wraz z pozostałymi aktorami kreślić w powietrzu litery i ślinić palce. Według mnie robił to nie gorzej od innych, ale rumienił się przy tym i uśmiechał z zażenowaniem.

Iwan Wasiliewicz rozzłościł się:

— A cóż to za wesołek siedzi tam z brzegu? Jak się nazywa? Może ma zamiar wstąpić do cyrku? Nie-! poważnie!

— To rekwizytor, Iwanie Wasiliewiczu! Rekwizy- tor! — jęknął Foma Striż.

Iwan Wasiliewicz umilkł, rekwizytorowi zaś dano święty spokój. Dni mijały w nieustannym trudzie. Zobaczyłem ma^ są rzeczy. Widziałem na, przykład, jak tłum aktorów

z Ludmiłą Sylwest równą na czele (Ludmiła Sylwestrowna nota bene nie brała udziału w sztuce) z krzykiem latał po scenie i podbiegał do niewidzialnych okien...;

Sprawa polegała na tym, że wciąż w tej samej odsłonie z bukietem i listem była scena, w której moja bohaterka podbiegała do okna ujrawszy na szybie odbłask dalekiej łuny.

To właśnie stało się pretekstem do wykonania dużej etiudy scenicznej. Etiuda rozrosła się potwornie, co muszę przyznać, wprawilo mnie w jak najgorszy nastrój. Iwan Wasiliewicz, którego teoria obejmowała między innymi odkrycie, że podczas prób tekst sztuki nie odgrywa żadnej roli i że należy kreować postacie opierając się na tekście wewnętrznym, kazał wszystkim przeżywać tę \ lunę.

Skutek; był taki, że każdy, podbiegając do okna, wykrzykiwał to, co uważał za stosowne.

— Ach, Boże! Mój Boże! — krzyczano przeważnie>

— Co się stało?! Gdzie się pali? — wołał Adalbert. Słyszałem głosy męskie i kobiece wołające:

— Ratuj się, kto może! Gdzie woda? To pali się sklep Jelisiejewa! (Co za bzdura!) Ratunku! Ratujcie dzieci! Wezwać straż ogniową! To już koniec!

Nad tym harmidrem unosił się piskliwy głos Ludmiły Sylwestrowny, która wykrzykiwała całkiem już od rzeczy:

— O mój Boże! Boże wszechmogący! Co będzie z moimi kuframi?! A brylanty, moje brylanty!

Posępny jak chmura gradowa, - przyglądałem się Ludmile Sylwestrownie i myślałem o tym, że moja bohaterka mówi tylko dwa słowa: „Patrzenie... łuna...” — i mówi je znakomicie. Poza tym nie

chciało mi się wcale czekać, aż nauczy się przeżywać tę łunę nie obsadzona w spektaklu Ludmiła Sylwestrowna. Dzikie wrzaski o jakichś kufrach nie mających nie wspólnego ze sztuką drażniły mnie do tego stopnia, że dostałem tiku nerwowego.

Pod koniec trzeciego tygodnia prób z udziałem i Iwana Wasiiiewicza ogarnęła mnie rozpacz. Miałeń*¹ ku temu trzy powody. Po pierwsze, dokonałem pewnych obliczeń matematycznych, których wyniki mnie przeraziły. Już trzeci tydzień próbowaliśmy i wciąż jedną i tę samą odsłonę, a sztuka miała ich siedem. A więc, jeżeli liczyć tylko po trzy tygodnie na odsłonę,...

— O Boże! — szeptałem w bfezsennej nocy, prze- wracając się z boku na bok na kanapie. — Trzy razy siedem... dwadzieścia jeden tygodni, czyli... pięć... tak, ; pięć... a może nawet sześć miesięcy! Kiedyż w takim razie moja sztuka wejdzie na scenę? Za tydzień zaczyna się martwy sezon, próby będą zawieszona d o ^ października! O rety! Wrzesień, październik, listopad...

Noc szybko przechodziła w brzask. Otwarte okno nie dawało ochłody. Chodziłem na próby z migreną,³ cera mi zżółkła, wychudłem.

Drugi powód do rozpaczki był znacznie **poważnie** szy. Tylko temu brulionowi mogę powierzyć swoją tajemnicę: zwątpiłem w teorię Iwana Wasiiiewicza. Strach powiedzieć to na głos, ale tak było.

Złowieszcze podejrzenia zakradły się do mojej **duli** szy już pod koniec pierwszego tygodnia. Pod koniec drugiego wiedziałem już, że do mojej sztuki widocznie: ta teoria nie da się zastosować. Patrikiew wręczał bukiet, pisał list czy oświadczał się wcale nie lepiej niż przedtem. Przeciwnie! Zrobił się jakiś sztywny i oschły, przestał być zabawny, a co najgorsze, dostał naraz kataru.

Kiedy zawiadomiłem o tym smutnym wypadku Bombardowa, uśmiechnął się i powiedział:

— To głupstwo, katar niedługo mu przejdzie. Pa-trikiejew czuje się już lepiej, wczoraj i dzisiaj był w klubie i grał w bilard. Jak skończycie z tą odsłoną, zaraz wyzdrowieje. Ale musi pan być przygotowany, że zakatarzy się jeszcze parę osób. Przypuszczam, że pierwszy będzie Jelagin.

— Tam do diabła! — zawołałem domyślając się, o co chodzi.

Przepowiednia Bombardowa spełniła się i tym razem. Po dwóch dniach zniknął z próby Jelagin, Andriej Andriejewicz zaś napisał w protokole: „Zwolniony z próby. Katar.” Identyczne nieszczęście spotkało Adalberta. Identyczna notatka w protokole. Pb Adalbertcie przysła kolej na Wieszniakową. Zgrzytałem zębami dodając do swoich obliczeń jeszcze miesiąc na katary. Nie potępiąłem jednak ani Adalberta, ani Patrikiewewa. Bo doprawdy z jakiej racji herszt szajki zbójckiej miałby tracić czas na krzyki o nie istniejącym pożarze w czwartej odsłonie, skoro jego zbójckie sprawy i inne zajęcia skłaniały go do pracy w odsłonie trzeciej oraz piątej.

Kiedy zatem Patrikiewew popijając piwo grał z mar-
kierem w piramidkę, Adalbert próbował tymczasem
szylerowskich *Zbójców* w klubie na Krasnej
Presni,
gdzie prowadził kółko teatralne.

Tak, teoria ta nie dawała się najwidoczniej zastosować do mojej sztuki, a chyba nawet jej szkodziła. Podczas kłótni dwóch osób w odsłonie czwartej w sztuce padało zdanie: „Wyzwę cię na pojedynek!”

Ileż to razy po nocach chciałem rękę sobie uciąć za napisanie tego po trzykroć przeklętego zdania.

Ledwie padło na scenie, Iwan Wasiliewicz ogromnie się ożywił i kazał przynieść rapiery. Zbladłem. Potem przez dłuższy czas przyglądałem się, jak Władczyń^s-ki i Błogoswietow zgrzytali klingą o klingę i drżałem na myśl, że Władczyński wykluje Błogoswietowowi oko.

Iwan Wasiliewicz tymczasem opowiadał o tym, jakj Komarowski-Bioncour pojedynkował się na szpady z synem moskiewskiego burmistrza.

Nie chodziło tu jednak o przeklętego synalka moskiewskiego burmistrza, lecz o dodatkową scenę pojedynku na szpady, której napisania zaczął się ode mnie coraz bardziej domagać Iwan Wasiliewicz.

Uważałem to początkowo za niesmaczny dowcip, można zatem Wyobrazić sobie, co poczułem, kiedy **pcK** dły i wiarołomny Striż poprosił mnie, żebym w ciągu tygodnia „naszkicował” scenkę pojedynku. Zacząłem oponować, ale Striż był nieugięty. Do ostatecznej wściekłości doprowadziła mnie jego notatka w dzienniku reżyserskim: „Tu będzie pojedynek.”

Stosunki ze Striżem uległy gwałtownemu pogorszeniu.

Przybity i oburzony, przewracałem się w nocy z boku na bok. Czuję, że mnie znieważono.

— Ostrowskiemu nie dopisywałby pojedynków, co tu gadać — zrzędziłem rozgoryczony. —■ Nie pozwolilby Ludmile Sylwestrownie wrzeszczeć o kufrach i brylantach!

Uczucie przyziemnej zazdrości dręczyło dramaturga. Ale to wszystko dotyczyło mojej

sztuki — jeśli można się tak wyrazić, sprawy partykularnej. Były jednak rzeczy poważniejsze. Zżerany miłością do Teatru Niezależnego, połączony z nim na wieki, niczym żuk przykłuty szpilką do korka, chodziłem wieczorami na przedstawienia...

SPIS TREŚCI

Przedmowa	5
-----------	---

Część I

Rozdział	I	<i>Początek przygód</i>	7
Rozdział	II	<i>Atak neurastenii</i>	10
Rozdział	III	<i>Moje samobójstwo</i>	17
Rozdział	IV	<i>Zdobywam ostrogi</i>	20
Rozdział	V	<i>Niezwykłe zdarzenia</i>	26
Rozdział	VI	<i>Katastrofa</i>	43
Rozdział	VII		46
Rozdział	VIII	<i>Złoty koń</i>	52
Rozdział	IX	<i>Zaczęło się</i>	59
Rozdział	X	<i>Sceny w przedpieklu</i>	80
Rozdział	XI	<i>Zawieram znajomość z teatrem</i>	91
Rozdział	XII	<i>Siwcew-Wrażek</i>	112
Rozdział	XIII	<i>Poznaję prawdę</i>	134

Rozdział XIV *Zagadkowi cudotwórcy* 165
.....

Część II

Rozdział XV.....• • ,• 17\$

Rozdział XVI *Udany ożenek* . ' . . ■
■ . 185-